

KAZANIA FRANCISZKAŃSKIE

Zebrał i wstępem opatrzył o. Sylwester Niewiadomy OFM



WYDAWNICTWO CALVARIANUM

KALWARIA ZEBRZYDOWSKA 1986

ŚWIĘTEMU OJCU FRANCISZKOWI
ZAŁOŻYCIELOWI ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH (OFM)
W 800-LECIE JEGO URODZIN (1181—1981)
ORAZ WIELKIEMU JEGO NAŚLADOWCY
ŚW. JANOWI KAPISTRANOWI
INICJATOROWI OO. BERNARDYNÓW W POLSCE
W 600-LECIE URODZIN (1386—1986)

AUTORY

Wprowadzenie

MINAŁ święty franciszkański Rok Jubileuszowy. Rozpoczął się on dnia 3 października 1981 r., a zakończył się 4 października 1982 r. Rzeczywiście nie byłoby dobrze, gdyby wszystko co się w tym czasie przeżyło i wydarzyło odłożono do archiwum i zapomniano. Są rocznice, których zapomnieć nie wolno. Przynoszą one bowiem odnowienie pewnych idei, które są „solą ziemi”, „światłością świata” i „zaczynem twórczym”.

Rok Jubileuszowy, ze względu na jego wyjątkowość, rozpoczęła Ojciec Św. przemówieniem do wielkiej rzeszy Synów i Córek Franciszkowych, zebranych w bazylice watykańskiej na nocne czuwanie i modlitwę w nocy z 3 na 4 października 1981 r. Potem znowu przemawiał do pielgrzymów franciszkańskich zebranych w Asyżu, a ostatnio skierował List Apostolski do Generałów Zakonu Franciszkańskiego. Niezależnie od tego, gdzie tylko była ku temu odpowiednia okazja Ojciec Św. wspominał „tego sławnego męża”, o którym kiedyś Jego pierwszy biograf napisał, że „promieniował jak błyszcząca gwiazda wśród ciemności nocy i jak poranek wschodzący ponad ciemnościami”. W Liście swym Ojciec Św. pisał między innymi o uroczyscie obchodzonej we Włoszech pamiętce narodzin św. Franciszka: „wydaje się Nam, że stanowi ona nadzwyczajną łaskę, udzieloną Kościołowi przez Boga. Ten natomiast dar, zwłaszcza zapal wiernych i siły, jakie dzisiaj z tej łaski Bożej zostały wzbudzone w Kościele, stanowi wezwanie, aby odtąd w samym Kościele z jak największą gorliwością czyniono wysiłki, jak to czynił św. Franciszek, by nikt, kogo dotyczą poszczególne wskazania odnowy, ich nie pomijał, ale by charyzmat jemu dany uważał za nakaz służenia w pokorze uchwałom podjętym przez Kościół... Kościół oczekuje, aby wszyscy Franciszkanie rozpaleni nowym zapalem ducha, swoją świętością przyczynili się do postępu tak, by w jakiś sposób ożywić dar, jaki w ubiegłym czasie objawił się przez św. Franciszka”.

Dnia 2 stycznia 1982 r. Ojciec Św. odbył swoją 35 pielgrzymkę i to właśnie do Rieti i Greccio, gdzie w r. 1223 św. Franciszek w okolicznej grocie przygotował po raz pierwszy jasełka. Przemawiając do zebranych zakonników, zakonnic i bardzo licznej pielgrzymki świeckich Papież wezwał wszystkie Rodziny Franciszkańskie do życia radykalizmem chrześcijańskim, do dawania

autentycznego świadectwa o Chrystusie, takiego jakiego wymagają współczesne nam czasy. „Jedyną bowiem drogą — mówił Papież — do osiągnięcia radości, wolności, pokoju i miłości jest droga ukazana przez Ewangelię, droga którą kroczył św. Franciszek. Czynił on pokutę, radość osiągnął przez cierpienie, wolność przez posłuszeństwo, a miłość do wszystkich stworzeń przez pokonanie egoizmu. Wszystko we Franciszku jest ukształtowane na wzorze Chrystusa Ukrzyżowanego, z Którym dzielił on siłę przyciągania powszechnego. Również dzisiejszemu światu trzeba głosić radykalizm Ewangelii — z pokorą, ale i z odwagą”. W tym wypowiedziach zreasumował Najwyższy Pasterz najważniejszą treść Jubileuszu, a także wyraził pragnienie, by ideały franciszkańskie nadal trwały przez stałą ich realizację.

A więc wedle Papieża:

Jubileusz „stanowi nadzwyczajną łaskę udzieloną Kościołowi”. Kościół, a w nim zwłaszcza Rodziny Franciszkańskie, tę łaskę przyjęły z wdzięcznością i przez cały rok współpracowały z nią. Skoro więc z jednej strony była łaska Boża a z drugiej dobra wola szczerzej z nią współpracy, to należy się spodziewać, że zaowocowały one błogosławionymi skutkami. Łaska Boża jest nie tylko aktem ale i stanem — działa zbawczo i ustawicznie, byleby nie została odrzucona lub zmarnowana. To zaś zależy od Ludu Bożego, a może szczególnie od Rodzin Franciszkańskich.

Jubileusz jest „w e z w a n i e m...” by charyzmat dany (Kościółowi a z nim Rodzinom Franciszkańskim) uważali za nakaz służenia w pokorze uchwałąm podjętym przez Kościół”. Charyzmat franciszkański to nic innego jak realizowanie w życiu nakazów Ewangelii jako „jedynej drogi” i to z „radykalizmem chrześcijańskim”. „...Ja nic nie widzę na tym świecie — mawiał św. Franciszek — jak Chrystusa i to Ukrzyżowanego”. Sobór Watykański II przypomina wszystkim zakonnikom, by przez meta-noię — tj. „przez wewnętrzną i całkowitą przemianę odnawiali w sobie «nowego człowieka» w jego myśleniu, osądzaniu i postępowaniu, które w nim się dokonuje w świetle świętości i miłości Boga, świętości i miłości, które tak wspaniale zajaśniały w Synu Bożym” (Paweł VI-Konst. „Poenitemini”), oraz aby aktualizowali swoje Ustawy, powracając przy tym ciągle do źródeł i ducha swoich Założycieli (cfr.Perf.car. 2 b). Rok Jubileuszowy jest więc „łaską Bożą” i „wezwaniem” do powrotu do św. Franciszka jako Człowieka, Świętego i Założyciela. Ten powrót ma być impulsem do nowego życia, życiowym z a c z y n e m praworządności, o d ż y w c z y m oddechem sumienia, e k s p r e-

s ją apostołskiego działania i tą szczególną miłością seraficką, która rozpoczyna wszelkie dzieła zbawcze, nadaje im istotną i najwyższą wartość oraz koronuje błogosławioną wiecznością.

Jubileusz wreszcie wzywa wszystkie Rodziny Franciszkańskie, by „swoją świętością przyczyniły się do postępu”. Do świętości powołani są wszyscy. Tym bardziej ci, którzy przez profesję zakonną zostali konsekrowani na wyłączną i niepodzielną służbę Bogu. Dzisiejszy, tak bardzo zmaterializowany świat, zagubił się w bełkocie haseł i nawałnicy przeciwstawnych często idei. Nie ma w nim ani radości, ani pokoju, ani szczęścia, ani miłości. A przecież bez tych cnót nie ma i nie może być żadnego postępu. Potrzeba więc światu, i to bardzo pilnie, prawdziwej świętości. Jezus Chrystus przyszedł na świat jako Zbawiciel, by świat uratować od zagłady i by go zbawić, a chce to uczynić i czyni przez miłość, która jest jedynym źródłem i gwarantem wszelkiego zdrowego postępu. Jej upostaciowaniem i znakiem jest Chrystusowa miłość ukazana w Krzyżu. Tą drogą Krzyża prowadzi On też tych, którzy Mu zawierzyli.

Nie bez racji nazwano też św. Franciszka „Drugim Chrystusem”. Jak nikt inny przed nim ubogacił on swe serce Chrystusowymi cnotami i to w stopniu heroicznym. Nazwano go też prekursorem, prorokiem nowych czasów, humanistą i uosobieniem „nowego człowieka” w prawdzie, sprawiedliwości i miłości, który zdołał uratować ówczesny świat od nie dających się przewidzieć kataklizmów, a zarazem przyczynił się do prawdziwego postępu.

W Roku Jubileuszowym katolicy, a zwłaszcza Franciszkanie, przypomnieli sobie lepiej i dokładniej swego duchowego Ojca. Jego postać i pokorna posługa człowiekowi lepiej, jaśniej i bliżej stanęły przed ich oczyma. Przez medytacje, lekturę, modlitwę starano się poznać tę wspaniałą Osobowość i Franciszkową drogę wiodącą do zjednoczenia z Chrystusem. Jest to zarazem dla Franciszkańskiej Rodziny plan na dziś i na jutro. Jego realizacja nie będzie łatwa, ale nikt go za nas nie podejmie i nie wykona.

Dla ułatwienia realizacji tego programu, Współbracia zakonni OO. Bernardynów przygotowali tę książeczkę, jako swój dar dla Rodzin Franciszkańskich, jako uznanie swego Ojca i jako pokłosie jubileuszowe. Jest to zbiór kazań o św. Franciszku i jego idei, adresowany przede wszystkim do członków III Zakonu. Zbiór został ułożony alfabetycznie, według nazwisk autorów. Kazania te powstały w różnym czasie i na ogół były już wygłaszane bądź to na zebraniach rodzin franciszkańskich przy klasztorach bernardynskich w Polsce w formie miesięcznych konferencji, bądź jako

zwyczajne kazania do wiernych z okazji dorocznych uroczystości franciszkańskich. Oby zebrane w formie książki, jako okruchy jubileuszowe mogły nadal służyć w umacnianiu przekonania, że dobrze jest służyć Panu, wielbić Go za przewodnictwem i przykładem św. Franciszka. Niech więc niosą w świat Franciszkowy „Pokój i Dobro”.

O. Sylwester Niewiadomy OFM

Cnota roztropności w życiu tercjarza

„Synu, nic nie czyń bez rady, a po
uczynku nie będziesz żałował”

(Syr. 32, 24).

NASZ wielki poeta, Jan Kochanowski, takimi słowami słaawił cnotę:

*Cnota — skarb wieczny, cnota — klejnot drogi,
Tegoż nie wydrze nieprzyjaciel srogi.
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim innym panuje przygoda.*

Te słowa pochwalne pod adresem cnoty w ogólności, bez obawy przesady, w szczególny sposób możemy odnieść do pierwszej z cnót obyczajowych, czyli głównych, do cnoty roztropności. Roztropność bardzo sobie cenimy w życiu codziennym. Kierujemy się nią, by jakiś cel osiągnąć szybko i pewnie. Cnota ta tym bardziej jest potrzebna w życiu wewnętrznym, duchowym, aby pewnie osiągnąć wyznaczony cel, uświęcenie osobiste i zbawienie swojej nieśmiertelnej duszy. Cnota roztropności nie może być więc obca naśladowcy św. Patriarchy, który mimo swej spontaniczności, w życiu wewnętrznym i w kontaktach z ludźmi i ze światem kierował się roztropnością. Przed każdym ważniejszym czynem, przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem zastanawiał się głęboko, rozważał sytuację i jeszcze gorliwiej modlił się. Tak było przy układaniu pierwszej Reguły, przed przekazaniem zarządu Zakonem bratu Eliaszowi i we wszystkich innych ważniejszych sprawach. Św. Franciszek brał i w tym względzie przykład z samego Chrystusa Pana, którego pragnął najwierniej naśladować.

Boski nasz Zbawiciel często w swoich naukach podkreślał konieczność wyrabiania w sobie cnoty roztropności. Ileż na ten temat powiedział przypowieści, chociażby tę o roztropnym włodarzu czy o dziesięciu pannach. Ta ostatnia przypowieść została zaczerpnięta z weselnych zwyczajów żydowskich. Otóż dziesięć pań oczekiwało na ukazanie się oblubieńca, by przy świetle oliwnych lamp uroczystie wprowadzić go do domu oblubienicy.

Każda z tych panien wzięła ze sobą lampkę oliwną, ale uczta weselna się przeciągnęła i oblubieniec nie nadchodził. Zmęczone oczekiwaniem panny wszystkie posnęły, oliwa w lampkach się wypaliła. Około północy rozległo się wołanie: „Oblubieniec idzie, wyjdźcie mu naprzeciw”. Zerwały się panny, zaczęły zapalać lampy, ale tylko pięć z nich było roztropnych i wzięło ze sobą zapas oliwy w osobne naczynia, pozostałych pięć o tym nie pomyślało. I tylko te, które były gotowe, miały płonące lampy, weszły z oblubieńcem na gody, wzięły udział w uczcie weselnej. Do tego, aby wejść na gody niebieskie, aby wśród różnych przeciwności i trudności nie utracić wiecznego zbawienia, potrzeba dużo roztropności i przezorności.

Kto jest człowiekiem roztropnym? Roztropnym nazywamy tego człowieka, który zanim coś postanowi i uczyni — radzi się siebie, swego sumienia. Ono mu powie, czy cel, który pragnie osiągnąć jest moralnie dobry, pożyteczny, czy też zły i szkodliwy. Roztropność więc winna osądzić i odpowiednio kierować innymi cnotami, a przez to całą naszą działalnością moralną. W życiu praktycznym pokieruje ona np. cnotą miłosierdzia, by przychodzić z pomocą potrzebującemu, ale nie dawać wsparcia temu, kto je zużytkuje na złe cele. Kto praktykuje cnotę roztropności, ten najpierw zastanawia się nad celem, który chce osiągnąć, oraz środkami, które dopomogą mu do osiągnięcia określonego celu. Dopiero takie głębokie zastanowienie się i ukształtowanie właściwego osądu winno doprowadzić do podjęcia decyzji.

Cnota roztropności wiąże się ściśle z sumieniem, które jest głosem wewnętrznym wskazującym człowiekowi, co w danej chwili stanowi jego obowiązek moralny. Mówi ono człowiekowi: tu działaj tak, bo to moralnie dobre i w tych okolicznościach, w których się znajdujesz jest to twoją powinnością; tamtego nie czyn, ponieważ jest złe. Za tą wskazówką idzie druga czynność sumienia polegająca na tym, że śledzi ono i kontroluje, czy stosujemy się do jego rozkazu. Wreszcie sumienie wyrokuje, czy dokonany czyn był dobry czy zły. Sumienie jest więc sądem naszej inteligencji, orzekającym czy nasze postępowanie jest zgodne czy niezgodne z prawem Bożym, czy jest dobre czy złe. Tę zdolność sądenia dał nam Bóg. Dlatego sumienie nazywamy głosem Bożym. Apostoł Paweł wielokrotnie napomina, aby chrześcijanie kierowali się chrześcijańską roztropnością i sumieniem. (Rz 14, 5; 14, 13—15). W liście do Tymoteusza pisze: „To polecenie poruczam, synu mój Tymoteuszu, abys — według poprzednich o tobie prorocत्व — toczył ich miedą dobry bój, mając wiarę

i dobre sumienie” (1 Tym 1, 18—19). Kto jest roztropny, radzi się nie tylko swojego, ale i cudzego sumienia, a więc ludzi starszych i doświadczonych. Tylko pyszny i zarozumiały uważa siebie za tak roztropnego i mądrego, że nie musi się nikogo radzić. Człowiek mądry nie wstydzi się zasięgnąć rady innych, bo wie, że dzięki temu uniknie niejednego błędu czy poważnej szkody. Do tego zachęca nas również Pismo św., które mówi: „Synu, nic nie czynź bez rady, a po uczynku nie będziesz żałował” (Syr 32, 24). Nie należy jednak iść za każdą radą, ale tylko za radą ludzi, na których roztropności i doświadczeniu możemy w pełni polegać. Na jednym jednak doradcy nigdy się nie zawiedziemy, a mianowicie na Bogu. Boga trzeba nam się radzić w każdych okolicznościach. Już król Dawid nazwał przykazania Boże najlepszymi doradcami: „Sprawiedliwości Twoje — radą moją... Wtedy się nie zawstydzę, gdy baczyć będę na wszystkie przykazania Twoje”. Gdybyśmy brali sobie prawa Boże na doradców, uniknęlibyśmy wiele zła i wielu życiowych pomyłek, przynoszących szkodę naszemu życiu wewnętrznemu.

Cnota roztropności jest również bardzo potrzebna i konieczna w odniesieniu do bliźnich. Wprawdzie do każdego człowieka mamy się odnosić w duchu chrześcijańskiej miłości, ale nasz stosunek do drugiego człowieka musi być również oparty na cnotcie roztropności. Z obcowania z ludźmi możemy odnieść wiele korzyści duchowych, ale możemy również ponieść dotkliwe straty. Chodzi więc o dobór właściwych osób, z którymi się częściej stykamy i które uważamy za naszych przyjaciół. Nasz św. Zakonodawca i pod tym względem może być wzorem pełnego szacunku i roztropności w odnoszeniu się do innych i to zarówno w stosunku do swych współbraci zakonnych, jak do małuczkich i młodszych tego świata, tak mężczyzn jak i do kobiet.

Bądźmy więc roztropni w sprawach dotyczących naszego zbawienia i w sprawach doczesnych. Pismo św. nazywa błogosławionym człowieka, który znalazł mądrość i obfituje w roztropność. Mądrość i roztropność są droższe nad bogactwa i majątności. Starajmy się więc usilnie za przykładem naszego św. Ojca zdobywać cnotę chrześcijańskiej roztropności. Módlmy się do Ducha Świętego, aby za przyczyną naszej umiłowanej Matki, którą w Litani Loretąńskiej nazywamy Panną Roztropną, raczył udzielić nam wśród swych wspaniałych darów także i daru roztropności.

Papieże a Trzeci Zakon Franciszkanów

DO RZYMU, Stolicy Piotrowej i Kościoła Katolickiego na wezwanie Papieża Jana XXIII poczęli zjeżdżać z całego świata biskupi, by wziąć udział w Soborze Watykańskim II. W przeddzień rozpoczęcia Soboru papież Jan XXIII opuszcza Rzym i pociągiem udaje się do Loreto, gdzie w cieniach bazyliki stoi od wieków mały „Domek”, według legendy przeniesiony tutaj z Nazaretu. W Domku tym Słowo Boże Ciałem się stało, w nim też Bóg-Człowiek mieszkał po powrocie z Egiptu, w nim przy boku swego Opiekuna Józefa pracował jako cieśla i przygotowywał się do misji odkupienia ludzkości. W tym przybytku pada na kolana niezwykle Pielgrzym i prosi Maryję o łaski potrzebne dla Kościoła i Soboru. W powrotnej drodze pociąg zatrzymuje się w Asyżu. Pielgrzym wysiada i kieruje swe kroki w stronę Sacro Convento, świętego klasztoru, w którym spoczywa ciało św. Franciszka. Nie zatrzymuje się przed wspaniałymi freskami bazyliki, lecz pełen pokory udaje się do małej, podziemnej kapliczki-grobowca, upada na kolana przed grobem św. Ojca, prosi go o interwencję w sprawie Kościoła i świata. Symboliczna i pełna wymowy pielgrzymka, jedyna w swoim rodzaju, odbyta przez Papieża.

Dla Jana XXIII Franciszek — to nie symbol, lecz konkret, który dzisiaj, po przeszło siedmiu wiekach, może, powinien i musi być wprowadzony w życie przez obrady Soboru Watykańskiego II.

Niegdyś, gdy Franciszek stanął przed problemem co dalej, jaka jest wola Boża w stosunku do niego i Bernarda z Quintavalle, udał się do kościółka Matki Boskiej Anielskiej, modlił się i nakazał Bernardowi trzykrotnie otworzyć księgę Ewangelii i odczytać dostrzeżone zdania. Bernard spełnił rozkaz i czytał: „Jeśli kto chce być uczniem moim niech zaprze się samego siebie, weźmie krzyż swój na ramiona i pójdzie za Mną”. „Idź sprzedaj, co masz, rozdaj ubogim i pójdź za mną”. „Nie miejcie ani złota, ani srebra w trzosach waszych”. Słowami Ewangelii przemówił Bóg do tych mężów, a oni poszli za Nim. Podobnie czynił wielki Syn Franciszka, br. Józef — Papież Jan XXIII. Przed pierwszą sesją Soboru nakazał jednemu z biskupów przy-

nieść księgę Ewangelii, uroczyście złożyć ją na przygotowanym miejscu, by Słowo Boże przemawiało do zebranych w auli, by towarzyszyło im w czasie prac przygotowawczych, by ukazało się natchnieniem ku odnowie Kościoła i świata.

Franciszek i jego dzieło nie tylko dla Jana XXIII okazało się źródłem natchnienia, wzorem godnym naśladowania, pobudką uaktywnienia misji duszpasterskiej wśród świata. Spoglądając w przeszłość stwierdzamy, że idea franciszkańska była ośrodkiem zainteresowania wielu papieży. Honoriusz III, który jako kardynał i jako namiestnik Chrystusa spoglądał na szybko rozwijające się instytucje założone przez Franciszka, zatwierdził nie tylko I i II Zakon, ale także i III, złożony z Ludu Bożego żyjącego w świecie. Śladem Honoriusza III, wielkiego doradcy i przyjaciela Franciszka, szli jego następcy: Innocenty IV, Aleksander IV i Urban IV. Rozumieli bowiem, że ta młoda, młodzieńcza rodzina, która przyrzekła realizację rad ewangelicznych w świecie, jest siłą jakiej nie wolno zaniedbać i bagatelizować. Owszem, trzeba jej pozwolić rozwijać się bujnie, trzeba popierać, wykorzystać dobrą wolę i entuzjazm serc, by nawracać i odnawiać świat.

Mikołaj IV poszedł jeszcze dalej w stosunku do Trzeciego Zakonu. W 1289 roku wydał specjalną bullę, którą zatwierdził nową, dostosowaną do życia regułę, a tym samym stałą, wewnętrzną organizację życia i pracy. Reguła wysunęła Trzeci Zakon na czoło wszystkich instytucji kościelnych w świecie, stała się prawdziwym zaczynem siły duchowej, nowego życia, płomieniem oczyszczającym atmosferę i przekształcającym ówczesne społeczeństwo. Od chwili zatwierdzenia i wydania nowej reguły wszyscy papieże uznawali, że Trzeci Zakon jest silną armią odradzającą życie religijne, duchowe, społeczne. Dowodzą tego następujące fakty: Klemens V i Jan XXIII wysławiali Trzeci Zakon za prawdziwie katolickie stanowisko zajęte w czasie walk wewnętrznych z herezją „fraticellich”. Marcin V i Eugeniusz IV, po zakończeniu schizmy zachodniej, nie tylko brali w obronę Trzeciego Zakonu, ale zalecali go całemu światu. Sykstus IV w nagrodę za postawę katolicką zezwolił Trzeciemu Zakonowi na uczestniczenie w przywilejach, jakie I Zakon otrzymał od Stolicy Apostolskiej. Leon X interesował się Trzecim Zakonem do tego stopnia, że dostosował regułę do życia regularnego poza kłauzurą. Paweł III zatwierdził rodzaje konstytucji, przeznaczone dla odrębnych stanów. Papieże: Innocenty XI, XII i XIII oraz Benedykt XIII i XIV wydali specjalne przepisy życia i pracy, chcąc dostosować działalność Trzeciego Zakonu do ówczesnych warunków. Jest to

tylko krótkie przypomnienie papieży, którzy interesowali się Trzecim Zakonem i kierowali go ku wypełnianiu misji otrzymanej od Założyciela. A inni? Przeszło 40 papieży wysławia Trzeci Zakon i jego pracę w Kościele. Przeszło 400 bulli i pism wydali papieży na temat Trzeciego Zakonu. Dwa Sobory, lyoński w 1309 r. i lateraneński w 1512 r., wysławiały Trzeci Zakon.

Spójrzmy jeszcze na działalność ostatnich papieży w stosunku do tak drogiej Kościołowi Rodziny Franciszkańskiej. Pierwsze lata XVIII wieku nie sprzyjały Zakonowi i życiu zakonnemu. Trzeci Zakon, uderzony falą rewolucji, osłabł w pracy wewnętrznej i zewnętrznej. Nadeszła druga połowa minionego wieku. Podniesiony na wyżyny Pierwszy Zakon rozpoczął przy pomocy Stolicy Apostolskiej odnowę Trzeciego Zakonu.

Na Stolicy Piotrowej zasiadł papież Pius IX, rozpoczynający serię papieży należących do Trzeciego Zakonu. Zwrócił on szczególną uwagę na rodzinę Franciszkową i wołał: „Wieść, że z dnia na dzień rozszerza się i kwitnie Trzeci Zakon św. Franciszka z Asyżu, rozradowuje nas. Został założony, by wszystkich obdarzał zbawiennymi owocami swoich wysiłków. Spodziewamy się, że rozszerzenie tej zbawiennej instytucji przyniesie ulgę i zmniejszy zło, które prześladowuje ludzkość... Upowszechniajcie, upowszechniajcie Trzeci Zakon św. Franciszka. Nie możecie wyobrazić sobie do jak wielkich rzeczy jest on przeznaczony”.

Rozumiał to dobrze papież Leon XIII. Ten wielki syn św. Franciszka, po zreformowaniu i unowocześnieniu reguły, zapraszał wszystkich w szeregi Trzeciego Zakonu, „który — jak mówił — jest radykalnym środkiem na wyleczenie wszelkiego zła, na jakie choruje dusza i całe społeczeństwo”. Jego wspaniała encyklika „Auspicato” jest przepiękną zapowiedzią przygotowującą drogę drugiej „Rerum Novarum”. Papież ten mówił: „Niechaj nikt nie wątpi, że duch franciszkański, (jest) całkowicie i znamienicie chrześcijański, cudownie dostosowany do wszystkich czasów, ludzi i okolic (...) ... Starajcie się, by Trzeci Zakon został przez wszystkich poznany i uznawany stosownie do zasług. Uczynicie wszystko, by duszpasterze wyjaśnili, czym jest Trzeci Zakon, jak łatwo jest doń należeć, jakie otrzymał przywileje dla dobra dusz, jaki pożytek i korzyści przynosi społeczeństwu”.

Pius X, w liście „Recte vos”, wydanym w dniu 25 kwietnia 1909 roku, pisał: „Pragniemy, by zawsze rozkwitał Trzeci Zakon. Co może być lepszego w naszych czasach, kiedy w życiu rodzinnym, ludzkim i w społeczeństwach zaniedbuje się i gardzi wszystkim, co chrześcijańskie? Czegóż można więcej pragnąć nad to, by

kwitła i rozszerzała się ta instytucja, która poprzez wszystkie żyły może rozprowadzać ducha mądrości i karności chrześcijańskiej?”

Benedykt XV, również tercjarz franciszkański, z okazji 700-lecia założenia Trzeciego Zakonu w encyklice „*Sacra Propediem*” pisał: „Jesteśmy przekonani, że duch Trzeciego Zakonu opanowany przez mądrość św. Ewangelii wpłynie na polepszenie osobistych i społecznych obyczajów”.

Pius XI, który często nazywał się „starym tercjarzem”, w encyklice „*Rite expiatis*” zachęcał: „Wzywamy, aby (tercjarze) przez apostolską działalność usiłowali przyspieszyć rozrost duchowych ideałów wśród rzesz chrześcijańskich. To apostołstwo, które im niegdyś u Grzegorza IX zjednało nazwę żołnierzy Chrystusowych i drugich Machabeuszów, dziś może mieć również skutki doniosłe, gdy oni sami, jak rosną w liczbę po całym świecie, tak też — zapatrzeni we wzór swego Ojca Franciszka — dadzą ze siebie przykład zacnego i nieskalanego życia. Co zaś nasi poprzednicy, Leon XIII tudzież Benedykt XV jako swe gorące życzenia zlecieli wszystkim biskupom katolickiego świata, tego samego oczekujemy i My po waszej, Czcigodni Bracia, gorliwości; oto, iżby Trzeci Zakon Franciszkański usilnie popierali, pouczając owieczki Wasze, jakie ma znaczenie ten Zakon świeckich mężczyzn i niewiast, jak doniosła jest jego wartość, jak łatwe są warunki przyjęcia... jak znaczne korzyści Trzeci Zakon zapewnia tak poszczególnym osobom, jak społecznościom.

Pius XII w przemówieniu z dnia 20 września 1945 r. mówił: „Franciszek osiągnął swój cel, albowiem Trzeci Zakon dokonał wielkiego zadania tak w życiu zakonnym, jak i społecznym... Minione wieki stwierdzają, że wasz ruch podawał środki i bodźce, które i dzisiaj okazują się pożytecznymi w pracy nad wzrostem cnót chrześcijańskich”... Ten sam papież w roku 1956 powiedział do zebranych tercjarzy: „Trzeci Zakon, jako wybrany oddział w pokojowym wojsku świeckich, dziś jak nigdy dotąd, nastawił szyki swoje do obrony i rozszerzania Królestwa Chrystusowego na całej ziemi”. Pius XII pozwolił też przygotować nowe Konstytucje, i zatwierdził je dla Trzeciego Zakonu w świecie.

Kościół zaliczał więc i nadal zalicza Trzeci Zakon do tych instytutów świeckich, które podejmują prawdziwą i pełną profesję zakonną. To zaliczenie Trzeciego Zakonu, który jest chronologicznie pierwszym instytutem świeckim w Kościele, jest pewnego rodzaju wyjątkowym uznaniem ze strony Papieży.

Pamiętając o wypowiedziach papieży i soborów pielęgnujemy ideę św. Franciszka zachowując przepisy Reguły i Konstytucji.

Kształtujemy w ten sposób właściwy charakter życia franciszkańskiego w świecie, pragnąc okazać się godnymi spadkobiercami naszych wielkich poprzedników i czcicieli naszego duchowego Ojca.

Cnota męstwa w życiu tercjarza

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA w swojej książce pt. *Bez oręża* opisuje godną uwagi scenę z życia św. Franciszka. Biedaczyna z Asyżu w brunatnej opończy staje na ziemi uświęconej stopami Zbawiciela, idzie do sułtana tureckiego, aby głosić mu Ukrzyżowanego. I dziwna rzecz, sułtan zezwala św. Ojcu Naszemu na swobodne głoszenie Ewangelii Chrystusowej wśród muzułmanów. Fakt ten dowodzi, że seraficki Ojciec pałał ogromną miłością ku Chrystusowi Panu i nieśmiertelnym duszom ludzkim. Ale nie koniec na tym. Jeśli pamięta się o wrogości i nienawiści mahometan do chrześcijan, to należy przyznać, że św. nasz Ojciec Franciszek odznaczał się wielkim męstwem. Mógł przecież ten krok przypłacić życiem.

Podoba się nam człowiek odważny. Tchórzem każdy pogardza. A jednak w królestwie ptaków mało jest wspaniałych orłów, a za to co niemiara płochliwych wróbli, a w królestwie zwierząt mało jest lwów, ale za to sporo tchórzliwych zajęcy. Tak też, niestety, jest i w świecie ludzi. Wszystkim podoba się męstwo, ale mężnych na polu wiary świętej jest naprawdę mało. W czasie bitwy pod Płowcami Wincenty z Szamotuł, wojewoda poznański, w decydującej chwili, kiedy rozstrzygały się losy walki, opuścił bojaźliwie pole walki. Po bitwie król Władysław Łokietek posłał wojewodzie zajęczą skórkę. Iluż katolikom, a może nawet duchowym synom i córkom św. Franciszka, musiałby Pan Jezus takie skórki posyłać codziennie. Powiedział kiedyś surowo: „Każdego tedy, który mnie wyzna przed ludźmi, wyznam i ja przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech. A który by zaparł się mnie przed ludźmi tego zaprę się i ja przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech” (Mat 10, 32—33). Żyjemy w czasach zatraszenia, lęku i bojaźni. Coraz więcej jest ludzi takich, którzy przebywając z wierzącymi, mieniają się być wierzącymi, a z niewierzącymi deklarują się jako niewierzący. Nam nie wolno tak postępować. „My nie należymy do tych, którzy ustępują tchórzliwie na własną zgubę, ale jesteśmy mężami wiary, którzy swe dusze zbawiają” (Hebr 10, 39). Przechodzisz obok krzyża, kaplicy, czy kościoła zdejmuj nakrycie głowy, przeżegnaj się. Zabierasz się do spożywania posiłku, uczyni znak krzyża. Po jedzeniu podziękuj Bogu za dary. Jesteś w to-

warzystwie, zachodzi potrzeba wyznania wiary, musisz się na to zdobyć. Nie wstydzą się inni swego zaprzaństwa, my nie wstydzimy się swemu Bogu poddaństwa. Będą ci obiecywali przysłowio-we gruszki na wierzbie za cenę odejścia od Chrystusa i wiary. Będę drwić z ciebie, że modlisz się, chodzisz do kościoła i przystępujesz do sakramentów świętych i tą drogą prowadzisz dzieci. Wskażą ci na święte obrazy i pokażą legitymację mówiąc: „wybieraj”. Powiedz: ja już dawno wybrałem Chrystusa i światło Jęgi nauki. Bądź mężny, bo Pan Bóg nie chce mieć tchórzów, ale wyznawców odważnych i wiernych. Umiej bronić wiary, obrona Boga — to nie tylko sprawa kapłanów, księży, biskupów, prymasa, czy Ojca Świętego. Sobór Watykański II orzeka, że za zwycięstwo Królestwa Chrystusowego w duszach ludzkich odpowiadają wszyscy wierni, a skoro wszyscy wierni, to tym bardziej duchowi synowie i córki mężnego Biedaczyny z Asyżu, który swoje męstwo wyniósł ze szkoły Chrystusowej.

Twoje dziecko jedzie na kolonie. Nikt łaski ci nie robi. Ty płacisz składki na ten cel. A za tym twojemu dziecku nie może nikt przeszkadzać w uprawianiu modlitwy czy innych praktyk religijnych. Jest specjalny dekret „o wolności sumienia”. On obowiązuje wszystkich obywateli. Nie wolno przeszkadzać, namawiać, względnie profanować cudzych uczuć religijnych. Za nieszanowanie przepisów wymienionego dekretu grozi więzienie do pięciu lat. Trzeba znać prawa i umieć się nimi bronić. Tu nie chodzi o zwycięstwo naszych małych ambicji. Tu chodzi o zwycięstwo prawdy i dobra, o zwycięstwo Boga w duszy ludzkiej. Nie wolno nam zapominać, że Boski Zbawiciel zakładając swój Kościół, nie założył go jako instytucji dla głuchoniemych. Kiedy Jego sługa-kapłan, chrzcząc nas jako członków ludu Bożego, dotknął naszych ust, powiedział: „epheta” tzn.: otwórz się. A więc mają być otwarte nasze usta, język ma bronić Boga i Jego prawdy. Wrogowie chcieliby, abyśmy milczeli, a oni będą robić swoje. Chcą nas uspić. I, niestety, katolicy przespali już niejedną sprawę — choćby nauczanie religii w szkole. Notowano drugą falę usuwania krzyży z miejsc publicznych. W jednym miasteczku dyrektor zakładu pracy polecił pracownicy zdjąć krzyż ze ściany. Ta jako katoliczka i tercjarka nie tylko nie usunęła krzyża, ale stanęła mężnie w Jego obronie. Ów dyrektor nic jej nie zrobił, przeciwnie za jej otwartą postawę i mężne wyznanie wiary nabrał dla niej większego szacunku.

Czy każdy z nas zdobyłby się na taką postawę?

Albo inny przykład, godny zapamiętania. W jednym z naszych

miast obchodzono uroczystości maryjne, na które miały przyjść gromadnie także i dzieci. To się komuś nie podobało. Chciano przeszkodzić. Na tę samą godzinę, na którą było przewidziane nabożeństwo w kościele, dzieciom rozdano bezpłatne bilety do kina. Cóż na to dzieci? Ani jedno z nich nie poszło do kina. Nie pomogły groźby i szykany. Z otrzymanych biletów kinowych ułożyły serce Maryi i jako wotum przyniosły na swe nabożeństwo.

Moi drodzy, męstwo domaga się od nas wyznania wiary, bronięcia jej, i życia według jej zasad. „Sprawiedliwy mój z wiary żyje” (Hebr 10, 38). Życ z wiary tzn. kroczyć na codzien drogą Przykazań Bożych i kościelnych. Życ z wiary tzn. na każdy czas liczyć się z głosem swego sumienia. Życ z wiary tzn. oddać Bogu codzienną modlitwę, niedzielną mszę św. oraz korzystać często z sakramentów św. Życ z wiary tzn. realizować w swoim życiu zalecenie dekretu soborowego „*Perfectae caritatis*”, mówiącego, że „oddanie się Bożej służbie powinno (..) rozniecać i krzepić ćwiczenie się w cnotach, szczególnie pokory i posłuszeństwa, męstwa i czystości, przez które uczestniczy się w wyniszczeniu Chrystusowym (Flp 2, 7—8), a równocześnie w Chrystusowym życiu wg ducha” (Rz 8, 1—13). Kto ochotnie wypełnia swoje obowiązki religijne, ten pociąga innych do Chrystusa. Najpiękniejsze nawet słowa nie mają takiej siły dowodowej, co dobry przykład. Kilka lat temu z Ameryki przyjechali do Polski nasi rodacy. Swoim życiem z wiary zbudowali wielu. Kiedy znaleźli się w restauracji, wszyscy jak jeden mąż poprzedzili posiłek modlitwą. A gdy szli do Panienki Częstochowskiej, skoro tylko ujrzeni wieżę kościoła Jasnogórskiego, wspólnie, głośno odmawiali różaniec na cześć Matki Bożej. Wypełnili tym samym zalecenie Soboru Watykańskiego II, który tak mocno kładzie nacisk na apostołstwo.

Trzeba męstwa, aby wyznawać wiarę, bronić jej i według niej żyć. Potrzeba męstwa, aby wytrwać przy Bogu, aby być dobrym katolikiem. Potrzeba męstwa, aby być stałym w cierpieniach, w niepowodzeniach w walkach wewnętrznych i we wszelkiego rodzaju próbach. Męstwo jest cnotą poszukiwaną. Cześć i chwała synom i córkom św. Franciszka, którzy w tchórzliwych czasach XX wieku w swym życiu codziennym kierują się męstwem. Nieśmiertelna bowiem będzie ich pamięć na ziemi, a w niebie otrzymają koronę wiecznej zapłaty.

Ewangeliczność to szukanie Królestwa Bożego

KRÓLESTWO BOŻE

„CZAS się wypełnił”. „Królestwo Boże już jest”. „Nawróćcie się i wierzcie Ewangelii”. Aby wejść do Królestwa, trzeba się nawrócić. Nawrócenie zakłada wiarę w Ewangelię, określa nasze życie według wiary i wymaga ze strony człowieka stałego działania na rzecz Królestwa Bożego. „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości”. Królestwo Boże jest królestwem prawdy i życia, świętości i łaski, sprawiedliwości, miłości i pokoju.

KRÓLESTWO PRAWDY

1. O prawdzie można wątpić i przejść obok niej obojętnie, jak Piłat.
2. Wobec prawdy można stchórzyć, zaprzeć się jej, odwrócić od niej swoją twarz.
3. Prawdzie można przeczyć, chcieć ją zdeptać, upokorzyć, zohydzić, krzyżować.

Lecz jednego nie można zrobić. Prawdy nie da się zabić. Ona z najgłębszego lochu jaśnieć będzie. Ona z każdego grobu zmartwychwstanie i zawsze znajdują się ludzie, którzy będą jej dawać świadectwo i poniosą ją w świat, jak bojowy sztandar zwycięstwa. „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”. „Nauczycielu, wiemy, żeś prawdomówny i drogi Bożej w prawdzie nauczasz”.

E. Faure powiedział „Jeśli chcemy, by prawda dotarła do odbiorcy, musimy ją ufryzować”. Diogenes twierdził: „Prawda jest jak miód, smakuje temu, kto ma zdrowe zęby, popsutym sprawia ból”. Prawda boli tego, kto według niej nie żyje. Prawda Chrystusowa dużo żąda od człowieka. Żąda pracy nad sobą i walki z namiętnościami. A to jest niewygodne.

KRÓLESTWO ŁASKI

To owo tajemnicze działanie Boże w ludziach i w świecie. Nieustanne oświecanie umysłu i porywy woli. Owa moc, która w nas pokonuje i zwycięża zło. Chroni od rozpaczy, pozwala dźwigać krzyż cierpień, a ciężary codziennych udręk czyni lżejszymi.

szymi. Łaska to lina ratunkowa zarzucona nad przepaścią grzechu. To jedyna wartość, jaka pozostaje człowiekowi przy śmierci. To światło, które przez mroki grobu pozwala dojrzeć czekający w niebie Ojcowski dom.

KRÓLESTWO MIŁOŚCI

Istotną treść Ewangelii można wyrazić słowami św. Jana: „Bóg jest miłością”. W świetle tej prawdy Ewangelia staje się nowym objawieniem Boga. Wszystko co zostało stworzone, jest dziełem miłości. Z wiary w miłość rodzi się radość, męstwo w trudnościach i pragnienie, by nasze oblicze naznaczone było miłością. Potęga nienawiści jest wielka, ale potęga miłości ją przewyższa. Ociera każdą łzę, goi każdą ranę i rodzi wszystko co dobre i piękne.

KRÓLESTWO SPRAWIEDLIWOSCI

Każdy z nas ma wrodzone poczucie i pragnienie sprawiedliwości. Jest to pragnienie dane nam przez naturę. Jest ono z nami, rozwija się przez całe nasze życie i towarzyszy do ostatniego tchnienia. Pragniemy, aby postępowano wobec nas sprawiedliwie. Odczuwamy wyrzuty sumienia, gdy postąpimy niesprawiedliwie wobec innych. Wielki i niezaspokojony jest głód sprawiedliwości. Gdyby człowiek nie doznał zaspokojenia tego uczucia, byłby najniezwyklejszym na ziemi. Czy jednaki koniec świętego i zbrodniarza?

KRÓLESTWO SŁUŻEBNE

Nie szukanie władzy i pierwszych miejsc, ale posługiwanie innym, oddawanie siebie dla dobra innych aż do ofiarowania życia to program życiowy chrześcijanina. Jeżeli się zdarzyło w historii państwa czy narodu, że jego władca dzielił los z poddanymi, narażał się, jak oni, na niebezpieczeństwa, historia dawała mu przydomek „wielkiego”. Jakby drzemiała w ludziach podświadomie Boża myśl, że kto chce być pierwszy, winien być sługą: „Nie przyszedłem, aby mi służyli ale aby służyć”. Oto przykłady posługi Chrystusa: jako dziecię złożony w żłobie, blask tego „tronu” nikogo nie przeraża. Wystarczy pochylić się nieco, aby znaleźć się w zasięgu Jego ręki. Dzieli z nami ubóstwo, bo tylu ubogich na świecie. Chce ulżyć ich doli, obudzić dla nich współczucie i miłosierdzie chrześcijańskie. Staje przy warsztacie ciesielskim, by trudzić się jak my. Dzieli naszą dolę, bywa

zmęczony i głodny, źle wynagradzany, a nawet oszukiwany. Nie chce nikogo zostawić poza obrębem swego serca. Powiedział ktoś: „Świat to wielki cmentarz”. Kościół codziennie się modli, „jęcząc i płacząc na tym łożu padole”. Jezus przyszedł jako miłosierny samarytanin wlać oliwę łaski na ranę, budzić miłosierdzie i nieść pomoc cierpiącym. Na koniec oddaje tę najpiękniejszą posługę, najbardziej konieczną jaką jest ratowanie grzeszników. „Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy Twoje”.

KRÓLESTWO POKOJU

Jan XXIII w encyklice *Pacem in terris* pisze: „Pokoju na ziemi nie można budować inaczej jak tylko przez poszanowanie porządku ustalonego przez Boga”. Pokój jest pustym słowem, jeśli się nie opiera na prawdzie, sprawiedliwości i wolności.

PRZESZKODY W POSZUKIWANIU KRÓLESTWA BOŻEGO

Szatan — wróg Boga i nasz, kłamstwem i przewrotnością starał się poprzez wieki szkodzić sprawie Bożej. Znajdował zawsze takich ludzi, którzy byli podatnymi narzędziami jego niecznych zamiarów. Dość wspomnieć na moment męki Pańskiej i na okresy prześladowań chrześcijan. Wrogiem jest również grzech, który jest opowiadaniem się za bezprawiem, krzywdą, niesprawiedliwością. Wrogiem jest również złaicyzowany duch dzisiejszego świata. Wiara w rozum i jego nieskończone możliwości. Całkowite przyłgnięcie do materii, do wygod i używania a zamknięcie oczu na właściwe przeznaczenie człowieka, na jego cel i drogę. Chrystus walczył o królestwo prawdy, sprawiedliwości i miłości. Ale kiedy chciano Go obrać królem, wymknął się z rąk zachwyconego tłumu. Przed sądem oświadczył: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Wiemy z codziennego doświadczenia ile jest warte królowanie zdobyte dyplomacją czy siłą militarną. Miliony ludzi wychowanych w kłamstwie tą samą bronią zwracają się przeciw kłamcom. Pod osłoną szumnych haseł i sloganów ukrywa się zgnilizna. Chrystus za swoje Królestwo przelał krew i tak wszedł do serc wierzących.

EWANGELICZNOŚĆ

Jedynym pragnieniem św. Franciszka było życie w jak największej wierności Ewangelii. Zawsze chciał czerpać z niej moce do naśladowania Zbawiciela. Starał się, by Ewangelia jako norma

postępowania wyciskała piętno na jego myślach i zamierzeniach. Franciszek został przyjęty nie ze względu na swoje ubóstwo ani ze względu na swoją prostotę, lecz dzięki swojej prawdziwości, dzięki swej wierności Ewangelii. Poza wybitnymi darami naturalnymi, które zjednywały mu serca, Franciszek zjednął sobie zaufanie dzięki doskonałemu związaniu swego życia z Chrystusem, tak że uważano go za drugiego Chrystusa.

Jeżeli Ewangelia jest apelem skierowanym do człowieka, to ewangeliczność jest przyjęciem tego apelu i wprowadzeniem go w życie. Ponieważ Ewangelia domaga się wyboru bezwzględnego, jest rzeczą nieuniknioną, że ten kto ją wybiera będzie musiał ponosić ofiary. Sytuacja człowieka nigdy nie jest taka, by pozwalała na jasny i stanowczy wybór, lecz jest stanem niepewności. Czujemy się wszyscy przez całe życie jakby zawieszeni między dobrem a złem, w przedziale miłości i łaski lecz także pychy i nienawiści. Z jednej strony wierzymy w Boga, w miłość, w pokój, w czystość, a postępujemy tak, jakby te wartości w ogóle nie istniały. Świadomość człowieka jest tak głęboko pęknięta, jak pęknięty dzwon. Zawsze brzmi fałszywie. Dlatego rodzą się w niej kompromisy, ustępstwa, tchórzostwa.

PRZYKŁADY EWANGELICZNOŚCI

Pierwszym i najwznioślejszym przykładem ewangeliczności jest Najświętsza Maryja Panna, która bardziej niż ktokolwiek uczestniczyła w życiu Jezusa. „Oto ja służebnica Pańska” — to wyznanie jest pełnym zaufania powierzeniem się w ręce Boże. Św. Józef — oblubieniec Najświętszej Maryi Panny — mąż sprawiedliwy przyjmuje trudne zadanie. Jest zawsze wierny łasce i woli Bożej. Św. Paweł, podzielony wewnątrz, dąży do jedności z Chrystusem. „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. Św. Franciszek wyznawał: „Gdy Pan dał mi braci nikt nie okazywał, co miałem czynić, lecz sam Najwyższy objawił mi, że powinienem żyć według Ewangelii świętej”. Dla św. Franciszka nie było odwołania od drogi ewangelicznej, bo była ona dla niego żywym Chrystusem, a właśnie Chrystus, w co św. Franciszek najgłębiej wierzył, żądał bezwzględnej wierności w kroczeniu tą drogą. W Kościele za świętym Franciszkiem coraz więcej ludzi kieruje się Ewangelią idąc przez życie drogą, jaką wytyczają jej nakazy.

Kim jest człowiek?

„Cóż jest człowiek, iż nań
pamiętasz, albo syn człowieczy,
iż go nawiedzasz”

(Ps 8, 5).

DRODZY W CHRYSZTUSIE PANU!

SŁYNNY malarz francuski z przełomu XIX i XX wieku Paul Gauguin namalował w roku 1897 tryptyk, pod którym napisał: „Skąd przybywamy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?” Pytanie takie staje przed każdym człowiekiem z wielkiej, trzymiliardowej rodziny ludzkiej zamieszkującej glob ziemski. Odpowiedź na to pytanie staje się coraz bardziej nagląca, gdyż hałaśliwa technika zapewnia nas o boskiej niemal mocy, jaka została nam dana. Jej coraz zawrotniejszy postęp w ostatnich latach dobitnie świadczy, że człowiek poznał w sposób doskonalszy niż kiedykolwiek prawa przyrody i wykorzystuje je, budując pojazdy kosmiczne, atomowe łodzie podwodne i mózgi elektronowe, a nawet usiłuje przeszczepić ludzkie serce. W perspektywie niedługich lat leży podróż człowieka na księżyc. Ostatni Sobór stwierdza, że: „Za naszych dni rodzaj ludzki ogarnięty zdumieniem z powodu swych wynalazków i swojej potęgi, dostrzega jednak często dręczące pytanie o współczesny rozwój świata, o miejsce i zadania człowieka we wszechświecie, o sens swych jednostkowych i zbiorowych wysiłków”. (*Gaudium et Spes*, n. 3).

Kim jest człowiek — twórca osiągnięć technicznych — zdolny do bohaterstwa, a jednocześnie zdolny do pełnienia zła i zbrodni, czego symbolem dla nas, ludzi współczesnych, jest Hiroszima i Oświęcim. Gdy patrzy w swą głębię, gmatwaninę motywów swego działania, jest świadomy swych zrywów ku dobru oraz rezygnacji z nich. Ciągłe coś się w nim dzieje, ku czemuś dąży. Stara się poznać wszechświat, wykryć prawa kierujące kosmosem. Sam dla siebie jest jednak nadal problemem, jest nadal pytaniem.

Pismo św. pyta: „Czymże jest człowiek, albo co za pożytek z niego?” (Ekl 18, 7). „Cóż jest człowiek, iż nań pamiętasz, albo syn człowieczy, iż go nawiedzasz? (Ps 8, 5). Chór w *Antygo-*

nie Sofoklesa recytuje: „Wiele jest dziwów na świecie, człowiek największy dziw przecie”. Św. Augustyn w zadumie nad głębią ludzkiego serca zauważa: „Co wewnątrz człowiek może, jak tam się zachowuje, jak działa, jak tam sprawy układa, co wewnątrz chce, a czego nie chce — któż to pojmie?”. Nic więc dziwnego, iż problemem człowieka zajmuje się filozofia, nauki przyrodnicze i społeczne oraz teologia. Każda z tych dyscyplin formułuje swe pewniki i przypuszczenia. Te ostatnie trwają czekając na uzasadnienie lub zmieniają się w wyniku nowych odkryć i badań. „Czym zaś jest człowiek? Przedłożył on i nadal przedkłada wiele różnych, a nawet przeciwstawnych mniemań o sobie, w których często, albo siebie wywyższa jako absolutną normę, albo poniza do rozpacz, stąd więc jest chwiejny i udręczony” — stwierdza Sobór Watykański II (*Gaudium et Spes*, n. 12). Człowiek uparcie stara się poznać genezę wszechświata, obliczyć wiek ziemi, a przy tym także swój początek i swój wiek. Badając wykopaliska z przeszłych epok zadaje sobie pytanie: Czy jestem jedynie jednym z gatunków istot żyjących na ziemi przypadkowo powstałym w wyniku ewolucji, czy też czymś więcej? Uprzedzając odpowiedź na to pytanie stwierdzić musimy, że trudno się zgodzić na to, aby materia niestworzona miała zrobić życie. Co więcej, nader pesymistyczna byłaby perspektywa człowieka, który byłby jedynym drobnym fragmentem ewolucji zwierzęcej, odrobiną pyłu zagubioną w morzu galaktyk, nie posiadającą żadnego większego znaczenia. Przyjęcie takiej koncepcji prowadziłoby nieuchronnie do bezgranicznej rozpacz.

Uczciwie stwierdzić trzeba, że nauka ma prawo twierdzić, że człowiek jest zwierzęciem. Anatomia bowiem podaje, że człowiek pod względem budowy podlega tym samym prawom co niektóre zwierzęta. Człowiek dość ściśle łączy się ze światem zwierząt, jak to wykazuje systematyka zoologiczna. Co więcej, nauka dostarcza — choć powoli i w niedostatecznym jeszcze stopniu — ogień ewolucyjnych łączących praczłowieka z człowiekiem współczesnym. Zgadza się więc, że człowiek w swej konstytucji cielesnej ma bardzo wiele wspólnego ze zwierzętami. Ale oto wraz z człowiekiem pojawiło się na ziemi coś nowego, a mianowicie umysł i świadomość na najwyższym stopniu rozwoju. A zatem życie czysto biologiczne, cielesne nie wyczerpuje całej istoty człowieka. Obok tego życia biologicznego istnieje bogate życie duchowe z pragnieniem szczęścia oraz z miłością, której „najmniejsze drgnienie jest z dziedziny nieskończenie wyższej” (Pascal): Ze względu na to można i należy człowiekowi przyznać wy-

jątkowe miejsce we wszechświecie. Nie zgadzamy się z opinią — gdyż wydaje się aż nazbyt absurdalna — że życie duchowe świadome i wolne pochodzi od bezrozumnej materii. Istnienie tego życia domaga się Boga, o którym Pismo św. powiada, że „dla nieśmiertelności Bóg stworzył człowieka, uczynił go obrazem swej własnej wieczności” (Mądr 2, 23). Posiada więc człowiek obok śmiertelnego ciała duszę nieśmiertelną, którą otrzymał od Boga i która go czyni podobnym do Niego. A zatem posiadanie przez człowieka nieśmiertelnej duszy nadaje mu nowe wymiary, nową wartość w hierarchii bytów ziemskich. Doświadczając tego psalmista woła: „Mało niższym od aniołów uczyniłeś człowieka, chwala go uwieńczyłeś i godnością, ustanowiłeś go władcą nad wszystkimi Twoich rąk dziełami” (Ps 8, 6—7).

Życie ziemskie nie jest jedynym życiem człowieka, jest jedynie małą jego częścią. Życie obecne to tylko kilka kartek tomu, którego olbrzymia, niezliczona ilość stron znajduje się po tamtej stronie życia — to jest w wieczności. Warunkiem osiągnięcia tego życia jest wiara w Boga i życie według Ewangelii. „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł żyć będzie na wieki”. Ze względu na nieśmiertelną duszę posiada człowiek wartość nie tylko w stosunku do innych stworzeń, ale również ma ją w oczach Bożych. Bo gdyby niczym był człowiek i Bóg by go nie umiłował, ale przyszedłby Jezus Chrystus, by człowieka odkupić. Świadomość posiadania nieśmiertelnej duszy każe człowiekowi, od chwili gdy po raz pierwszy spojrział w niebo, zabiegać o tę nieśmiertelność. Od początków dziejów ludzkich pojawia się kult, który wyraża powiązania człowieka z Bogiem.

Przy końcu 1967 roku w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie zorganizowano międzynarodową wystawę fotograficzną pt. „Kim jest człowiek”. Posługując się trafną obserwacją, niekiedy nawet paradoksem (garbuska oglądająca wystawę Diora), starano się dać odpowiedź na to pytanie poprzez zobrazowanie wszelkich możliwych aspektów życia ludzkiego, poczynając od narodzenia człowieka, poprzez jego życie w sferze gospodarczej i kulturalnej, aż na śmierci kończąc. Przedstawiając uczciwie życie ludzkie nie dało się z jego całokształtu usunąć pierwiastka religijnego. Zgromadzono więc pewną ilość fotografii obrazujących przejawy życia religijnego człowieka i nadano im wspólny tytuł: Tajemnica wiary.

Człowiek jest z natury swojej istotą religijną. Jeżeli wyrzeka się prawdziwego Boga, stwarza sobie jako rekompensatę namiastkowe bóstwa. Jeżeli nie wierzy w nieśmiertelność duszy, tworzy

w zamian mit o nieśmiertelności sławy i pamięci wśród ludzi. Niejednokrotnie celowo tłumione pragnienia ludzkie kierujące się ku Bogu biorą górę nad sceptycyzmem i niewiarą. Nawet Nietzsche woła do nieznanego Boga:

*„O powróć znów,
O powróć, przyjdź,
Przecież ku Tobie płyną
Wszystkie źródła mych łez.
Dla Ciebie zapłonął
Ostatni serca mego płomień.
O powróć, przyjdź
Nieznany Boże mój,
Mój bólu — ostatnie szczęście me”.*

Nieśmiertelna dusza przynosi człowiekowi z sobą wspaniałe dary rozumu i woli. Można usilnie zaprzeczać nieśmiertelności duszy, ale jest nieprawdopodobne, by ktoś pokusił się odmówić człowiekowi daru rozumu. To właśnie dzięki niemu człowiek wyraźnie wzbija się ponad poziom życia pozostałych stworzeń, i staje się koroną wszelkiego stworzenia. Rozum umożliwia poznanie świata i pozwala na przekształcanie go według woli człowieka. Dzięki rozumowi można poznać nie tylko otaczającą rzeczywistość, ale próbować określić istotę człowieka, wnioskować o istnieniu Istoty Najwyższej, stworzyć pojęcie dobra, piękna lub zła. Mimo to człowiek nie byłby tym czym jest, gdyby nie posiadał wolnej woli. Ten właśnie przymiot czyni go w pełni człowiekiem. Jest wolny, nieskrępowany w swym postępowaniu i wyborze. Może nawet pozytywnie lub negatywnie odpowiedzieć na Boże wezwanie. Tylko człowiek w pełni wolny może mieć zasługę, tylko taka istota może być partnerem Boga w historii Zbawienia. Prawdopodobnie człowiek zły, ale wolny, jest istotą nieskończenie wyższą od świętego, który nie byłby wolny.

Kim więc jest człowiek? Jest jedyną spośród ziemskich istot przeznaczoną do wieczności, jedyną rozumną istotą obdarzoną umysłem i wolną wolą.

Moi Drodzy! Św. Franciszek z Asyżu nie rozważał człowieka w jego koncepcji. Przyjmował go jako fakt, jako jednego z mieszkańców Bożego domu, którym jest świat. On chciał, by każdy człowiek wolny i radosny jak średniowieczny trubadur włączył się do hymnu śpiewanego przez cały świat na cześć Stwórcy. Św. Franciszek widział człowieka konkretnego, takim jaki on

był — dobry lub zły — i podchodził do niego z miłością. Pragnął go uwolnić od zła, co tak poetycznie przejawia się w pokrośmieniu wilka z Gubio czy też w uwolnieniu miasta Arezzo od złych duchów. Wskazywał nawet drogę osobistego protestu dla podkreślenia, że wartość człowieka nie leży w jego zewnętrznych przymiotach, takich jak pochodzenie czy majątek. Przejawia się ona w zdolności umiłowania Boga i drugiego człowieka. W swym wielkim, seraficznym zapale usilnie pragnął rozpalić w rodzinie ludzkiej ducha wzajemnej braterskiej miłości, która wypływa z przekonania, że Bóg jest Ojcem wszystkich ludzi.

Katolicka świadomość tercjarza

PO CZTERECH latach pracy, w dniu 8 grudnia 1965 roku, zamknięty został Sobór Watykański II — wielkie zgromadzenie najwyższych przedstawicieli Kościoła. Mówiąc najogólniej dziełem Soboru miała być odnowa Kościoła. Czy była konieczna? Oczywiście! Wprawdzie Kościół jest święty, bo żyje w nim Chrystus, ale równocześnie jest niedoskonały, słaby, bo z ludzi złożony. Wszystko zaś co ziemskie podlega skażeniu. Wymaga zatem naprawy.

Trzeci Zakon również składa się z ludzi, którzy mimo najlepszych chęci mogą w wielu sprawach niedomagać. I mówiąc o odnowie Kościoła myślimy także o naprawie tercjarstwa. Z tym tercjarstwem nie jest u nas za dobrze. Opinia ludu zawsze coś znaczy, a dzisiaj opinia ta uważa np. tercjarkę za kogoś identycznego z dewotką, obłudnicą, plotkarką — zaniedbującą obowiązki domowe czy zawodowe. Dzieje się to z wieką krzywdą dobrych tercjarów, z krzywdą sprawy tercjarzkiej i katolickiej. Powiedzmy otwarcie, w szeregach tercjarzskich nie ma miejsca dla połowiczności, przeciętności czy lenistwa duchowego. Źli tercjarze, złe tercjarki to nie tylko ciężar w pracy tercjarzkiej, ale również zgorzenie i zło w parafii, w Kościele. Tylko przez dezynfekcję i selekcję szeregów tercjarzskich zdejmujemy z tercjarstwa maskę i etykietkę dewocji. Tylko w ten sposób przywrócimy mu dobrą opinię i zapewnimy dalszy rozwój. Przecież na przestrzeni siedmiu wieków Trzeci Zakon cieszył się wielkim uznaniem. Należeli do niego ludzie różnego stanu i zawodu. Obok ludu pracującego na roli byli tu robotnicy fabryczni, urzędnicy, profesorowie i najwyżsi dostojnicy państwa, byli proboszczowie wiejscy i kardynałowie, a nie brakło w szeregach tercjarzskich nawet i papieży. Tercjarstwo było prężne, dynamiczne, apostołskie. Pod jego wpływem rozkwitały dobre obyczaje u młodzieży, cichły niezgody, łagodniały zawiści, zażartym mścicielom wytrącano broń z ręki, ubogim i cierpiącym śpieszono z pomocą. Dodajmy do tego troskę o rozwój i utwierdzenie wiary, praktyczne wprowadzenie Ewangelii w życie jednostek, rodzin i społeczeństw — a przekonamy się, jak pożyteczną rolę spełnił Trzeci Zakon w historii Kościoła. Ten Zakon istnieje nadal. Wy go tworzycie. I Kościół

posoborowy wiąże z wami wielkie nadzieje. Liczy na was. Zaprasza do współpracy. Czeką na waszą inicjatywę. A czas nagli! Nie ma chwili do stracenia. Jakaż więc rolę wyznacza wam Kościół? — Jakie zadania przed wami stawia? Pytamy o to naszego założyciela, św. Franciszka, pytamy papieża i ostatniego Soboru.

Jest wiek trzynasty. Kościół trzeszczy w posiadach. Chrześcijaństwo niepomni swej godności patrzy tylko na ziemię. Szukają przyjemności zmysłowych. Wzrasta samolubstwo. Znika uczucie miłosierdzia względem słabych i biednych. Analfabetyzm religijny i lenistwo prowadzą do lekceważenia obowiązków chrześcijańskich. W sercach ludzkich stygnie miłość do Boga. Jest źle. I wtedy Chrystus powołuje św. Franciszka: „Franciszku, napraw mój dom”. Napraw Kościół katolicki. Franciszek rezygnuje z kariery kupieckiej. Z Ewangelią i ze słowami: „Miłość nie jest kochana” zabiera się do pracy. Nawołuje do odnowy obyczajów. Ukazuje piękno Ewangelii. Błaga o odrobinę miłości do Chrystusa. Słowa jego odnoszą skutek. Do Franciszka garną się mężczyźni i kobiety, gotowi poświęcić swe życie dla sprawy Bożej. Oni to tworzą I i II Zakon Franciszkański. Ale kandydatów jest więcej. Np. w wiosce Canaria, niedaleko Asyżu, prawie połowa ludności chciała opuścić życie rodzinne i wstąpić do Zakonu. Było to oczywiście niemożliwe. Ci ludzie musieli pozostać przy dotychczasowych zajęciach. — Cóż więc z nimi uczynić? Św. Franciszek znalazł sposób, utworzył z nich III Zakon. — Zostaniecie na świecie. Tam jesteście potrzebni. Żyćcie według Ewangelii. Zachowujcie przykazania Boże i kościelne. Wspierajcie ubogich, pielęgnujcie chorych. Darzcie wszystkich miłością. Przykładem swego życia pociągajcie innych do Chrystusa. Na tej drodze i sami osiągniecie doskonałość i bliźnich do Boga skierujecie.

Tak patrzył na III Zakon sam założyciel — św. Franciszek. Poprzez tercjarzy pragnął tchnąć w ówczesne społeczeństwo ducha Ewangelii. I rzeczywiście, nowe zgromadzenie zakonne stało się wkrótce zbawiennym ruchem religijno-społecznym, ruchem, który przeorał i użyźnił świat chrześcijański nauką Chrystusa.

Nic więc dziwnego, że i papieża pochlebnie o tercjarstwie mówili i wielką w nim pokładali nadzieję. Spodziewali się, że III Zakon św. Franciszka odnowi w Kościele czasy pierwszych chrześcijan. Tak sądzili wszyscy papieża ostatniego stulecia, a zwłaszcza Leon XIII, Pius X, Benedykt XV.

Przytoczmy dla przykładu opinię wielkiego papieża Leona XIII. Pisał on: „Trzeci Zakon jest najpełniejszym wykonaniem Ewangelii, ...najdokładniejszym zrozumieniem życia chrześcijań-

skiego. Jego siła i moc tkwi w tym, że jak niegdyś tak i dzisiaj wiedzie ludzi do naśladowania Jezusa Chrystusa, umacnia przywiązanie do Kościoła, urabia cnoty chrześcijańskie... Zwłaszcza teraz Trzeci Zakon jest najbardziej odpowiednim środkiem do tego, by świat doprowadzić do rzetelnego wyznawania Ewangelii". „Chcę w tym Zakonie — pisze papież — mieć silną ostoję, która mi pomoże do obrony praw Kościoła Bożego”.

I wreszcie głos ostatniego Soboru. Wśród 16 dokumentów soborowych jeden jest szczególnie dla nas cenny: dekret „O apostołstwie świeckich”. Otwiera on przed Trzecim Zakonem szerokie możliwości pracy dla sprawy Bożej. Ten dekret nawołuje wszystkich wiernych do apostołstwa, ale w pierwszym rzędzie liczy on na świadomość katolicką tercjarzy. Pragnąc chrześcijańskiej odnowy porządku doczesnego, mówiąc o konieczności zastosowania zasad Ewangelii do zagadnień naszych czasów (2 AS) — za pionierów tej pracy uważa tercjarzy, ludzi na miarę św. Franciszka.

Współczesny świat, podobnie jak w wieku XIII, wraca do pogaństwa. Świadczy o tym sposób życia ludzi, ich uczucia i przekonania. Jedno go może uratować — powrót do prawdziwego chrześcijaństwa. A czujemy dobrze, że w tej akcji ratunkowej nikt chyba nie jest powołany do odegrania większej roli niż tercjarze. Trzeci Zakon bowiem ma to do siebie, że urabia ludzi prawdziwie katolickich, uczciwych, świadomych, pełnych apostołskiego ducha, ludzi o duszach mężnych, zdecydowanych walczyć z wszelkim złem.

W świecie rozdartym sprzecznościami, w atmosferze rozkładu, jaki wywołuje współczesne bezbożnictwo, tercjarze mają być „solą ziemi” i „światłością świata”. Mają strzec Bożego ładu i głosić swym życiem Ewangelię. Swoimi obyczajami, sposobem obcowania, gorliwym spełnianiem swych obowiązków — całą swoją osobowością mają pociągać ludzi do Chrystusa. Wspomniany dekret soborowy, omawiając różne formy apostołstwa zbiorowego, wyraźnie zaznacza: „Spośród stowarzyszeń zasługują na uwagę przede wszystkim te, które akcentują i wysuwają na pierwsze miejsce swych członków ściślejszą łączność między życiem praktycznym a wiarą... Ich skuteczność apostołska zależy od ich zgodności z celami Kościoła oraz świadectwa chrześcijańskiego i ducha ewangelicznego poszczególnych członków całego zespołu”. (19 AS).

Tercjarz musi się okazać tercjarzem nie tylko w kościele, ale zawsze i wszędzie. Wtedy tylko możemy wpływać na innych, gdy nasze życie, nasze uczynki idą po równej linii z zasadami, które głosimy.

Powiada bowiem Pan: „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre czyny wasze i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech”. *Nowa tercjarka* to będzie ta „dzielna kobieta”, o której mówi Pismo św., że trudno ją znaleźć. Pobożność jej będzie prawdziwa. Nie zostawi jej w kościele, ale ją zachowa i na ulicy, i w życiu rodzinnym, i towarzyskim. *Nowa tercjarka* będzie wzorem kobiety-chrześcijanki. Ona to odrodzi moralność towarzyską i społeczną, rodzinie zaś przywróci na nowo charakter i godność instytucji Bożej. *Nowy tercjarz* to będzie mężczyzna dzielny, pełny, doskonały; katolik męski, otwarty i rozumny. Będzie to w całym tego słowa znaczeniu apostoł świecki, zdolny do akcji katolickiej i społecznej. Tylko taki potrafi opromienić duchem Ewangelii swój dom, swoje podwórko, swoje miejsce pracy i odpoczynku. Tylko taki potrafi wyjść poza metraż własnego mieszkania i dojrzeć szersze „światła koło” niż to, które egoizm i lenistwo „zakreśla tępyimi oczy”. Swą troską ogarnie on własny naród i cały świat.

W dekrecie „O apostołstwie świeckich” czytamy: „Niech świeccy przyzwyczajają się działać w parafii w ścisłej jedności ze swoimi kapłanami, przedstawiać wspólnocie Kościoła problemy własne i świata oraz sprawy dotyczące zbawienia celem wspólnego ich omówienia i rozwiązania; współpracować w miarę sił we wszystkich poczynaniach apostołskich i misyjnych swojej kościelnej rodziny. Niech będą zawsze uwrażliwieni na sprawy diecezji... gotowi zawsze na wezwanie swego pasterza zaangażować własne siły w przedsięwzięcia diecezjalne, narodowe, międzynarodowe” (10 AS).

Rozumiecie te słowa? Duszpasterze wasi zapraszają was do współpracy. Czekają na waszą inicjatywę, życzliwą i roztropną radę. Żyjecie wśród ludzi i z ludźmi. Najlepiej znacie ich bolączki i potrzeby. Tworzycie nadto zwarty kolektyw. A tylko wspólnymi siłami można podnieść poziom religijny swego środowiska: zorganizować opiekę nad chorymi, ubogimi i samotnymi; zająć się zaniedbanymi dziećmi, młodzieżą, rodzinami. To będzie wasz wkład w soborową odnowę Kościoła. Wkład indywidualny i zbiorowy. Stać was na podjęcie tych zadań. Trzeci Zakon bowiem to elita katolicyzmu. To ludzie o gorącym sercu, odważni, gotowi na wszystko dla Chrystusa. Przypomną współczesnemu światu czasy św. Franciszka, ożywią wiarę, nadzieję i miłość.

Miłość rodzinna w życiu tercjarza

PRZED kilkudziesięciu laty wyniesiono na ołtarze św. Teresę od Dzieciątka Jezus. Gdy bliżej zapoznamy się z życiem tej świętej, wtedy łatwo będzie stwierdzić, że dążenie do świętości przejęła ona od matki, a zwłaszcza ojca. Jedno jest pewne, że ojciec kierował życiem rodziny. Gdy mała Terenia klęczała często obok niego w czasie wieczornego pacierza, wiedziała, że ojciec modli się jak święty. Raz ciężko zachorowała jej siostra, Maria. Wtedy ojciec na czczo udał się na pielgrzymkę do miejsca słynącego łaskami, odległego o 6 mil, i na czczo wrócił do domu. Gdy zmarła mu żona, jeszcze bardziej odczuł swe kapłańskie posłannictwo w stosunku do dzieci. W Zielone Świąta 15-letnia Terenia siedziała z ojcem pod drzewem. Ojciec zapytał: „Co ci jest, Tereniu?” Terenia wyznała ze łzami: „Tatusiu, na Boże Narodzenie chciałabym być w klasztorze”. Ciężka to była ofiara. Razem z ulubionym dzieckiem odchodziła część ojcowskiego serca. A jednak z uczuciem ojcowskiego bólu łączyła się święta duma kapłańska, że to czyste dziecko może nazwać własnym. Drżącą ręką zerwał biały kwiatek i wręczył go córce mówiąc: „Weź go, mały biały kwiatku niebios. Jest mi ciężko, ale nie wolno mi się przeciwstawiać. Idź za głosem Zbawiciela.

Wielka jest godność ojca. Imieniem „ojciec” kazał się Bóg pozdrowiać; to imię Boże. Bóg-Ojciec to pierwsza Osoba w Rodzinie Niebieskiej, tj. w Trójcy Przenajświętszej, a ojciec pierwsza osoba w rodzinie ziemskiej.

Toteż strażnicy opoki Piotrowej, papieże, tak często podkreślają wielkość mężczyzny — ojca. Jeżeli ma się mówić o odnowie rodzin, to odnowa winna brać początek od mężów. Tego zaś odnowienia rodzin przez mężów oczekują papieże od Trzeciego Zakonu św. O. Franciszka. Kiedy mężczyzna zostanie umocniony w cnotach chrześcijańskich, to duch ten przejdzie na rodzinę. Już w 1883 r. czcigodny biskup z Briksen zachęcał klery swej diecezji do zabiegania o to, by szczególnie mężczyźni wstępowali do Trzeciego Zakonu, gdyż przez zachowanie reguły najbardziej utrwala się życie prawdziwie rodzinne i chrześcijańskie. Takim duchem był przepojony tercjarz, patron III Zakonu — św. Tawfik, król francuski, który tak pięknie potrafił zharmonizować obowiązki świę-

tęgo ojca rodziny, mądrego monarchy z dziełami pobożności. Kiedy był bliski śmierci, zwrócił się do swego syna Filipa, następcy tronu mówiąc: „Synu mój, pierwszą rzeczą, jaką ci polecam, jest żebyś Boga miłował z całego serca i raczej wszelkie męki wycierpiał, niż miałbyś grzech ciężki popełnić. Przystępuj często do trybunału pokuty, słuchaj z serdeczną pobożnością mszy św., nie obciążaj ludu podatkami i broń sług Kościoła”. Czyż taki ojciec — tercjarz, święty kapłan ogniska domowego nie wprowadzi w dom serdecznej atmosfery rodzinnej? Tacy nie zawiodą nadziei papieży, Kościoła. A takich pięknych postaci w życiu rodzinnym mamy bardzo dużo. Oto jeszcze jedna z nich. Tercjarz — dobry mąż i ojciec. Był biedny. Aby pomóc swej żonie, którą bardzo kochał, by dzieciom zabezpieczyć jako tako byt na przyszłość wyjechał w świat „za chlebem”. Zarobił, dokupił trochę pola, wystawił nowy dom. Zdawało się, że teraz życie ułoży się mu dobrze, szczęśliwie. Przyszły jednak Hiobowe nieszczęścia. Pożar zniszczył część zabudowań, po kilku latach przyszła zaraza, w czasie której umarła ukochana żona i dwoje dzieci. Został sam z czworgiem małych dzieci. Teraz musiał być i matką i służącą. Sam sprzątał, gotował, prał, cerował... Powoli do tego zaprawiał te małeństwa (najstarsze miało zaledwie 12 lat), a one też chętnie pomagały, bo znały czwarte przykazanie: „Czcij ojca...”. Ojciec odmawiał z nimi modlitwy, rano śpiewali razem godzinki. W sobotę odczytywał urywek z Ewangelii, jaki przypadał na niedzielę, by potem dzieci mogły go lepiej zrozumieć i zapamiętać. W niedzielę zabierał dzieci do kościoła, gdzie wiedziały jak się zachować, tak że ludzie się z nich budowali. A kiedy wrócili do domu, pytał o treść kazania i dzieciom tłumaczył jak to trzeba wprowadzać w życie. Z religią ksiądz katecheta nie miał trudności, bo sam ojciec często dzieci egzaminował. Nikt się na dzieci nie skarżył, nikomu krzywdy nie robiły, a sąsiedzi nie mogli się ich nachwalić, bo często śpieszyły im z pomocą. Dobrze to były dzieci; miłość, serdeczność i zgoda panowały w tej rodzinie, bo ten ton serdeczny nadawał jej ojciec. A jakie piękne, budujące były jego ostatnie lata! To lata modlitwy, lata kontemplacji „człowieka prostego”. Jak gdyby znał godzinę śmierci. Przywołał swoje dzieci i wnuczki i polecił im odmawiać modlitwę za konających. Sam znał na pamięć tę modlitwę, bo w ostatnich latach odmawiał ją codziennie. A potem, żegnając się z dziećmi powiedział: „Kochane dzieci, życie miałem bardzo ciężkie, dosyć się napracowałem, namartwiłem, ale się nie załamalem nigdy, bo was bardzo kochałem, więc z myślą o was, o wa-

szej przyszłości to wszystko cierpliwie znośłem. W tym zaś pomagał mi dobry Bóg. Dzieci, kochajcie Boga tak, jak was uczyłem, bo tylko z Bogiem można być spokojnym i szczęśliwym. Cieszę się i Bogu dziękuję, że was dobrze wychowałem i że doczekałem się kilku księży z mojej rodziny!”. Prosił o kropielniczkę (bo w tym domu zawsze wisiała kropielniczka ze święconą wodą), przeżegnał się, błogosławił dzieci, ucałował krzyżyk misyjny, który zawsze miał przy sobie, westchnął: „Boże mój” i zakończył swą wędrówkę życia. Dusza ojca rodziny — tercjarza poszła do Tego, którego imię tak godnie nosił: do Ojca — do Boga. O, jak pięknie i imponująco wygląda ojciec-tercjarz, który — świadomy swej godności kapłana rodziny — przewodniczy jej z miłością w modlitwie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”. Jak pięknie, gdy na drzwiach swego domu wypisze: „Święć się Imię Twoje”, „Przyjdź Królestwo Twoje”. Jak to wspaniale, gdy we wszystkich burzach, które przechodzą nad rodziną, modli się ze swoimi: „Bądź wola Twoja”. A gdy patrzy na swe głodne dzieci woła: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. A gdy myśli o błędach jak też o grzechach, które co dnia mogą popełniać członkowie jego rodziny, czy nie powinien błagać jako odpowiedzialny kapłan: „I odpuść nam nasze winy”? A gdy widzi niebezpieczeństwo grożące jego dzieciom, czy nie będzie się modlił: „I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”? Istotnie jest to czymś wielkim, gdy ojciec szlachetny, dobry dzierży władzę w rodzinie i pilnuje porządku. Piękniejszy jest jednak widok ojca, który „berłem miłości” nadaje ton życiu rodzinnemu. Taki ojciec zapisuje się najtrwalej w sercach potomności.

Ojcze Niebieski, spraw, by rodziny miały takich ojców! Święty Franciszku uproś, by miłością franciszkańską napełnieni byli wszyscy ojcowie rodzin.

Święty Franciszek a Chrystus Ewangelii

NIEWIELU jest ludzi, którzy przez tyle wieków cieszyliby się taką sympatią i stale zdobywali tak licznych naśladowców, jak św. Franciszek. I dlatego mimo woli rodzi się pytanie: Co też takiego zrobił ten Święty, że zyskuje sobie tak powszechne uznanie? — Odpowiedzi na tak postawione pytanie można by mnożyć niemal w nieskończoność. Ale jest wśród nich i taka, która zasługuje na specjalną naszą uwagę.

Otóż wydaje się, że stało się tak przede wszystkim dlatego, iż św. Franciszek rozumiał doskonale logikę Ewangelii, że nauczył się myśleć i działać zgodnie z jej duchem, że potrafił realizować wartości w niej ukazane. Stał się więc wielki zrozumieniem i pełnieniem Ewangelii. Stał się wielki argumentem czynu opartego na konsekwentnym, ewangelicznym sposobie myślenia.

I właśnie te wartości, które odkrył w Ewangelii, a których zgłębianiem i realizacją tak się zachwycił, zapewniły mu nieśmiertelność. A jakież to były wartości, które go tak urzekły?

Oto przede wszystkim urzekła go ewangeliczna miłość Chrystusa do człowieka. Miłość za wszelką cenę, nawet za cenę życia. Św. Franciszek, zachwycony tą miłością postanowił ukazać ją innym. Zapragnął przekonać wszystkich sobie współczesnych a także i nas do tego, że jednak istnieje w świecie miłość bezinteresowna, miłość prawdziwa, że jest Ktoś komu rzeczywiście na nas zależy i to nawet wtedy, gdy już nie jesteśmy w stanie naprawić zła jakie popełniliśmy. Utrata bowiem wiary w istnienie w świecie miłości bezinteresownej jest jedną z najgorszych tragedii, jaka może nas w życiu spotkać. Człowiek bowiem świadomy tego, że nie jest kochany, że i jego miłości nikt już nie potrzebuje lub też nie jest już w stanie prawdziwie kochać — traci sens swego życia albo staje się agresywny, w każdym widzi potencjalnego wroga. Że tak jest, mówią nam o tym wielcy pisarze, np. John Steinbeck w powieści *Na wschód od Edenu* i mówi nam o tym nasze codzienne doświadczenie.

Urzekł także św. Franciszka pokój Chrystusowy. Jakżeż tego pokoju pragnie i człowiek dzisiejszy. Mówią stale o nim różni politycy i przywódcy i na różne sposoby o niego zabiegają. O tym, jak ważny jest pokój wiedzą szczególnie ci, którzy zbyt dużo cierpień w swoim życiu zaznali. Wiedzą o tym dzieci i żony alkoholików, pragną go ludzie więzieni, bici, szykanowani i na różne

sposoby prześladowani. Św. Franciszek nie tylko pozdrawiał innych zawołaniem „Pokój i dobro”, lecz starał się także przekonać wszystkich, że najtrwalszym fundamentem pokoju jest posiadanie przez człowieka życzliwości, dobra i prawdy, czyli Boga samego, gdyż On jest miłością, dobrem i prawdą. Człowiek silny Bogiem niczego się w życiu nie obawia, nie boi się, że czyny jego wyjdą na jaw, nie gmatwa się w różnych matactwach i wykretach, by nadać pozory prawdy temu, co jest fałszem, pozory uczciwości temu, co nieuczciwe. Człowiek taki jest gotów z każdym o wszystkim rozmawiać, nie ma niczego do ukrywania. Nie musi atakować innych, by ich zastraszyć, aby się go bali i nie mówili o jego niecznych czynach. Taki człowiek zachowuje pokój niezależnie od tego, co go w życiu spotka. Św. Franciszek nazywał ogień bratem wtedy, gdy miał być nim przypalany. A Ojciec Maksymilian Kolbe w bunkrze głodowym śpiewał.

Zachwycił się także św. Franciszek ewangelicznym ubóstwem i czystością. Posiadł wielką sztukę wyciszania i opanowywania potrzeb swego serca po to, by tym wyraźniej usłyszeć potrzeby innych ludzi a nawet potrzeby roślin i zwierząt. Dlatego dostrzegał całe piękno natury, gdyż nie patrzył na nią jedynie pod kątem własnych korzyści. A do czego prowadzi patrzenie człowieka na świat jedynie w aspekcie doraźnej, własnej korzyści o tym doskonale wiemy, gdyż sami staliśmy się ofiarami takiego właśnie sposobu patrzenia. I dlatego ludzie starający się chronić środowisko i nas samych przed nierozumną zachłannością wybrali sobie na patrona nie jakiegoś chemika czy biologa, lecz właśnie św. Franciszka.

Św. Franciszek nauczył się także od Chrystusa wytrwałości w dochowywaniu wierności temu, za czym się opowiedział. Był wielki swym trwaniem na co dzień mimo przeróżnych niepowodzeń i trudności. A przecież miał ich niemało. Nie posiadał bowiem ani swojego mieszkania, ani pieniędzy, ani jakiegoś pojazdu, zerwał z najbliższą rodziną, nie miał żony, z którą mógłby dzielić trudy swego życia a mieszkał z ludźmi, których bynajmniej sam nie wybierał. Miał więc wszelkie powody po temu, by narzekać na Boga i na ludzi. A on właśnie dlatego uchodzi do dzisiaj za jednego z najszcześniejszych i najbardziej radosnych ludzi. Nic więc dziwnego, że taką postawą św. Franciszek stale oddziałuje na innych, pociągając ich za sobą i za Chrystusem.

Droży moi — obyśmy i my także potrafili zgłębić naukę zawartą w Ewangelii i byśmy za przykładem św. Franciszka znaleźli pokój i radość w jej realizowaniu.

Tercjarz — człowiek żyjący miłością Boga

„Będziesz miłował twój Boga, Jahwe, z całego serca swego z całej duszy swojej, ze wszystkich sił swych”
(Pp 6, 4—5).

„A GDY spożyli śniadanie rzekł Jezus do Szymona Piotra: „Szymonie, Synu Jana, czy miłujesz mnie więcej aniżeli ci?” Rzecz do Niego: „Tak Panie, Ty wiesz, że Cię Kocham”. Mówi do niego: „Paś baranki moje”. I znowu po raz wtóry rzecz do niego: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz mnie?” Rzecz do Niego: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię Kocham”. Mówi do niego: „Paś owce moje”. Rzecz mu po raz trzeci: „Szymonie, synu Jana, czy kochasz mnie?” Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: „Czy kochasz mnie?” I rzekł do Niego: „Panie! Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię Kocham!” „Paś owce moje!” (J 21, 15—17). Taką to rozmowę między Panem Jezusem a św. Piotrem wyczytamy w Ewangelii św. Jana, opisującego spotkanie Zmartwychwstałego Mistrza z łowiącymi ryby Apostołami na Morzu Tyberiadzkim. Zanim więc Pan Jezus przekaze Piotrowi swoją władzę nad Owczarnią, to najpierw zażąda od niego potrójnego wyznania miłości. Nic mu nie mówi o czekającej go śmierci męczeńskiej, nic o tym, że kiedyś spotkają się poza Rzymem i Piotr będzie pytał Mistrza: „Quo vadis, Domine — dokąd idziesz, Panie?” a Piotr wróci wtedy do miasta, aby umrzeć za Jezusa... Dobrze wiedział Chrystus Pan, że jeżeli Piotr będzie kochał swego Mistrza, to będzie dobrym pasterzem Owczarni.

Opowiadają o bracie Idzim, jednym z pierwszych towarzyszy św. Franciszka, znanym ze swej prostoty graniczącej nawet z naiwnością, że pewnego razu przyszedł on do św. Bonawentury, który był wtedy Generałem Zakonu i znanym teologiem, i tak się do niego odezwał: „Chyba uczonemu mężowi Pan Bóg udziela więcej łaski, aniżeli np. takiemu prostaczkowi, jak ja?” Św. Bonawentura odpowiedział bratu Idziem, że choćby Pan Bóg nic więcej nie dał człowiekowi, jak tylko to jedno, że pozwala mu kochać Boga, to już to samo powinno być największym skarbem dla człowieka. Ale brat Idzi nie skończył na tym. Jakby w świętym zakłopotaniu pytał dalej: „Chyba, Ojczy, jakiś uczony mąż potrafi lepiej Boga kochać aniżeli taki prostak, jak ja?”

A św. Bonawentura zapewniał go: O, nie bracie, prosta kobieta, która nie umie ani czytać, ani pisać, staruszka zgarbiona stojąca nad grobem może nieraz lepiej, doskonalej kochać Boga niż jakiś uczoney mąż”. Gdy brat Idzi to wszystko posłyszał, wybiegł uradowany na ulice i zaczął głośno wołać: „Prosta kobiecino, która nie umiesz ani czytać, ani pisać, staruszeko stojąca nad grobem, kochaj tylko Boga, a będziesz tak wielka, jak nasz brat Bonawentura!”. Nie ma potrzeby mnożyć więcej opowiadań, aby wykazać, jak ważną rzeczą w życiu każdego człowieka jest miłość Boga. Sam Bóg w swej dobroci przeznaczył do tej miłości każdego z nas. Św. Paweł apostoł tak pisze w swoim Liście do Efezjan: „W Nim (czyli w Chrystusie) wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. W miłości przeznaczył nas dla siebie, jako przybranych synów, przez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli, ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym” (1, 4—6). Jakże wielki jest człowiek, skoro Bóg tak go wywyższa, aby był przybranym dzieckiem Bożym w Umiłowanym Jego Synu Jezusie Chrystusie. Dlatego św. Augustyn, wyjaśniając te słowa Pawłowe, tak pisze: „Gdyby Duch Boży ze wszystkich kart Pisma świętego tylko to jedno pozwolił nam usłyszeć, że Bóg jest miłością i do miłości nas powołał, to już niczego innego nie potrzebowalibyśmy szukać”.

Dobry Bóg, znając słabość i ułomność ludzką, dał ludziom wskazówki, więcej, mocne przepisy, według których powinien postępować każdy człowiek. Dekalog Mojżeszowy, czyli Dziesięcioro Przykazań Bożych, to nic innego, jak tylko fundament i norma naszego postępowania w życiu ziemskim. Przestrzeganie tej normy pozwala osiągnąć pozaziemskie życie wieczne. Jest to pierwsze prawo dane przez Boga w tym celu, aby unormować życie ludzkie najpierw w stosunku do Stwórcy, a następnie w stosunku do stworzeń rozumnych, czyli innych ludzi, naszych bliźnich. Odkąd historia zna dzieje ludzkości, odtąd zna też różne zbiory przepisów i praw, od kodeksu Hammurabiego aż po dzisiejsze kodeksy: kościelny, cywilny, karny, we wszystkich krajach, w różnych językach. Powstaje ustawicznie coraz więcej tych norm i przepisów określających postępowanie obywatela. Dla przykładu: Parę lat temu podała prasa, że w Bawarii, która przez wiele wieków była państwem samodzielnym, było 17 grubych to-mów ustaw i praw państwowych, wydanych tam w ciągu stuleci. Ponieważ wiele z tych przepisów i praw już się zdezaktualizowało, więc je usunięto, ale i z tych zredukowanych pozostały jeszcze

cztery grube tomy. Podobnie chyba jest w każdym innym kraju. Można by się pytać, na co aż tyle ustaw i praw? Z całą pewnością człowiek biegły w prawie wyjaśniłby nam, że po to, aby zabezpieczyć każde życie, mienie, pracę, zasilek na wypadek choroby lub starości, w zamian za co obywatel ma także określone obowiązki wobec swego kraju. Jednak pomimo wielu ustaw i praw istnieją nadal krzywdy, niesprawiedliwości i kradzieże, jednym słowem — cała wielka rzeka wykroczeń i zbrodni. Gdzieś tu leży błąd. Pan Jezus powiedział, że to plami człowieka, co płynie z jego wnętrza, czyli że wszelkie zło wypływa z serca ludzkiego. Potrzebna jest taka ustawa, która krępowałaby serce ludzkie, żeby z niego nie płynęło zło. I taką ustawę dał Pan Bóg nakazując: „Będiesz miłował twój Boga-Jahwe z całego serca swego, z całej duszy swojej, ze wszystkich sił twoich”. Dlatego św. Augustyn powiedział krótko i dobitnie: „Dilige et fac quod vis — kochaj i czyn, co chcesz”. Kto bowiem kocha Boga, ten kocha też samego siebie. Kocha swoje ciało i nie będzie mu szkodził, bo ono także jest dziełem Stwórcy. Św. Paweł mówi: „Nikt nie ma swego ciała w nienawiści, ale je karmi i ochrania”. Ale ponad ciało trzeba kochać swoją duszę, która jest nieśmiertelnym obrazem samego Boga. Kto będzie umiał kochać Boga, będzie też umiał kochać bliźniego swego. Nie skrzywdzi go, nie pobije go, nie obmówi, nie będzie się na niego gniewał, chętnie przebaczy mu wszelkie wobec siebie uchybienia. Wtedy też będzie umiał kochać tych najbliższych bliźnich, z którymi na co dzień żyje i dobrze zna ich wszystkie słabości i ułomności. Będzie kochał rodziców swoich, choć nie są aniołami. Rodzice będą umieli kochać swoje dzieci, wychowując je w karności. Mąż będzie umiał kochać żonę swoją i to nie tylko wtedy, gdy mu się będzie wydawać piękna, ale i wtedy gdy posunie się w latach; żona też nie tylko wtedy będzie kochać męża, gdy będzie jej się wydawał piękny i silny, ale i wtedy, gdy stanie się ciężały i przykry. A więc miłość Boga i idąca z nią w parze miłość bliźniego, to fundament sprawiedliwego pokoju, to postawa harmonijnego współżycia pomiędzy ludźmi, a nawet narodami. Dziś jednak nikt o tej miłości nie mówi. Najwyżej w kościele na ambonie o niej można usłyszeć. W wypowiedziach mężów stanu, radzących nad sprawiedliwym pokojem, nad dobrobytem i szczęściem ludzkości o tej miłości nigdy nie słyszymy. Gdyby któryś z tych mężów powiedział: „Kochaj Boga i bliźniego, bo to jest pierwsza i najpoważniejsza podstawa pokoju i ładu”, to wszyscy zaraz zarzuciliby mu staroświeckość i zacofanie. W naszych czasach modne jest też sianie nienawiści pod

różnymi nowoczesnymi hasłami. Tak np. w Nigerii niszczy się i morduje plemię Ibo głównie dlatego, że jego członkowie są katolikami i przewyższają inteligencją inne plemiona. Dowódca wojsk federalnych wyraźnie powiedział: „Boga uznaję i wierzę w Niego, ale w Chrystusa — nie, i nie potrzebuję pośrednika”. Wszędzie widzimy sianie nienawiści, a nie miłości. A co nie jest z Boga, z diabła jest, a co nie jest Boże, nie może być dobrem ani dla poszczególnego człowieka ani dla ludzkości. Inaczej postępowali święci. Miłość Boga uważali za swoje szczęście. Gdy św. Franciszek widział ludzką niewdzięczność wobec Bożej dobroci i miłości, to płakał i mówił, że Miłość nie jest kochana. Lecz gdyby ktoś zapytał, dlaczego my — ludzie — mamy kochać Boga? Na to pytanie św. Bernard daje taką odpowiedź: Pierwszą przyczyną, dla której mamy kochać Boga, jest sam Bóg w swojej Bożej naturze. Serce ludzkie jest wrażliwe na piękno. Człowiek kocha piękno. Piękny kwiat czy barwny motyl przykuwają oko ludzkie. Czasami turyści długie chwile wpatrują się z zachwytem w piękne obramowania jezior górskich czy innych krajobrazów. Uroda człowieka także przykuwa ludzkie oczy. Gdy król Sobieski po zwycięstwie pod Wiedniem wkroczył jako tryumfator, to Wiedeńczycy nie mogli oczu oderwać od jego okazałej, pięknej postaci. Piękno kwitnących sadów na wiosnę, widok falujących, dojrzałych zbóż również raduje ludzkie serce. A któż jest sprawcą tego piękna ziemskiego? Piękno stworzone może być tylko słabym odbłaskiem wiekuistego piękna Stwórcy. Jeżeli kochamy piękno, to tym bardziej powinniśmy kochać Stwórcę tego piękna. Kochamy też dobro i jesteśmy wrażliwi na wszelkie przejawy dobroci. Mało jest ludzi takich, którzy by kochali zło dla samego zła. I choć czasami źle postępujemy, to nie z umiłowania zła, ale z ludzkiej słabości. Czyż pogański, rzymski poeta Owidiusz nie skarżył się: „Video meliora, proboque, deteriora sequor — podziwiam i pochwalam dobroć, lecz słoność do złego mnie ciągnie”. My również podziwiamy wszelkie przejawy dobroci w stosunkach między ludźmi, poświęcenie dla bliźniego, ofiarę ze siebie lub swojego mienia, ale słabość naszej natury jest silniejsza od powabów dobra. Jeżeli z taką sympatią odnosimy się do przejawów dobroci, to z jaką miłością powinniśmy odnosić się do najwyższego Dobra i Sprawcy wszelkiej dobroci? Bóg więc sam, jako najwyższe Piękno i najwyższe Dobro jest racją naszej miłości ku Niemu. Drugą przyczynę, dla której mamy kochać Boga, św. Jan wyraził takimi słowami: „I myśmy poznali i uwierzyli w miłość, jaką Bóg ma dla nas” (1 J 4, 16). „My miłujemy, ponieważ Bóg

sam pierwszy nas umiłował” (1 J 4, 19). Umiłował nas Bóg w porządku naturalnym. Całe nasze zdrowie cielesne i duchowe, codzienny pokarm i odzienie i wiele innych rzeczy — to ojcowska dobroć Boża. O wiele więcej jeszcze zawdzięczamy Bogu w porządku nadprzyrodzonym. W tym wypadku miłość Boża i okazana nam dobroć nie podlega żadnej kontroli rozumu czy zmysłów. Bo cóż możemy powiedzieć o wielkości darów Bożych w dziele naszego zbawienia i uświęcenia? Cóż możemy powiedzieć o Jego łasce uświęcającej, która nas wynosi do godności umiłowanych dzieci Bożych? Jakież język zdoła wypowiedzieć miłość Bożą, która sprowadziła Syna Bożego na ziemię w ludzkiej postaci? Miłość Boża zbawiła ludzkość przez życie, naukę i śmierć krzyżową Syna Bożego. Wierząc mocno w Jego obecność wśród nas i dziś, „bo rozkoszą Jego jest przebywać wśród ludzi” w postaciach eucharystycznych, możemy śmiało na drzwiach naszych świątyń, na ramiionach krzyżów, na drzwiczkach domków eucharystycznych wyrycić te wielkie słowa: „Tak Bóg umiłował świat”. Kochajmy więc Boga, bo Bóg najpierw nas umiłował!

Jeżeli wszyscy wierzący w Chrystusa mają kochać Boga, to ileż bardziej powinni Go kochać ci, którzy zdecydowali się dążyć ku Niemu śladami św. Biedaczyny z Asyżu? On bowiem pragnął jak najbardziej upodobnić się do swego Mistrza, otrzymał też na swoim ciele rany Chrystusowe. Mógł więc powiedzieć Renan, że Franciszek z Asyżu — to najlepszy dowód, że Chrystus był taki, jakim Go przedstawiają Ewangelieści synoptyczni. Miłość nasza do Boga uwidoczni się w życiu codziennym przez dochowanie wierności Bożym przykazaniom. Pan Jezus bowiem wyraźnie mówił: „Kto ma przykazanie moje i zachowuje je, ten mnie miłuje. Kto zaś mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego i Ja go będę miłował i objawię mu się” (J 13, 21). „Miłość zaś polega na tym, abyśmy postępowali według Jego przykazań” (2 J 1, 6). Miłość Boża uzewnętrznia się też przez miłość bliźniego, którego mamy kochać jako dziecko Boże i jako naszego brata w Jezusie Chrystusie: „Patrzcie, jaką miłością obdarzył nas Bóg, że zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i rzeczywiście nimi jesteśmy” (1 J 3, 1). Św. Jan Vianney mawiał, że ludzie wielu rzeczy w życiu żalowali, nawet tego, że byli bogatymi lub mieli powodzenie; nikogo jednak nie spotkał takiego, który by żalował, że kochał Boga. Kierujmy się przeto w naszym życiu miłością Bożą. Kiedyś nie będą nam już potrzebne cnoty wiary i nadziei, lecz „najważniejsza z nich — miłość” pozostanie naszą wieczną nagrodą w Królestwie odwiecznej Miłości.

Wiara w życiu tercjarza

W ROKU 1967 minęło 1900 lat od męczeńskiej śmierci dwu apostołów: Piotra i Pawła. Z tej okazji Ojciec św. Paweł VI ogłosił ten rok rokiem wiary oraz wystosował do biskupów i wiernych uroczysty list, zaczynający się od słów — *Petrum et Paulum*. Zaznacza w nim między innymi, że ów rok wiary „daje ludowi Bożemu okazję do pełnego pogłębienia świadomości wiary, do ożywienia, odnowienia, umocnienia i wyznawania...”. W kilka dni po ogłoszeniu tego listu, to jest 2. III. 1967 r., Ojciec św., przemawiając do wiernych, tak do niego nawiązał: „Powinniśmy zdawać sobie sprawę z powiązań, jakie istnieją pomiędzy rzeczywistością doczesną i wiarą, a także znać trudności, jakie nastrecza wiara”. I tu postawił następujące pytanie: „Dlaczego w jubileuszowym roku apostołów koncentrujemy naszą uwagę na ich wierze, a nie na ich działalności organizacyjnej czy charytatywnej? Na to pytanie dał taką odpowiedź: „wiara stanowi podstawę i fundament naszego zbawienia, a także, była racją i celem posłannictwa apostołów”. Papież zakończył swe przemówienie mocnym podkreśleniem, że „wiara jest konieczna we współczesnym życiu, bo pozwala widzieć wszystkie bogactwa doczesne w perspektywie doczesnej i wiecznej i pomaga, by życie w świetle wiary nabierało właściwej wartości”. Oczywiście, bierzemy sobie do serca tekst listu Ojca św. oraz jego późniejsze wyjaśnienia i zachętę. Dołożymy też starań, by rok wiary stał się całym naszym życiem wiary! Wierząc przecież w Boga i zachowując naukę Jezusa Chrystusa, zdobywamy *światło duchowe dla życia*. Tak bowiem powiedział nasz Zbawca: Jam jest światłością świata, kto idzie za mną, nie chodzi w ciemnościach” (J 8, 12). Równocześnie trzeba nam przyjąć pouczenie św. Pawła o tym, że wiara jest *darem Bożym*, bo w Liście do Efezjan tak pisał: „przez łaskę zbawieni jesteście mocą wiary, ale nie jest ona naszą zasługą lecz darem Bożym” (2. 8). Dlatego o wiarę będziemy prosić Boga w gorącej modlitwie jak apostołowie, którzy wołali: „Przymnóż nam wiary” (Łk 17, 5). Pamiętać też będziemy, że w postawach i aktach wiary wielką odgrywa rolę nasz ludzki rozum, a jeszcze większą — nasza wola. Ich brak ściągnął na apostołów naganę Chrystusa, że nie chcieli uwierzyć tym, którzy Go widzieli zmartwychwstałego

(por. Mk. 16, 15). Będziemy wreszcie starali się o to, by nasza wiara promieniowała wszystkimi przymiotami oraz byśmy jej nigdy *nie utracili*, bo Chrystus napomina: „jeśli wytrwacie w nauce mojej, będziecie prawdziwie uczniami moimi, poznacie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi” (J 8, 31). I to będzie zasadniczym *motywem wiary*, a nie względy ludzkie, gdyż Chrystus Pan pytał: „Jakże możecie dojść do wiary, wy którzy pragniecie chwały jeden od drugiego, a nie szukacie chwały, która pochodzi od samego Boga?” (J 5, 44). Trzeba nam też wytrwać we wierze, gdyż *skutki porzucenia wiary* są tragiczne. Apostoł Paweł wyjaśnia to krótko: „Bez wiary nie można podobać się Bogu” (Hbr 11, 6). Sam Jezus ostrzega: „Kto nie wierzy Synowi, nie będzie oglądał żywota, ale gniew Boży ciąży nad nim” (J 3, 36). Gdyby jednak nie sięgać aż do perspektyw wiecznych, a zatrzymać się na sytuacji doczesnej człowieka pozbawionego wiary, to i tu nasuwa się nieraz wstrząsające spostrzeżenie. Życie bowiem pozbawione światła jest bez celu, bez entuzjazmu i spokoju. Wystarczy uprzytomnić sobie, jak w świecie mnożą się samobójstwa; w samej Francji zdarza się ich rocznie ponad 10 tysięcy. Jaka jest ich przyczyna? Socjologowie podają, że jedną z nich jest nadmiar wolnego czasu, co powoduje nudę nie do zniesienia; druga — to trudności finansowe i różne depresje psychiczne; trzecią najważniejszą jest nihilizm, pustka duchowa i brak ideałów. Przybrało to zastraszające rozmiary, zwłaszcza wśród młodzieży, bo we Francji na trzy zgony wśród młodzieży przypada jedno samobójstwo. Między innymi tak skończył w roku 1967 19-letni młodzieniec — Yves Michel, który w pozostawionym piśmie tłumaczył swój desperacki krok w ten sposób: „nie czynię tego z zawodu miłosnego; doprowadziło mnie do tej ostateczności życie starszych, uznające tylko opłacalność, reklamę, wytwórczość, technikę, planowanie i inne bożki dzisiejszych czasów; ja tak żyć nie mogę i mam żal do starszych, że usunęli z życia wartości duchowe”... Tak postępują jedni. A inni? Prasa zachodnia podaje, że przez świat, a konkretnie przez Amerykę, Anglię, Szwecję i Niemcy płynie wielka fala narkomanii młodzieży, która nie ukończyła jeszcze 20 lat życia. Oprócz tego zapanowała tam moda na *pigułki*. Są one wszędzie i niemal u wszystkich. Mówi się, że to jakaś społeczna psychoza. Kto chce schudnąć, kogo boli głowa, kto ma zły nastrój, kto czuje się osłabiony czy otepiały umysłowo — polyka pigułki. I tak w jednym roku w samej Niemieckiej Republice Federalnej spożywa się ich 2 miliardy. Co to wszystko znaczy? To jakaś ponura czy dziwaczna obrona przed

pustką i spojrzeniem w przyszłość; to ucieczka od rzeczywistości życia i ratowania się przed skutkami braku wiary. I gdyby nie przemówiły do nas cytowane poprzednio teksty Pisma św., które bez wiary nie widzą ani życia ani zbawienia, to może rozum i wolę nakłonią do wiary wstrząsające obrazki z naszych czasów, z czasów naznaczonych upadkiem wiary. One wprost krzyczą ostrzegawczo: człowiecze, bez wiary nie ma życia, które można by nazwać życiem; jest tylko złudzenie, pustka, niepokój lub całkowita rozpacz.

Takie też przekonanie wyrobił sobie św. Franciszek z Asyżu. Był on wprawdzie wychowany we wierze, zwłaszcza przez bogobojną matkę, ale jako młodzieniec ubiegał się o siawę, lubił biesiady i różne rozrywki. Z takiego uwikłania i pogoni za rozrywkami uratowała go łaska Boża, ale i on sam musiał podejmować trudne decyzje, aby móc otworzyć swe serce na pełnię wiary. Taka sytuacja zaistniała na przykład wtedy, gdy przyszło mu zerwać z rodzonym ojcem, gdy usłużył trędowatemu i obdarzył go pocałunkiem, gdy jako prosty robotnik naprawiał zniszczone kościoły, gdy zdecydował się utworzyć nowy, oparty na ubóstwie zakon. W tych momentach zwrotnych umacniała się jego wiara do tego stopnia, że nic jej złamać nie potrafiło. Wiarę tę rozpaloną we własnym sercu, niósł w zmaterializowany świat, by go ożywić i powiązać z Bogiem. Stał wśród swoich jak żywa Biblia, a jego życie było konsekwencją wiary. Taki człowiek musiał oddziaływać na innych. Oddziaływuje zresztą do dziś nawet na niewierzących i w jakiś sposób urabia ich duchowo. Dowodem takiego oddziaływania jesteście wy, Bracia i Siostry, bo chyba po to jesteście w III Zakonie, byście we wierze św. Franciszka kształcili i umacniali swoją wiarę. Niech ona ogarnie całe wasze życie, a więc pełną, budującą praktykę religijną, ofiarne obowiązki i franciszkańskie współżycie ze wszystkimi.

Drodzy Bracia i Siostry! W dawnych wiekach ustawiano na wysokich wieżach strażników, którzy w dzień i w nocy wypatrywali, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Dziś już ich tam nie ma, bo dość niebezpieczeństw jest wewnątrz miast. Zeszli więc strażnicy ze swoich wież i stanęli na skrzyżowaniu ulic czy na innych punktach, by pomagać i bronić. Troszczą się oni jednak tylko o dobro ciała zapobiegając nieszczęśliwym wypadkom. Sprawa duszy i wiary ich nie interesuje, bo to nie ich zakres działania. Inaczej jest z naszym Ojcem Franciszkiem. On niby niebiański strażnik zszedł ku nam, by nasze życie duchowe oprzeć na fundamencie mocnej wiary. I on chce żyć ciągle wśród świata

poprzez swoich braci i siostry. Dlatego wy bądźcie także mocni we wierze; niech wzrok wasz będzie czysty, mowa niech będzie kierowana rozumem i etyką katolicką, serce niech będzie przepełnione miłością, usposobienie niech będzie pełne czcigodności i dobroci, postawa skromna, ręce pracowite i gotowe do posługi, a dusza prawdziwie franciszkańska. Wszystko to uczyni was podobnymi do naszego duchowego Ojca. Ale pamiętajcie, że w literaturze istnieje też pojęcie krzywego anioła. Taki krzywy anioł — to płytka lub fałszywa pobożność, to uszczypliwy język, to zawzięte serce i dusza pełna miłości własnej. Niech o was mówią: to prawdziwy anioł. Taką jednak postawę można w sobie wyrobić tylko na fundamencie mocnej i stałej wiary, wyrażającej się na codzien franciszkańskim hasłem: „Bóg mój i wszystko moje”.

Zadanie naśladowcy św. Franciszka

Tak niech świecą czyny wasze przed Panem, by inni widząc to chwalili Boga.

ODKRYCIA

ZDARZA się czasem, że szczęśliwcy znajdują niby przypadkiem pewne rzeczy, które ich bardzo radują. Jeden np. spotkał piękny i rzadki kwiat i już pragnie go włączyć do swojej kolekcji, by stała się pełniejsza, a przez to cenniejsza. Drugi znalazł długo poszukiwany minerał i już pragnie go mieć jako skarb. Jeszcze inny poszukiwacz odkrył nieznany dotąd dokument i znów czyni wszystko, by go zatrzymać czy wykorzystać na potwierdzenie tego, czym się zajmuje. Wszyscy zaś odczuwają satysfakcję z dokonanych odkryć i te sobie bardzo cenią. Na ich podobieństwo winniśmy czynić tak i w dziedzinie ducha. Przedmiotem odkryć w tym zakresie może być postać św. Franciszka z Asyżu, który zjawia się przed nami w 800-setną rocznicę swoich urodzin. On bowiem też jest pięknym kwiatem wśród ludzi, jest też cennym skarbem ziemi, która go nosiła i jest wreszcie wspaniałym dokumentem, potwierdzającym życie zgodne z wolą Bożą oraz postępowanie w pełni zakonne. Postać ta — jak to już widać z powyższych porównań — może każdego zainteresować: jednych będzie pociągać niejako całościowo, jeśli związali z nią swoje życie zakonne, innych będzie budować fragmentarycznie, gdy uważają się tylko za sympatyków Świętego. Wszystkich zaś złączy to samo pragnienie, by tę niezwykłą postać przybliżyć jakoś do swojego życia. Nazywają to naśladowaniem i mogliby wyjaśnić, że naśladować kogoś to zdobywać się przynajmniej na trzy następujące akty:

zapalać się czymś pociągającym przykładem,
zwycięzać, jak on, trudności napotymane w życiu,
mnożyć dobro wewnętrzne i zewnętrzne swoim postępowaniem.

Gdyby zaś użyć powyższych porównań, oznaczałoby to w przenośni:

być kwiatem wśród ludzkiej szarzyzny,
być skarbem wśród duchowego ubóstwa innych,
być dokumentem życia prawdziwie chrześcijańskiego.

Relacja taka ma właśnie zaistnieć między nami a św. Franciszkiem i tak winno wyglądać nasze odkrycie jego postaci. Będzie to dowodem, że nawet osiem wieków nie potrafiło odebrać jej powabu w oczach współczesnego człowieka. Ale nam, ludziom XX-go wieku, o wyostrozonym krytycyzmie, nasuwa się zapewne pytanie: czy można naśladować kogoś, kto pod każdym względem wzniósł się tak wysoko? Odpowiedź jest następująca: utożsamiać się z kimś takim oczywiście nie można, gdyż każdy człowiek jest unikatem, tworzy niepowtarzalny zespół cech, ale mimo tego zawsze będą istnieć pewne możliwości zbliżenia się do owego ideału. Podobnie jest i ze św. Franciszkiem, od którego pragniemy przejąć coś dla własnej duchowości. Otóż na współczesnych ludzi działa między innymi jego podziwu godna postawa, jaką ujawnił wobec ludzi. Tę zaś na własny użytek można ująć w trzech formułach — a mianowicie:

jako zrozumienie człowieka, jego przeżyć i potrzeb,
jako odpowiedzialność za jego życie i zbawienie,
jako ofiarność dla jego dobra, pojętego możliwie szeroko.

Niech one ukształtują i naszą myśl, byśmy w ten sposób stali się rzeczywistymi naśladowcami św. Franciszka z Asyżu. W powyższym zakresie jest to możliwe, a zarazem bardzo potrzebne, gdyż prowadzi w kierunku przykazania: Będiesz miłował bliźniego twego... Jest zaś potrzebne dlatego, że serca ludzkie ulegają obecnie różnym zniekształceniom.

ŚW. FRANCISZEK A NAŚLADOWCY

JAK ŚW. FRANCISZEK rozumiał drugich i jak poczuwał się do odpowiedzialności za nich? Ujmując to krótko trzeba przypomnieć, że dał dowody tego nie tylko wobec swoich braci, ale i wobec innych, ilekroć zaszła stosowna okoliczność. Tak było np. wtedy, gdy przechodził ulicami miast i uczył własnym przykładem; tak było, gdy nauczał słowami, głosząc Ewangelie; tak było, gdy godził poważnione miasta czy ludzi na siebie zagniewanych; tak było, gdy napominał ludzi obrażających Boga swoim postępowaniem; tak było wreszcie wtedy, gdy tworzył zakony oraz warunki głębszego życia duchowego dla tych, którzy tego pragnęli

Wzorował się w tym na Chrystusie, który tak właśnie rozumiał wszystkich. Dlatego przebaczał im grzechy, pocieszał, uzdrawiał i dlatego uczył rozmawiając z Samarytanką przy studni, a z Nikodemem w nocy. Widać to i z Jego słów wypowiedzianych do apostołów: „Wiele jeszcze mam wam powiedzieć, ale teraz znieść nie możecie” (J 16, 12). Franciszek pamiętał też o wskazaniach św. Pawła, by podtrzymywać słabych, dodawać odwagi małodusznyom i mieć cierpliwość dla wszystkich (Tes.). Sam także przyjmował napomnienia, np. owego wieśniaka, który go rozpoznał i tak mu powiedział: „Franciszku, ludzie mówią o tobie bardzo dobrze. Pamiętaj, żebyś zawsze był takim, jak o tobie mówią”. A jak okazywał się ofiarny wobec potrzebujących? Pozbył się nie tylko płaszcza na rzecz biednego, ale posługiwał chorym w zakładach i gdzie tylko ich spotykał. Nie tylko opatrywał im rany, ale do tej posługi dodawał bratni pocałunek i nie tylko podawał strawę dla ciała, ale dołączał słowa krzepiące ducha. Dał się więc poznać z bardzo ludzkiej postawy wobec każdego człowieka, a sam zagrzewał siebie i innych zapewnieniem Chrystusa: „Co uczyniliście jednemu z tych, mnieście uczynili” (Mt 25, 41).

NASZE ZADANIE

JAK ZATEM być naśladowcą św. Franciszka? Pozostawiając tyle innych możliwości — tu pozostaniemy przy godnej postawie wobec każdego człowieka, zdobywając się na zrozumienie jego sytuacji, na ponoszenie odpowiedzialności za niego i na ofiarność dla jego dobra. Wszystko to możemy zaś podciągnąć pod współczesne a zarazem bardzo ludzkie pojęcie: *odgadnąć*... Brzmi ono wprawdzie jakoś abstrakcyjnie, ale jest wypełnione tradycyjną treścią. A więc odgadnąć drugiego... Myśliciel Ernest Hello powiedział, że takie odgadnięcie drugiego jest chlubą dla człowieka, bo jest to jedna z najwyższych form ludzkiego serca. Na potwierdzenie tego przypomnijmy scenę zaślubin w Kanie Galilejskiej. Gościli tam Chrystus z Apostołami i Maryja, Jego Matka. Do końca uczty było jeszcze daleko, a zapas wina miał się ku końcowi. Maryja spostrzegła zakłopotanie służby oraz ubóstwo rodziny i zaraz skierowała prośbę: Synu, wina nie mają... Oto jak odgadła przykrą sytuację i spowodowała cud. Podobnie rodzice mają odgadnąć już w oczach i zachowaniu dziecka, co z nim się dzieje i jakie jest jego nieme błaganie. Czego bowiem nie dostrzegają inni, to powinno wypatrzeć oko matki czy ojca. Tak też małżonkowie powinni odgadywać wzajemnie swoje przeżycia i spr-

wy. Tak wreszcie wśród rodzeństwa, w sąsiedztwie i wśród bliskich trzeba odgadywać, co kogo męczy, smuci i boli. Do tego trzeba jednak mieć trochę wyobraźni, by postawić siebie na miejscu drugiego człowieka. Dzieje się jednak zazwyczaj tak, jak to wydarzyło się przy okienku pocztowym. Ustawiała się tam spora kolejka interesantów, a wśród nich jakaś dama, którą bardzo niecierpliwiło czekanie. Gdy więc doszła do okienka, powiedziała zdenerwowana: „proszę pana, już pół godziny czekam pod tym okienkiem”. Na to urzędnik odpowiedział spokojnie: „a ja już 30 lat siedzę za tym okienkiem”. Tak właśnie i nam się wydaje nieraz, gdy myślimy tylko o sobie. Trzeba jednak spoglądać na sprawy i ludzi także z drugiej strony, a potrafimy wtedy dużo odgadnąć oraz właściwie postąpić. Nie można przecież widzieć tylko siebie czy uwrażliwiać się tylko na własne sprawy. Dlatego koniecznością życia dobrego chrześcijanina jest umiejętność dostrzegania spraw bliźniego. Ile bowiem jest takich małżeństw zimnych i smutnych, bo żona żyje w zamkniętym świecie swoich spraw i kłopotów, a mąż w zamkniętym kręgu swoich interesów. I tak życie obojga płynie obok siebie, brak w nim udzielania się wzajemnego, życzliwego spojrzenia i zainteresowania się przeżyciami drugiej osoby. Są to jakby dwa pociągi jadące w tym samym kierunku, ale po różnych torach, które się nie spotykają. Czy więc nie bywa tak, jak mówi współczesna piosenka:

Nie umiałem żyć, nie umiałem żyć...

Choć płynęły piękne dni.

Płynął także rok za rokiem,

A mnie nie zostało nic...

Trzeba więc stawać i z drugiej strony owego okienka życia, by odgadnąć drugiego. Dzieci powinny odgadnąć rodziców, by zrozumieć ich postępowanie i samotność oraz ich wyczekiwanie na dobre słowo tych, którym poświęcili tyle ciężkich lat. Oto jak skarżyła się staruszka — matka dzieci już samodzielnych, ale zajętych tylko swoimi sprawami: „Jest mi bardzo ciężko w mojej samotności, ale nie mogę nawet zapłakać wobec innych, bo pytaliby zdziwieni, dlaczego płaczesz? Przecież niczego ci nie brakuje, masz co jeść, masz swój ką i łóżko. Ale nikt z tych nie rozumie, że to nie wszystko, bo takim jak ja brakuje troskliwego słowa, serdecznego uśmiechu i szczerzej otuchy. Jeśli zaś my chcemy coś powiedzieć — to słyszymy zaraz uwagę, że nie można żyć obecnie poglądami sprzed 20—30 lat. Wobec tego milczymy, skoro nie

można przypomnieć, że modlitwa potrzebna, że msza niedzielna obowiązuje, że trzeba korzystać ze spowiedzi, że przypilnować trzeba katechizacji, że w mieszkaniu brakuje krzyża, że jedno dziecko w rodzinie to za mało... Wtedy padają lzy ciężkie jak ołów i zamykają się usta. Rozmawiamy tylko ze starymi fotografiami, dla których też brakuje miejsca... (Suenens). Oto co znaczy odgadnąć człowieka w podeszłym wieku. Podobnie trzeba odgadnąć ubogiego, by wczuć się co to znaczy być głodnym, cierpieć zimno, liczyć się z groszem i być skrępowanym z powodu braku ubrania. Zdrowi powinni odgadnąć chorego, jego cierpienie, bezradność, samotność i lęk, bo on też czeka na ciepłe słowo oraz na zapewnienie, że nie jest ciężarem. Trzeba wreszcie odgadnąć i niewierzącego. On przecież nie jest wrogiem wierzących, a tylko ma im za złe, że nie są wierzącymi do końca, tj. w każdej sytuacji: Pyta ich nawet: wy, którzy wierzycie, do czego służy wam wiara, skoro ona w waszym życiu nie odgrywa roli?

ZAKOŃCZENIE

Oto zadania naśladowcy św. Franciszka na małym, ale bogatym odcinku życia. Franciszek tak nieraz powtarzał: „Bracia, kochajmy Boga i ludzi, kochajmy naszych przyjaciół i wrogów, kochajmy niebo i ziemię, po której chodzimy”. Gdy więc pociąga nas jego przykład a zwłaszcza postawa wobec drugich, to trzeba abyśmy uczyli się realizować dawne przykazania we współczesnej sytuacji. Może wtedy i nam wypadnie iść po wzburzonych falach, jak to przydarzyło się św. Piotrowi, ale nie zagubimy ducha ani jako członkowie Zakonu, ani jako sympatycy Franciszka, gdyż w sercu i w życiu utrwalimy jego hasło: Pokój i Dobro, bo ono jest odblaskiem Chrystusowego nakazu: Będiesz miłował... Już w Starym Testamencie zachęcał do tego prorok Izajasz słowami: „Daj łaknącemu chleba, tułających się wprowadź do domu, przyodziej nagiego, a Pan wysłucha cię” (58). A my żyjemy przecież jutrem, bo mamy nadzieję osiągnąć to, co zawiera Nowy, Chrystusowy Testament. A obok niego mamy św. Franciszka z Asyżu, który tak właśnie czynił. Amen.

Miłość tercjarza do braci odłączonych i niewierzących

PANIE DLACZEGO KAZAŁEŚ MI KOCHAĆ?

„PRZYKAZANIE nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak jak ja was umiłowałem: żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie” (J 15, 12). „Po tym wszyscy poznają żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13, 15).

„Wszyscy mogą i powinni dawać się bliźnim. Kto ma jeden talent, niech go da, kto ma dziesięć, niech da dziesięć. Jedyne dając można brać. A kto raz zaczął dawać, to jeżeli jest szlachetny, bardzo szybko spostrzeże, że już nie może się cofnąć. I boi się. Trzeba mu dodać odwagi, trzeba mu pokazać, że jedynie pod warunkiem dawania się innym można dobrze przeżyć swoje życie i poznać radość Bożą. Przyszli zewsząd z całego miasta, kraju, świata, niezliczeni, nieprzebrani... Już nie sami, ale obciążeni ciężkimi bagażami niesprawiedliwości i urazów, bogażami cierpienia i grzechu... wloką za sobą świat z całym jego materiałem zardzewiałym i pogiętym albo też z nowym, ale źle dopasowanym, źle użytym” (M. Quoist: *Niezwykły dialog*). Oto ludzie czasów naszych. Przychodzą do nas, którzy mamy nakazaną miłość — i tylko ona może nasycić ich głód, aby nie ustali w drodze do domu swojego — do Boga. Nasza miłość ma im ukazać Boga. Jeżeli tych ludzi garnących się do mnie nie obdarzę miłością, Boga nie kocham — trwam w śmierci, nie mam w sobie życia.

MIŁOŚĆ BRACI ODŁĄCZONYCH

Tylko niespełna trzecią część ludzi zamieszkujących świat stanowią chrześcijanie, mniej zaś niż jedną szóstą — katolicy. Ogromna większość ludzi — to wyznawcy innych wielkich religii np. hinduizmu, buddyzmu czy mahometanizmu. Pewien procent ludzi nie przyznaje się do żadnego wyznania czy nawet manifestuje swój ateizm. Liczne sekty i ugrupowania religijne, wyrosłe głównie na podłożu protestanckim, oraz religie kultur pierwotnych dopełniają tego obrazu. Nie sposób też pominąć religii żydowskiej, monoteizmu. W tej sytuacji, omawiając związki Kościoła ze światem, poruszyć należy także stosunek Kościoła do innych religii czy też do ludzi o odmiennych przekonaniach religij-

nych. Sprawa o tyle ważna, że mówiąc o Kościele w świecie, mówimy o stosunku Kościoła i chrześcijan do wartości doczesnych, a więc do wartości jakby innego rzędu niż wartości religijne i wieczne. Tymczasem w wypadku omawiania stosunków do innych religii spotykamy się z wartościami tego samego rzędu, co wartości reprezentowane przez Kościół. Każda religia bowiem zajmuje się także i przede wszystkim ostatecznymi wymiarami ludzkiego życia i każda uważa się za rzecznika wymagań stawianych ludziom przez Boga.

Najpierw zajmijmy się sprawą stosunku Kościoła katolickiego do tych, którzy religijnie stoją bliżej niego, a więc do chrześcijan niekatolików: tj. prawosławnych i ewangelików. Rozdział chrześcijaństwa na istniejące dziś odłamy dokonał się na Wschodzie w wiekach średnich, formalnie w połowie XI wieku, i na Zachodzie skutkiem ruchu zwanego reformacją w XVI wieku. W jednym i drugim wypadku rozłam był wynikiem wielu przyczyn, za które winę ponosiły obie strony. Winą był przede wszystkim brak wzajemnej miłości i zrozumienia. Najbardziej żalnym skutkiem podziału stała się wrogość między chrześcijanami, utrwalająca się w miarę obustronnego zwalczania siebie. Próby pojednania, podejmowane na przestrzeni wieków, głównie między Kościołem katolickim a pewnymi przedstawicielami Kościołów prawosławnych nie dały większych rezultatów. Dopiero współcześnie nastąpiło znaczne zbliżenie między wszystkimi odłamami chrześcijańskimi dzięki tzw. ruchowi ekumenicznemu. Zapoczątkowany przez ewangelików, doprowadził on w połowie naszego wieku do utworzenia Światowej Rady Kościołów, do której później przystąpiły i inne Kościoły. Kościół katolicki nie należy do Światowej Rady Kościołów, ale ostatnio, po Soborze Watykańskim II, podjął w szeregu dziedzin współpracę z Radą. Ruch ekumeniczny wypływa z żywego pragnienia realizowania Jezusowej prośby, aby uczniowie Jego stanowili jedno, a także z coraz ostrzejszej świadomości zgorszenia, jakie chrześcijanie przez swoje rozbicie dają całemu światu. Na Sobór Watykański II zaproszeni zostali przedstawiciele Kościołów niekatolickich w charakterze obserwatorów. Jednym z tematów obrad był właśnie stosunek Kościoła katolickiego do innych Kościołów niechrześcijańskich. Zagadnienia te zostały sprecyzowane i odnowione w Dekrecie o Ekumenizmie. Dekret stwierdza, że chrześcijan niekatolików należy uważać za ludzi dobrej woli, a więc za autentycznych wyznawców Chrystusa. Żyją oni w przekonaniu o prawdziwości Kościoła, do którego należą. Nie znajdują się więc w położeniu swych przodków, którzy sami

odstępowali od Kościoła (choć i o złej woli tamtych nie można wyrokować), ale znajdują się w podobnym położeniu jak katolicy, dziedzicząc od wielu pokoleń swą przynależność religijną. To też należy ich uważać za braci, którym sprawa Chrystusa nie mniej i nie gorzej leży na sercu niż katolikom. Sobór wyraża dalej przekonanie, że nie tylko poszczególni chrześcijanie-niekatolicy są braćmi w wierze, ale także Kościoły odłączone są żywymi społecznościami chrześcijańskimi. Posiadają liczne wartości autentycznie chrześcijańskie, ożywione są Duchem Świętym tak, że ich wyznawcy dochodzą do świętości nie mimo swej przynależności do nich, ale dzięki tej przynależności. Zjednoczenie Kościołów chrześcijańskich jest mimo wszystko jeszcze dalekie. Setki lat odmiennych tradycji doktrynalnych, liturgicznych i organizacyjnych, nie mówiąc o narosłych uprzedzeniach, wymagają długiego okresu dla ich przewyciężenia. Szczególnie wielką trudność sprawiają różnice doktrynalne. Nie idzie tu bowiem o uzgodnienie przekonań, jakie żywią poszczególne wspólnoty chrześcijańskie, ale o dojście do wspólnej, zgodnej interpretacji objawienia Bożego. Jedność w wierze może być więc jedynie rezultatem wspólnego dążenia do coraz lepszego poznania Objawienia. Toteż drogę prowadzącą do zjednoczenia chrześcijan widzi się dzisiaj we wzajemnym, coraz bliższym poznawaniu się różnych Kościołów, we wspólnej modlitwie, wspólnych studiach biblijnych i teologicznych, we wspólnym zaangażowaniu w te dziedziny życia społecznego, w których chrześcijanie nie mogą pozostawać bierni, a więc w praktycznym realizowaniu braterstwa.

O stosunku Kościoła do wielkich religii niechrześcijańskich mówi inny dokument Soboru Watykańskiego II, mianowicie deklaracja „O stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich”. Kościół odnosi się do nich z szacunkiem, uznając w nich to, co prawdziwe i święte. W hinduiźmie będzie to duch nieustannego wnikania w boską tajemnicę, poszukiwanie wyzwolenia człowieka z udręk życia przez ascezę, medytację, ufne zwracanie się do Boga. W buddyźmie cenić należy świadomość niewystarczalności tego świata i wysokie wymagania moralne. Historia misyjnej działalności Kościoła świadczy, że misjonarze nie zawsze posiadali taki stosunek do religii niechrześcijańskich. Często uważali je z gruntu za złe i za przeszkodę do szerzenia wiary chrześcijańskiej. Ale i pogląd przeciwny, którego słusność tak jasno dzisiaj dostrzegamy, zawsze był w Kościele żywy. Wyrażał się on w tradycyjnym przekonaniu, że cokolwiek poza Kościołem istnieje z prawdy i dobra stanowi „przygotowanie do Ewangelii”.

Jeżeli chrześcijaństwo jest rzeczywiście spełnieniem religijnych dążeń ludzkich i całkowitym objawieniem Bożym, to niechrześcijaństwo są tym bliżej niego, im bardziej są religijni w sposób sobie dostępny. Toteż Sobór Watykański II wzywa chrześcijan, aby nie tylko uznawali w innych religiach autentyczne wartości, ale w miarę możliwości przyczynili się do ich rozwoju (por. Deklaracja „O stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich” p. 2).

Bardzo bliski chrześcijaństwu jest mahometanizm. Powstał on w VII wieku, asymilując wiele z wiary żydowskiej i chrześcijańskiej. Mahometanie wierzą w jednego Boga, sąd, karę i nagrodę pośmiertną, cenią jako najlepsze dobre uczynki: modlitwę, post, jałmużnę. W Chrystusie widzą jednego z wielkich proroków. A przecież między chrześcijaństwem i mahometanizmem nagromadziło się w ciągu wieków szczególnie wiele wrogości. Mahometanie szerzyli swą wiarę mieczem, zajęli swego czasu całą północną Afrykę i Hiszpanię, niszcząc tam chrześcijaństwo. Na wschodzie podbili cesarstwo wschodnie, zajmując w VI wieku jego stolicę Konstantynopol i Półwysep Bałkański. Wojny krzyżowe prowadzone były właśnie przeciw mahometanom o wyzwolenie spod ich panowania Ziemi Świętej. Bitwa pod Lepanto, później zwycięstwo pod Chocimiem i Wiedniem położyły kres ekspansji mahometanów w Europie. Te wieloletnie walki stały się źródłem wrogości o jakiej między chrześcijaństwem a innymi religiami nie ma mowy. Sobór Watykański II, biorąc tę sytuację pod uwagę, wzywa „wszystkich, aby wymazując z pamięci przeszłość, szczerze pracowali nad zrozumieniem wzajemnym i w interesie całej ludzkości wspólnie zabiegali obecnie o sprawiedliwość społeczną, dobro moralne, pokój i wolność” (Deklaracja „O stosunku Kościoła do religii chrześcijańskich” p. 3).

Chrześcijaństwo związane jest w sposób zupełnie szczególny z religią mojżeszową. Dzisiejsza religia mojżeszowa stanowi przecież przedłużenie religii Starego Testamentu, której spadkobiercą i kontynuacją jest również chrześcijaństwo. Jezus i apostołowie byli synami narodu izraelskiego, a posłannictwo swoje określił sam Jezus nie jako zniesienie Prawa albo Proroków, ale jako wypełnienie i uzupełnienie (por. Mt 5, 17). Żydzi nie wierząc w Jezusa i Jego misję, zwalczali chrześcijaństwo jako sektę groźną dla całości ich religii i narodu. W chrześcijaństwie utarło się mniemanie, jakoby Żydzi winni dokonanego na Jezusie bogobóstwa, zostali przeklęci przez Boga, a stąd ich niepowodzenia, jakie nieraz cierpieli, miałyby być religijnie uzasadnione. Tymczasem już św. Paweł w Liście do Rzymian przedstawiał niewiarę

Izraela jako tajemnicę Opatrzności, ponieważ chrześcijaństwo odrzucone przez Izraela znalazło niejako z konieczności drogę do pogan, a więc do całego świata. Niemniej Żydzi są nadal drodzy Bogu, który nigdy nie żałuje, to znaczy nie coia udzielonych darów i powołania (por. Rz 11, 28—29). Sobór Watykański II przypomina tę naukę św. Pawła i stwierdza, że „choć władze żydowskie wraz ze swymi zwolennikami domagały się śmierci Chrystusa, jednakże to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisywane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym”. Chrystus „mękę swoją i śmierć podjął dobrowolnie... za grzechy wszystkich ludzi”. Moralna odpowiedzialność za śmierć Jezusa spada więc na wszystkich. Sobór wyraża żal z powodu aktów nienawiści, prześladowań i przejawów antysemityzmu, które w jakimkolwiek czasie i przez kogośkolwiek kierowane były przeciw Żydom (Deklaracja „O stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich” p. 4).

Poza chrześcijaństwem i poza jakąkolwiek religią żyje wielu ludzi, którzy szczerze szukają Boga, żyjąc zgodnie ze swym sumieniem. Takimi ludźmi mogą być również niewierzący. W Konstytucji o Kościele czytamy bowiem: „Opatrzność Boża nie odmawia koniecznej do zbawienia pomocy tym, którzy bez własnej winy nie doszli jeszcze do wyraźnego poznania Boga, a usiłują, nie bez laski Bożej, wieść uczciwe życie”. I dalej: „Cokolwiek znajduje się w nich z dobra i prawdy... dane im jest przez Tego, który oświeca każdego człowieka, aby ostatecznie posiadał Życie” (p. 16).

MIŁOŚĆ BRACI NIEWIERZĄCYCH

Na zakończenie zatrzymujemy się nad sprawą wolności religijnej. Stanowi ona nie tylko naturalne prawo człowieka, ale także konieczny warunek samej religijności. Z jednej bowiem strony tylko wolne, zdecydowane postępowanie człowieka posiada wartość z religijnego punktu widzenia, z drugiej zaś strony każde wolne działanie ludzkie posiada znaczenie dla religijnego życia człowieka. Zbyt łatwo dotąd mniemano, że wiara chrześcijańska tak jest dostępna dla każdego, tak uderza w oczy swą prawdziwością, że człowiek, który się zetknął z Kościołem, a nie został katolikiem musi być człowiekiem złej woli, winnym odrzucenia prawdy objawionej i Boga. Przekonanie takie zrodziło się jako wniosek teoretycznego uzasadnienia chrześcijaństwa. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że chrześcijaństwo jest dla

wszystkich, którzy są poza nim, konkretnym zjawiskiem społecznym reprezentowanym przez Kościół i przez chrześcijan, a życie chrześcijan często — niestety — bywa dalekie od ewangelicznej doskonałości i nie stanowi łatwego do rozpoznania znaku prawdy Chrystusowej. Trzeba wziąć także pod uwagę psychologiczne i eschatologiczne uwarunkowania, np. otrzymane wychowanie, które niejednemu człowiekowi staje na przeszkodzie w osobistym zbliżeniu się do chrześcijaństwa. Toteż skłonni jesteśmy dziś mieć inaczej niż dawniej, że ogół ludzi żyjących poza Kościołem są to ludzie dobrej woli, a wielu z nich prowadzi życie autentycznie religijne. Sytuacja ta nie umniejsza w niczym znaczenia misyjnej działalności Kościoła. Przekonany o prawdzie Bożego objawienia dokonanego w Chrystusie, wykonując otrzymane od Niego posłannictwo głosi Kościół Ewangelię całemu światu. Na tym właśnie polega jego misja: głosić Ewangelię. Nie jest natomiast powiedziane, że Kościół jako instytucja musi ogarnąć na ziemi wszystkich ludzi. „Jedna owczarnia i jeden pasterz” — to raczej obraz eschatologiczny, przedstawiający owczarnię zbawionych z jednym pasterzem. Nauką swą, nie gromadząc wszystkich, porusza jednak Kościół sumienia wszystkich. Głosząc, że tylko w Chrystusie jest zbawienie, stawia każdego człowieka wobec pytania o prawdziwość jego religijnych przekonań, wobec obowiązku poszukiwania ostatecznej prawdy życia, wobec wezwania do służenia Bogu w pełni i według wymagań sumienia. Zadaniem Kościoła nie jest zdobywanie świata i podporządkowania go sobie. Zadaniem Kościoła jest służyć światu za przykładem Jezusa Chrystusa, a służbą światu jest cała zbawcza działalność Kościoła, ponieważ ma ona na celu zbawienie, a więc wieczne dobro całego świata. Ale Kościół służy światu także w realizacji jego losu doczesnego. Głosi bowiem ewangeliczne zasady życia, które w miarę jak stają się zasadami życia jego wyznawców i wszystkich ludzi dobrej woli, zdolne są przemieniać doczesną sytuację ludzką w kierunku prawdy, sprawiedliwości, miłości wzajemnej, możliwego dobrobytu, pokoju i jedności całej ludzkiej rodziny.

PANIE, POMÓŻ MI POWIEDZIEĆ: TAK!

Kościół, który „okazuje się jako lud zjednoczony jednością Ojca i Syna i Ducha Świętego” (KK 3), realizuje się „w każdym czasie i w każdym narodzie” (ib 9) i „wśród prześladowan świata i pociech Bożych zdąża naprzód w pielgrzymce”, by tajemnicę Chrystusa zmartwychwstałego „choć pod osłoną, wiernie prze-

cięż w świecie objawić" (ib 8). Ta obecność i misja Kościoła w świecie, w rzeczywistości ludzkiej, podlegającej geograficznym i historycznym przemianom, stawiała zawsze przed nim i stawia obecnie problem jego stosunku do tego świata. Zagadnienie jest tak stare jak Kościół, który przecież zawsze w świecie istniał i działał, ale równocześnie jest zawsze nowy, bo nie musi stale na nowo analizować i łączyć w świetle tego, co Sobór (KDK 4) za — Jana XXIII nazywa „znakami czasów”, by dla wszystkich ludzi i wszystkich czasów Ewangelia była nauką do przyjęcia.

NAUKA I PRZYKŁAD ŚW. FRANCISZKA

Czy i w tej sprawie św. Franciszek może być dla nas nauczycielem i przykładem? Owszem, i to w bardzo dużym stopniu. A tego świadectwem będzie Jego stosunek do islamu, do wyznawców nauki Mahometa. Wiemy przecież, że czasy w których żył św. Franciszek, to czasy różnorodnych wojen, a zwłaszcza wojen krzyżowych. Od wielu lat chrześcijanie byli przekonani, że panowanie mahometan w Ziemi Świętej jest krzywdą Bożą i pohańbieniem krzyża, a więc, że należy mieczem i walką uwolnić Ziemię Świętą.

Jest rok 1216 i papież Innocenty III przygotowuje nową wyprawę krzyżową i sam ma stanąć na jej czele. W Perugii św. Franciszek prosi i zaklina Papieża, by tego zaniechał. Niestety, nic nie zyskuje. Ale Bóg nie dozwolił, by następcą Jego Syna stał na czele wyprawy wojennej. Innocenty umiera 16.VII.1216 r. Jego następcą, Honoriusz III, wprawdzie sam nie wybiera się na wyprawę, ale ją ogłasza i mianuje kardynała Alvera Pelagio swoim delegatem. Sultan Mele-el-Kamele proponuje korzystny pokój. Św. Franciszek, który jest w obozie krzyżowców, radzi go przyjąć. I znowu, nie tylko nie zostaje wysłuchany, ale nawet wyśmiany. Wówczas z objawienia Bożego przepowiada krzyżowcom klęskę. I rzeczywiście, pod Damietą krzyżowcy ponoszą straszliwą klęskę. Teraz już nikt nie zabrania św. Franciszkowi, by udał się do Sultana i ratował jeszcze to, co można uratować. Św. Franciszek udaje się do obozu mahometan, a widocznie jego postawa i stosunek do tej wojny były znane, gdyż nie tylko dopuszczono go do Sultana, ale Sultana go przyjął. Z jakim przekonaniem musiał przemawiać, jak musiała być widoczna w Jego słowach i postawie miłość Chrystusa skoro ostatecznie dla pozyskania wrogów dla Chrystusa zaproponował im „próbę ognia”. Sultana nie przyjął tej próby, ale wyznał, że wiara chrześcijańska

jest „dobra i prawdziwa” (Św. Bonawentura „Opera” — 9.579), i że w osobie Franciszka trzeba rozpatrywać na tle ówczesnych czasów i przekonań. A powszechnie o muzułmanach nie mówiono wówczas inaczej jak „psy niewierne”. Nawet papież Innocenty III nazwał ich „nieprzyjaciółmi krzyża, przewrotnymi, obrzydliwymi”. Na tym tle postawa św. Franciszka jest *wyjątkowa, epokowa, prorocza*. W ten sposób św. Franciszek uczy wewnętrznej gotowości do dialogu i stworzenia warunków do niego a także sublimowanej miłości do wszystkich dzieci Boga, bez względu na kolor ich skóry, przekonania czy wyznanie oraz przygotowania interwencji Boga przez cierpienie i modlitwę. Dlatego mówił misjonarzom: „Niech nie wdają się w spory i kłótnie, lecz niechaj będą poddani każdemu stworzeniu w miłości do Boga”. Dopiero gdy objawią Ewangelię życiem pokornym, ubogim, pełnym dobroci i łagodności — znajdą teren do głoszenia prawdy chrześcijańskiej.

Nam każe Bóg żyć w bardzo różnych warunkach. I w tych naszych warunkach życiowych mamy obowiązek świadczyć o Chrystusie, gdyż powołanie apostołskie jest powołaniem każdego chrześcijanina, a zwłaszcza syna czy córki św. Franciszka. Do siebie słowa ewangelicznego potrzeba przygotowanej gleby. I tu jest największe nasze zadanie — przygotować glebę przez nasze pokorne, szczerze, autentyczne, zgodne z Ewangelią życie franciszkańskie. Gdy na tak przygotowaną glebę padnie łaska — na pewno wyda ona zbawienny plon.

Stosunek tercjarza do ziemi

I

POCHYLAJĄC się w zadumie nad czcigodnymi kartami Pisma św. odczytujemy z nich dzieje początków człowieka na ziemi. Wędrowka jego po tym świecie rozpoczęła się bardzo okazale. Stworzony na obraz i podobieństwo Boże, przyjaciel samego Stwórcy, mieszkał we wspaniałym ogrodzie, nie wiedział co to pragnienie, głód, tęsknota, niedostatek, cierpienie i śmierć. Miał jeszcze zapewnioną nieśmiertelność w górnym, niebieskim raju, siedzibie samego Boga. A to wszystko pod warunkiem pomyślnego przetrwania prób posłuszeństwa wobec hojnego, wspaniałomyślnego Stwórcy. Jak zbudowany przez dziecko domek z kart rozlatuje się za jednym podmuchem wiatru, pozostawiając uczucie niedosytu, tak również bunt człowieka przeciw Stwórcy pozabawił go raju, nieśmiertelności i innych cennych wartości. Bóg obrażony pychą człowieka tak kreśli dalsze jego losy na ziemi i jego życiowe zadania: „W trudzie będziesz zdobywał z ziemi pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia”, „W pocie oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty” (Rdz. 3, 17—19). Ale pomimo tego ten zagniewany Bóg nie przestaje być samą dobrocią, bo wysyłając ludzi na tę trudną wędrowkę po ojcowsku im poleca: „napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną”. W ten sposób człowiek zostaje z ramienia Stwórcy panem i władcą ziemi, a także właścicielem jej obfitych skarbów. A chociaż piętno ludzkiej winy groźnym cieniem położyło się na całej ziemi, to przecież serce ludzkie tak gorąco ją kocha i lgnie do niej całą siłą. Zmysły nasze rozkoszują się widokiem wschodów i zachodów słońca, niepowtarzalnym zjawiskiem zorzy polarnej, surowym majestatem dumnych szczytów górskich, beztroską tonią oceanów, groźną tajemnicą niezgłębionej puszczy tropikalnej, wstrząsającą melodią sztormu czy huraganu. Człowiek, gdy tylko czas mu pozwala, rozprostowuje zgięty nad warsztatem pracy grzbiet, ociera zalewający oczy pot i ucieka na łono przyrody, gdzie oddycha krystalicznym powietrzem, a jej niezmaconą harmonią koi skołatane nerwy.

Od epoki kamienia łupanego po kosmiczne loty przemierzył człowiek niemały szmat drogi. Na tej drodze widzimy go jako odkrywcę nieznanych lądów, wysp i oceanów, niestrudzonego krzewiciela kultury rolnej, górnika wydobywającego z głębi ziemi pożyteczne minerały i materiały palne, organizatora życia społeczno-politycznego, twórcę systemów filozoficznych i gałęzi wiedzy, dociekliwego odkrywcę tajemniczych a pożytecznych sił natury, które zaprzęga do własnego rydwanu. To właśnie ludzka inteligencja, wzmocniona wytrwałością i godnym podziwu, graniczącym z bohaterstwem poświęceniem dały nam w ostatnich czasach już nie tylko elektryczność, samochód, ponaddzwiękowy samolot, radio, telewizor, lodówkę, pralkę, odkurzacz, wielką chemię, ale trwający od dziesięciu lat podbój kosmosu. Można powiedzieć, że człowiek obdarzony iskrą Bożą inteligencji i wyposażony przez Stwórcę w mandat władzy nad ziemią wypełnił i nadal wiernie spełnia włożone nań posłannictwo. Ale należy również stwierdzić, że nie obeszło się bez błędnej interpretacji w teorii i praktyce tego mandatu władzy nad ziemią i rzeczami stworzonymi, nad światem z jego skarbami. Poprzez całe dzieje ludzkości wyraźnie przejawia się kult złotego cielca, który tak często przesłaniał, a nawet zastępował człowiekowi Boga. Niektóre epoki naszej historii napiętnowane są praktycznym materializmem, czego przejawem jest, że pewne sfery, a nawet całe społeczeństwa nastawiają się całkowicie na zdobywanie, gromadzenie i konsumpcję dóbr tego świata, bogacą się i używają kosztem nędzy szerokich warstw uciskanych chłopów i robotników, przeżywają jakąś znieczulicę na sprawy duszy i zbawienia, ale mimo to nie wyrzekają się jeszcze wiary w Boga i nie rezygnują z pragnienia osiągnięcia szczęścia niebieskiego po śmierci.

Czasy, w których wypadło nam żyć na tym świecie, to czasy, w których materializm wypowiedział się jasno i otwarcie, odmawiając Bogu-Stwórcy, Istocie duchowej, miejsca w swym systemie. Człowiek, ostatni i najdoskonalszy członek w ewolucji odwiecznej materii, został uznany za jedyne go pana i władcę świata. A ponieważ wszystko kończy się z chwilą śmierci, rozsądek nakazuje całą garścią czerpać z tych wszystkich skarbów, jakich natura nie poskąpiła człowiekowi. Człowiek jest również najwyższym prawodawcą, jego dobro jedyną normą działania, nie jest odpowiedzialny przed Wyższą Istotą. Konsekwencją takich poglądów jest relatywizm, egoizm, hedonizm, na końcu prawo dzungli, prawo silniejszego. W świetle tych rozważań jasno widzimy, że materializm — w teorii fałszywy, w praktyce zgub-

ny — nie może stanowić dla człowieka przewodniego światła w zarządzaniu, a tym bardziej w eksploatacji dóbr naszej ziemi.

II

Życie i działalność naszego Zakonodawcy, św. Franciszka z Asyżu, przypada na czasy wzmożonego pędu społeczeństw do nadmiernego bogactwa i używania. Nie tylko osobom świeckim ale i duchownym wszystkich szczebli w hierarchii Kościoła ziemia przesłaniała niebo, a bogactwo, używanie, zbytek stały się celem. Św. Franciszek nie był wolny od pokusy złotego cielca, wszak był synem i spadkobiercą bogatego kupca Piotra Bernardone. Sięgał więc po przyjemności lekkiego życia, z dzbanem wina przebiegał wieczorami ulicę rodzinnego miasta niby król złotej młodości, wiodąc za sobą czeredę podrastających, rozpróżnionych synków miejscowych nobilów. Marzyły mu się nawet lechzące pokusą sławy i napełniające kieszeń wyczyny rycerskie. Widzimy go na koniu, niby panicza bogatego rodu, wyruszającego w szeroki świat w poszukiwaniu przygód. Jednak krótko trwały te zaurczenia. Franciszek, oświecony łaską zaczął dostrzegać przyrodę i doczesność w ich właściwych wymiarach i ostatecznym przeznaczeniu. Oczyma wiary widział świat, który jako piękny, szlachetny i czysty wyszedł z rąk Stwórcy jako posag powierzony człowiekowi w zarząd i używanie. Z największym bólem przeżywał tragedię grzechu pierworodnego i lawinę jego katastrofalnych skutków, niosących mnóstwo błędnych opinii odnośnie do stosunku człowieka wobec tego świata i doczesności, znaczonej morzem łez, potokami bratniej krwi i nie kończącą się litanią kainowych zbrodni. — Od tego momentu śledzimy w życiu Franciszka dwa równoległe biegnące nurty, które na pozór sprzeczne, u niego tworzą wspianą harmonię: całkowite ubóstwo, wyrzeczenie się wszystkiego, co dać może świat, a równocześnie tak wielkie ukochanie przyrody, jakiego nie spotykamy u żadnego ze świętych.

Pożądliwość cczu, zachłanna chciwość to jeden z grzechów głównych, to przyczyna wielu nieszczęść. Trzeba się z tego otrząsnąć, pozbyć się niebezpiecznego balastu, stać się ubogim, nie posiadać niczego na własność, być prestym użytkownikiem rzeczy nieodzownych. Wówczas dopiero w całej pełni okażą się słuszne słowa Pisma św.: „nihil habentes et omnia possidentes”. Pani Bieda nie krzywdzi swego oblubieńca, nie obdziera go, ale ubogaca, Ona dopiero daje klucz do sezamu szczęścia. Uwalnia tylko

od ciężaru gniotącej interesowności, zachłanności a wyrabia zdolność do bezinteresownego, radosnego używania potrzebnych rzeczy. Ziemia jest piękna, bogata. Tylko że ani największy wysiłek, ani też żaden pieniądz bogacza nie jest w stanie nabyć tego wszystkiego na własność. Zawsze pozostanie gorycz i zazdrość na widok kogoś, kto chciałby zagarnąć jego własność, a powiększyć swoją. Ten tylko, kto wyrzekł się prawa własności, jakiejś tam części przypadającego nań świata, staje się panem całej przyrody, całego świata. Wiele napisano o ukochaniu przez Franciszka przyrody. Jeśli nawet pewne opowieści na ten temat wypadnie nam umieścić wśród uroczych legend średniowiecza, to nie da się zaprzeczyć faktom. Zwierzęta i rośliny, ogień i wodę, słońce i gwiazdy nazywał Franciszek swymi braćmi i siostrami. Nawiażywał z nimi rozmowę i był przez nie słuchany. Oczy i serce otwarte miał na piękno przyrody. Wszystkie wypowiedzi Franciszka o przyrodzie nacechowane są niezmierną świeżością i bezpośredniością. Ma się wrażenie, że ten człowiek, mimo że widzi daleko, bo wzrokiem sięga do Boga, to co bliskie widzi jednakowoż lepiej niż ktokolwiek. Nie dopatrujemy się w tym panteistycznych poślizgnięć ani taniego romantyzmu. Na skrzydłach siostry natury wspiera się ramię tego poety wśród świętych, a ona unosi go w zawrotne krainy tajemniczego łona Bożego. Franciszek widzi Boga nie w przyrodzie, ale poprzez przyrodę. Zapewne miłuje stworzenia, bo są tworem i obrazem Boga, i w ich pięknie rozpcznaje Boga. Platformą, na której widzi Boga, jest piękno rzeczy stworzonych. Kto przez całe życie swoje żywił dla przyrody najtkliwszą miłość i komu ona odpłacała wzajemnością, ten na pewno zostawił jakiś niezatarty ślad tej miłości, jakiś okrzyk serca wyrażający się hymnem na cześć wielkości Stwórcy dostrzeganej w dziełach natury. Franciszek z Asyżu zanucił taki hymn i ku radości świata przekazał go na piśmie potomności. Rozległ się wtedy łagodny śpiew Poverella w Rzymie na cześć Brata Słońca, czyli pieśni o stworzeniach. U podróża Boga złożył w ofierze jako kapłan i tłumacz wszechstworzenia całą przyrodę. Nad odmętym ówczesnego świata rozległo się po raz wtóry od czasów gwiazdy betlejemskiej pienie anielskie: Pokój ludziom dobrej woli.

III

Bracia i Siostry III Zakonu są duchowymi synami i córkami Biedaczyny z Asyżu, spadkobiercami jego idei, realizatorami dziedzictwa myśli i czynów swego Ojca. Od samego początku sta-

nawia tercjarze potężną armię Kościoła w dziele reformy społeczności ludzkiej i wiernie wypełniają swe szczytne zadanie. Zgodnie z założeniami swej reguły żyją wśród świata i nie wyrzekają się prawa własności. Zakładają rodziny i wychowują potomstwo; działają we wszystkich zawodach: przemyśle, handlu i polityce, biorą czynny udział w odkryciach geograficznych, nie brak ich w laboratoriach naukowych, gdzie dokonują wiekopomych wynalazków. Widzimy ich również w szeregach najwybitniejszych poetów i artystów. Wszak tercjarzem był Krzysztof Kolumb odkrywca Ameryki, Dante Alighieri największy poeta średniowiecza, Rafael Santi jeden z najświetniejszych mistrzów pędzla, Giotto znakomity malarz, Michał Anioł wszechstronny geniusz, Palestrina i Liszt wielcy muzycy, Galvani i Volta uczeni fizycy, Tomasz Morus kanclerz angielski, Jörgensen pisarz duński, Józef Haller generał wojsk polskich oraz wielu innych. Nazwiska te świadczą wymownie o tym, że można całym sercem oddać się sprawom doczesnym a równocześnie nie stracić z oczu ostatecznego celu: Boga i zbawienia duszy, że służąc ludzkości w jej wszechstronnym rozwoju, służy się równocześnie Panu i Stwórcy. Tak to ruch tercjarski, oparty na Objawieniu i Regule, znalazł najlepszą drogę życia, przebiegającą od poznania i ukochania przyrody ku jej Najwyższemu Władcy.

Nigdy jeszcze dotychczas nie pokochał człowiek ziemi i doczesności tak mocno, jak to ma miejsce w naszych czasach. Takiemu ujęciu rzeczy wielką przysługę oddaje najpierw sam materializm, jako uformowany system filozoficzny, następnie niezwykle, wprost fantastyczne osiągnięcia umysłu ludzkiego w dziedzinie rozwoju techniki i wynalazków. Człowiek uwierzył w nieograniczone możliwości swego intelektu, zobaczył wspaniałe dzieła swoich rąk i doszedł do wniosku, że to wszystko, ten raj to jego wyłączna zasługa. Zapomniał więc o Bogu. W tym samym momencie zapomniał również o człowieku, o bliźnim. Egoizm i zachłanna chciwość dokonały krzywdzącego podziału ludzi na sytych i głodnych, a broń masowej zagłady stała się argumentem i straszakiem na drodze ucisku słabszego brata. Przy tak zawrotnych wynalazkach, przy eksploatacji świata i jego zasobów na niespotykaną dotychczas skalę, ludzkości zagraża widmo samozagłady.

Jakie zadania przeznaczyła Opatrzność synom św. Franciszka na te ciekawe, ale zarazem groźne czasy? Wskazówki w tym względzie daje Bóg przez Urząd Nauczycielski Kościoła. Odnoszą się one do wszystkich ludzi dobrej woli, których elitą winni być tercjarze.

Sobór Watykański II, słusznie nazwany nowymi Zielonymi Świątkami, obradujący pod hasłem „*accomodata renovatio*” stał się ośrodkiem zainteresowania nie tylko wiernych katolików i braci odłączonych, ale rzecz można bez przesady, całej rodziny ludzkiej. Bodaj najwięcej oczekiwano po konstytucji pastoralnej *O Kościele w świecie współczesnym*. Wsłuchiwano się w głos Ojców Soboru, pragnąc od nich otrzymać receptę na gnębiące ludzkość choroby. Sobór nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Oto najważniejsze wytyczne, które sformułowano w auli soborowej o stosunku człowieka do ziemi. „Za naszych dni rodzaj ludzki ogarnięty zdumieniem z powodu swych wynalazków i swej potęgi roztrząsa jednak często dręczące pytania o współczesny rozwój świata, o miejsce i zadania człowieka we wszechświecie, o sens swych jednostkowych i zbiorowych wysiłków, a wreszcie o cel ostateczny wszystkich rzeczy i człowieka. Należy przeto poznać i zrozumieć świat, w którym żyjemy, a także jego oczekiwania, dążenia, często dramatyczne”. Sobór dostrzega przeobrażenia społeczno-kulturalne, które wywierają wpływ na życie religijne. „Nigdy rodzaj ludzki nie rozporządzał tyloma bogactwami, taką potęgą ekonomiczną, a przecież nadal jeszcze ogromną część mieszkańców ziemi dręczy głód i ubóstwo. Nigdy nie byli tak uwrażliwieni na wolność, jak dzisiaj, a tymczasem pojawiają się nowe rodzaje niewoli społecznej i psychicznej (...) Sobór zamierza w tym świetle osądzić i odnieść do ich boskiego źródła te wartości, które dziś najbardziej są cenione. Wartości te bowiem, jako pochodzące z twórczego umysłu ludzkiego poruczonego człowiekowi od Boga, są czymś bardzo dobrym (...) Wzrasta świadomość niezwyklej godności należnej osobie ludzkiej. Trzeba więc udostępnić człowiekowi: wyżywienie, odzież, mieszkanie, prawo do pracy i wykształcenia, ochronę życia prywatnego i wolność sumienia”.

„Postęp społeczny winien nieustannie zmierzać ku dobru osób, na co wskazał sam Pan nasz, gdy rzekł, że szabat ustanowiony jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu (...) Niech tedy instytucje ludzkie dążą usilnie, by służyć godności i celowi człowieka, walcząc żarliwie przeciw każdego rodzaju niewolnictwu społecznemu i politycznemu”.

„Człowiek rozszerza swe panowanie na całą niemal naturę. Powstaje wiele pytań: w jaki sposób należy korzystać z tych wszystkich bogactw? Do jakiego celu zmierzają wysiłki jednostek, czy społeczeństw? Wysilek, przez który ludzie starają się zmienić na lepsze warunki swego życia, opowiada zamierzeniom Bożym”.

„Kościół wzywa chrześcijan, aby starali się wiernie wypełnić swoje ziemskie obowiązki, kierując się w tym duchem Ewangelii. Dalecy od prawdy są ci, którzy wiedząc, że nie mamy tu trwałej ojczyzny, uważają, że mogą dlatego zaniedbywać swe obowiązki ziemskie, nie zważając na to, że nawet wiara zobowiązuje bardziej do wypełniania ich według powołania, które każdy otrzymał. Niemniej błędą ci, którzy mniemają przeciwnie, że mogą się tak pogрузić w sprawy ziemskie, jakby nie miały one nic wspólnego z życiem religijnym. Taki rozłam między wyznawaną wiarą o życiu codziennym, należy zaliczyć do poważniejszych błędów naszych czasów”.

„Niech się radują chrześcijanie, że idąc za przykładem Chrystusa, który zajmował się rzemiosłem, mogą oddawać się wszelkim działaniom ziemskim, łącząc swe zabiegi ludzkie, domowe, zawodowe, naukowe czy techniczne w jedną życiową syntezę z dobrami religijnymi, pod których najwyższym kierunkiem wszystko zgodnie jest koordynowane na chwałę Bożą”.

Już na podstawie przytoczonych tu kilku tekstów możemy zawołać w duchu, że dokument z którego zostały wzięte, jest wielką szansą na uratowanie ludzkości od katastrofy. Kiedyś Franciszek w oparciu o Ewangelię dokonał wielkiego odrodzenia ducha ludzkiego, dziś niech Jego Synowie wezmą za normę swego życia Ewangelię wyjaśnioną na Soborze i staną się apostołami Dobrej Nowiny we współczesnym świecie, a ziemia stanie się dla ludzi tym, czym być powinna, miejscem pracy i zasługi na wieczność. Amen.

Franciszkańska i polska pobożność pasyjna

IKONOGRAFIA św. Franciszka z Asyżu, jednego z największych naśladowców cierpiącego Chrystusa, prezentuje go m.in. jako stojącego pod krzyżem z wyciągniętymi ku umierającemu Zbawicielowi rękoma. Zaś emblemat, którym pieczętuje się franciszkanizm, to skrzyżowane ramiona: Chrystusa i Franciszka z Asyżu.

W życiu tego świętego i w jego duchowości męka Chrystusa zajmuje naczelne miejsce. Jednocześnie jego osobowość pociąga swoją prostotą i niczym nie zmaconą radością. Zastanawiamy się, jaki związek przyczynowy istnieje między tą jego radością a kultem męki Pańskiej. Franciszek jest tak wrażliwy, że płacze na wspomnienie cierpień Zbawiciela. Pozostawia w Europie wszystkie ważne sprawy swojego zakonu i jedzie na bliski Wschód, by tam przejąć opiekę nad miejscami uświęconymi pobytami i męką Chrystusa. Z drugiej strony jest wrogiem smutku i ponurego oblicza. Wszystko dookoła niego musi promieniować uśmiechem i radością.

To umiłowanie i szczególny kult Chrystusa cierpiącego przekazał Biedaczyna z Asyżu swojemu zakonowi i tym wszystkim, którzy z jego duchowości będą czerpali. Przykładem wiernego wcielenia franciszkańskiej idei kultu Chrystusa cierpiącego był u nas bł. Władysław z Gielniowa. Był on wiernym naśladowcą Biedaczyny z Asyżu, w pewnym sensie świętym Franciszkiem w polskim wydaniu.

Żył pod koniec XV i na początku XVI w., a większą część swojego życia spędzał w bernardyńskich klasztorach jako kaznodzieja i poeta, przełożony i osobisty doradca książąt mazowieckich. Wizytował klasztory, zabiegając o właściwy poziom życia zakonnego. Jako zamiłowany turysta przemierzał pieszo ziemie Rzeczypospolitej, od Krakowa po Wilno i od Poznania po Smoleńsk. Ten piękny kraj lasów i jezior, ludnych miast i bezkresnych pustkowi dawał mu natchnienie do głoszenia słowa Bożego i pisania pierwszych strof poetyckich w języku polskim o męce Pańskiej, o Jezusie, którego „Judasza sprzedał za pieniądze nędzne” o Matce, która pod Krzyżem płakała i współcierpiała „za zbawienie duszne człowieka grzesznego”.

Pod jego ambonę w warszawskim klasztorze św. Anny przy-

chodzila cała niemal Warszawa, żeby słuchać słów, które wlewały w udręczone serca balsam kojący rany.

Nasz naród, podobnie jak św. Franciszek, czcił i dzisiaj czi w sposób szczególny cierpiącego Chrystusa. Świadczą o tym chociażby liczne kalwarie z Kalwarią Zebrzydowską na czele, gdzie rokrocznie odbywają się chwalebne Misteria Pańskie. Świadczy o tym przywiązanie wiernych do tradycyjnego nabożeństwa „Gorzkich Żali” i „Drogi Krzyżowej Chrystusa”. Nabożeństwa te wraz z nabożeństwem Maryjnym ukształtowały specyfikę polskiej religijności i na pewno wielka w tym zasługa synów św. Franciszka z Asyżu, a zwłaszcza pierwszego naszego poety piszącego w języku polskim, Władysława z Gielniowa. My jesteśmy spadkobiercami tych właśnie tradycji i nie powinniśmy ich zaprzepaścić.

Uczestniczymy w duchowości franciszkańskiej i zapewne pragnęlibyśmy mieć taką wewnętrzną radość serca jak Biedaczyna z Asyżu czy nasz Władysław. Pomoże nam w ukształtowaniu takiej postawy właściwe przeżywanie nabożeństw pasyjnych: „Drogi Krzyżowej” i „Gorzki Żali”.

Tradycyjne staropolskie strofy przypomną nam tę prostą prawdę, że Bóg nadal nas kocha, że Jego Syn cierpi po to, byśmy mieli życie, że nie wolno nam lekceważyć tego wszystkiego co nas wewnętrznie wypacza, czyni egoistami, oddala od Boga, bo to właśnie odbiera nam radość, jest powodem wewnętrznego rozdrażnienia, a nawet zniechęcenia do życia.

Nie patrzemy na tradycję jako na ciężar czy na schematy, przez które nie potrafimy się przedrzeć, ale spójrzmy na nią okiem Franciszka z Asyżu i jego naśladowcy, polskiego poety Władysława z Gielniowa i zechciejmy dopatrzeć się w niej głębokiego sensu i piękna.

Jesteśmy bardzo wrażliwi np. na piękno dzieła sztuki. Wzrusza nas wymyślona przez autora fabuła dramatu ludzkiego. Fikcyjna fabuła potrafi nas wzruszyć, ubogacić wewnętrznie i dać mniejsze lub większe zadowolenie. Usiłujmy tak samo przeżywać największy dramat ludzki, jakim jest cierpienie Chrystusa. Przeżywać je tak, żeby to przeżycie ubogacało nas wewnętrznie i dawało pokrzepienie, radość i pokój, którego nic zakłócić nie potrafi.

Franciszek i Dominik — wielcy reformatorzy Kościoła

GREGORIAŃSKA reforma Kościoła, rozpoczęta w drugiej połowie XI w. i kontynuowana do połowy następnego stulecia, na przełomie XII i XIII w. stanęła na martwym punkcie. Bogacące się duchowieństwo nie mogło zrozumieć, że w tym wielkim zryw reformistycznym Kościoła nie chodzi tylko o wykorzenienie rażących niedociągnięć moralnych w rodzaju symonii i konkubinatu kleru, ale przede wszystkim o doskonałość apostolską i ewangeliczną. Brak jakichkolwiek ambicji w dążeniu do naśladowania ubogiego Chrystusa u ludzi kierujących widzialnym Kościołem prowadził do wyobcowania całej struktury kościelnej władzy z ówczesnego społeczeństwa. Groził wyjęciem tego społeczeństwa z ram religijnej prawowierności, a tym samym z oficjalnego Kościoła, za cenę zaspokojenia ewangeliczno-apostolskich aspiracji społecznych przez ówczesne ruchy oddolne, prezentowane najczęściej przez ubogich kaznodziejów wędrownych, organizujących heretyckie gminy katarów. Największy wyłom tego rodzaju w jednolitym dotychczas Kościele katolickim na zachodzie Europy zaczął się tworzyć w północnej Italii i południowej oraz południowo-zachodniej Francji. Nie pomogły różne misje papieskie, organizowane przez Innocentego III spośród cystersów. Nie pomogły zabiegi dyplomatyczne Kurii Rzymskiej. Racje doktrynalne były wprawdzie po stronie legatów, ale argumenty kacerzy czerpane z życia, wskazywały na fakt, że ich ubogie życie jest bliższe Chrystusa i Ewangelii aniżeli postępowanie okolicznego duchowieństwa, które prowadzi życie dostatnie, a niekiedy gorszące i zupełnie nie dba o ducha apostolskiego.

Argumenty były istotnie nie do odparcia. Kościołowi brakowało ludzi autentycznie dążących do doskonałości. Wiedział o tym papież, wiedzieli również nieliczni entuzjaści reformy Kościoła, zwłaszcza na terenie półwyspu Pirenejskiego. Człowiekiem, który naocznie przekonał się o słabej sile teoretycznej argumentacji na rzecz oficjalnego Kościoła był m.in. Domingo Guzman, kanonik katedralny diecezji Osma, spowiednik i współpracownik biskupa Diego, później nazwany św. Dominikiem. Otóż z jego rozmyślań i dyskusji z biskupem Diego powstała idea skutecznego nawracania katarów, którzy jeszcze niedawno byli katolikami.

Idea opierała się na przekonaniu, że przywódcy katarów mają rację, wysuwając na pierwszy plan życie ubogie na wzór Chrystusa i w tym należy ich naśladować.

Współtowarzysze Dominika, łącznie z biskupem Diego przyznawali mu rację, ale w praktyce uważali sprawę za dość ryzykowną. Pójdzie w lud bez zaplecza materialnego, tylko o zebranych chlebie, wydawało się kuszeniem Opatrzności, jeśli nie zwykłym szaleństwem. Wszakże w 1206 r. grupka „szaleńców” z Dominikiem i biskupem Diego, który odesłał swój dwór biskupi do diecezji, rozpoczęła żywot wędrownych kaznodziejów, głoszących słowo Boże w okolicach Montpellier i żyjących z jałmużny. Wprawdzie wkrótce potem biskup Diego musiał powrócić do Osma z powodu choroby, ale Dominik z towarzyszami pozostali, przekonując rzesze chwiejnych katolików oraz katarów, że równie dobrze w ramach oficjalnego Kościoła można naśladować Chrystusa. I mimo nielicznych robotników, żniwo okazało się bardzo wielkie.

W tym samym czasie doszedł Kościołowi nowy żywy argument w osobie Franciszka z Asyżu i jego towarzyszy, świadczący o tym, że nie chodzi tylko o wytrącenie broni z ręki ubogim kaznodziejom katarów. Franciszek, porwany miłością do ubogiego Chrystusa cierpiącego na krzyżu, dostrzegający Go w każdym cierpiącym i ubogim człowieku wybrał, jak Dominik, życie skrajnie ubogie, połączone ze służbą najbiedniejszym. To już nie był tylko argument misyjno-apostolski, by łatwiej nawracać zbłąkanych, ale argument dla całego Kościoła, zwłaszcza dla bogatego duchowieństwa, przekonujący dobitnie, że nie ma autentycznego chrześcijaństwa bez niesienia z miłością krzyża w ślad za ubogim i cierpiącym Chrystusem.

Franciszek, zwany później „Biedaczyną z Asyżu”, zakochany w „Pani Biedzie” i czerpiący z tej miłości ogromną wewnętrzną radość, oraz Dominik, ubogi apostoł i kaznodzieja, stali się już w XIII w. nowym objawieniem w zachodnim chrześcijaństwie. Porwali za sobą całe rzesze naśladowców ubogiego Chrystusa, wyszli naprzeciw ówczesnym zapotrzebowaniom społecznym i, jak głosi legenda o śnie wielkiego papieża Innocentego III, uratowali bazylikę laterańską przed zawaleniem. Zresztą nie tylko dla współczesnych sobie stali się objawieniem i drogowskazem. W każdym stuleciu widzimy w Kościele Bożym duży zastęp chrześcijan, którzy idą za ubogim Chrystusem i Jego Ewangelią, szlakiem utartym przez Franciszka z Asyżu i przez Dominika.

Dzisiaj także ideały wcielone w życie przez założycieli naj-

większych zakonów zebranych są żywe i atrakcyjne i chyba takie pozostaną zawsze. W każdym bowiem czasie naśladowanie Chrystusa i życie według Ewangelii było, jest i będzie aktualne i zgodne z najbardziej utajonymi tęsknotami ludzkiego serca. Naszą rzeczą będzie tylko dostosowanie do tej odwiecznej reguły życia chrześcijańskiego, zawartej w Ewangelii, aktualnych problemów życia codziennego, aktualnej wizji świata współczesnego.

Stosunek św. Franciszka do władzy kościelnej

W KRÓTKIM rozważaniu zajmiemy się stosunkiem św. Franciszka do władzy kościelnej i spróbujemy dać odpowiedź na pytanie: jaki był jego stosunek do kościelnej hierarchii?

Na to pytanie można odpowiedzieć jednym zdaniem, a nawet jednym słowem — stosunek był negatywny lub pozytywny, ale chyba nie o to chodzi. Sprawa nie jest tak prosta. Wiemy bowiem doskonale z własnego doświadczenia życiowego, że pozytywny stosunek do hierarchii kościelnej w czasach trudnych, kiedy niemal wszyscy powtarzają zarzuty propagandy i ciskają gromy — jest zupełnie inny od tego, jaki wyraża się w czasach, gdy powieje inny wiatr i nawet czynniki oficjalne chwala hierarchię. To dwa pozytywne, ale jakże różne stosunki.

Jak ta sprawa wyglądała za czasów św. Franciszka? Otóż w drugiej połowie XII i w XIII w. oddolne ruchy społeczno-religijne miały w Europie zachodniej wybitnie negatywny stosunek do ówczesnej hierarchii kościelnej. Największą sympatią cieszyły się wtedy w samym centrum Europy ugrupowania katarów i waldensów oraz im podobne, które w życiu codziennym i w nauczaniu nawiązywały do pierwotnej gorliwości ewangelicznej i apostołskiej, a pozostawały w opozycji do Kościoła oficjalnego. Społeczeństwo popierało te ruchy i nie darzyło sympatią oficjalnej hierarchii katolickiej, na ogół zeświecczonej i odpornej wobec reformy gregoriańskiej, hierarchii, której na ogół obce były ideały życia ewangelicznego.

¹ Franciszek z Asyżu przyszedł na świat w 1182 r. i żył na przełomie XII i XIII w., a więc w okresie ścierania się tych oddolnych ruchów społeczno-religijnych o nastawieniu pokutnym i ewangelicznym, z broniącą swoich wpływów feudalnych i religijnych hierarchią katolicką. W tym konflikcie umiał wybrać drogę świadcząca o wielkiej jego pokorze. Potrafił pogodzić życie pokutne i radykalizm ewangeliczno-apostołski z szacunkiem dla hierarchii takiej, jaka wtedy była, uważając że nawet błędy duchowieństwa nie przekreślają pochodzenia struktury kościelnej od Chrystusa. I na tym właśnie polegała wielkość Franciszka i jego opatrnościowa rola w Kościele. Gdyby poszedł za duchem czasu i tak jak inni reformował chrześcijaństwo, a po drodze burzył

Kościół ustanowiony przez Chrystusa, to dziś zapewne pozostałoby po nim wspomnienie, notka historyczna w rodzaju: „Był Franciszek ze swoimi zwolennikami z Asyżu, był Waldens ze swoimi zwolennikami z Lyonu i wielu innych, którzy próbowali zreformować chrześcijaństwo”. Tymczasem on nie tylko próbował, ale skutecznie zreformował chrześcijaństwo dzięki swojej wielkiej pokorze. Potrafił wytrwale zwracać się do ówczesnych papieży, Innocentego III i Honoriusza III, o zatwierdzenie swojej reguły, swojego zakonu. Zacieśnił swoje kontakty ze Stolicą Apostolską przez to, że miał zawsze jednego z kardynałów jako protektora. Swój synowski stosunek do biskupów wyrażał m.in. przez to, że był gotowy wstrzymać się od głoszenia kazań w diecezji, której biskup byłby temu przeciwny. Na ogół do tego nie dochodziło, bo gdy np. bp Imoli nie zgodził się, żeby głosił kazania w jego diecezji, Franciszek po pewnym czasie przyszedł znowu do biskupa i pokonał go swoją wytrwałością i pokorą.

Cały swój zakon zorganizował Franciszek w oparciu o posłuszeństwo i szacunek dla Kościoła rzymsko-katolickiego. Ponadto podkreślał swój szacunek dla kapłanów. Napisał w testamencie: „Dał mi Pan tak wielkie zaufanie do kapłanów, którzy żyją według zasad św. Kościoła rzymskiego ze względu na ich godność kapłańską, że choćby mnie prześladowali, chcę się do nich zwracać”. Ponadto mówił: „Biada tym, którzy nimi gardzą; choćby nawet byli grzesznikami, nikt nie powinien ich sądzić, bo Pan sam zastrzega sobie prawo sądu nad nimi”. I dalej tłumaczy, że ta wielka godność kapłanów i ich autorytet opiera się na ich posłudze wobec Najświętszego Ciała i Krwi Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Taka postawa Franciszka wobec hierarchii kościelnej świadczy o jego wielkości i pokorze. Rozważając ten jego stosunek do władzy kościelnej, dochodzimy do wniosku, że i dzisiaj taka postawa nie straciła nic ze swej aktualności. Historia się powtarza. Jak za czasów Franciszka Kościół potrzebował wewnętrznego odrodzenia, tak i dzisiaj wszyscy jesteśmy świadomi potrzeby reformy, powrotu do życia ewangelicznego. Na drodze do tego wewnętrznego odrodzenia spotykamy i dziś ludzi świętych i pokornych jak Franciszek, ale także spotykamy buntowników, skrajnych kontestatorów, dla których jedyny stosunek do władzy kościelnej to stan sceptycyzmu i negacji. Oni postanowili na własną rękę odrodzić chrześcijaństwo, odrodzić je niejako bez Chrystusa i ustanowionego przezeń Kościoła. To jest oczywisty absurd. Dlatego, moi Drodzy, trzeba nam spojrzeć na przykład św. Fran-

ciszka, który opierając się na władzy kościelnej, reprezentowanej przez ludzi nie zawsze świętych i przykładowych, doprowadził do autentycznego odrodzenia chrześcijaństwa. On zawierzył władzy kościelnej i dlatego jego reforma, jego nawrót do ducha Ewangelii przetrwał wieki i dziś również jest aktualny. Podobnie kiedy i w nas rodzi się poczucie odpowiedzialności za Kościół, za chrześcijaństwo, musi się także zrodzić to poczucie, że Kościół jest mistrzynią i matką świętości, że jedynie drogą uległości władzy kościelnej może dokonać się odrodzenie w nas samych i w otoczeniu. Może dokonać się odrodzenie, które zdoła przetrwać lata próby i doświadczeń.

Przez Franciszka do Chrystusa

(Do młodzieży franciszkańskiej na koniec roku akademickiego)

NA ZAKOŃCZENIE tego roku akademickiego stajemy przed Bogiem wiedzeni potrzebą serca. Przede przystkim wypada nam zrobić jakieś podsumowanie, wypada podziękować za to, że ten trudny rok polski minął dla nas bez większych wstrząsów. Mimo wszystko został osiągnięty normalny, roczny etap studiów. Należy więc podziękować za dobro, które stało się naszym udziałem, za dobro, które może przez nas się stało. Być może minimalne dobro, ale i za nie należy podziękować Bogu.

W tym podsumowaniu należy też przeprosić za zmarnowanie cennego czasu na sprawy błahe, o wątpliwej jakości moralnej, ze szkodą dla spraw zasadniczych i pierwszoplanowych; przeprosić Boga za brak solidności i dyscypliny wewnętrznej, której domaga się nasze powołanie. Mówiąc o dyscyplinie w seminariach kardynał Garonne powiedział, że: „kapłan czy też przyszły kapłan Chrystusowy nie może wszystkiego oglądać, wszystkiego słuchać, wszystko mówić, wszystkiego kosztować”. Tej dyscypliny trzeba się nauczyć w drodze do kapłaństwa. Dlatego należy Boga przeprosić, gdy jej brakowało. Należy też przeprosić za brak milczenia w nas i w naszym otoczeniu. „Naśladowcy Chrystusa powinni milczenie przenosić ze swych domów na ulice” — domaga się neotomista, Jacques Maritain. Wewnętrzny pokój powinien być w nas i z nas promieniować na otoczenie. Dlatego należy przeprosić za jego brak, a nade wszystko za źródło niepokoju, za to, co nas dzieliło w stosunku do braci i w stosunku do Boga, gdyż miało to źródło w braku miłości, w braku wzajemnego poszanowania, w braku pokory. Tylko brak wewnętrznej pokory każe pomijać innych i myśleć jedynie o własnych walorach. Tymczasem Chrystus modlił się przed męką w modlitwie arcykapłańskiej za innych, za apostołów i za wszystkich, którzy pójdą Jego śladem, żeby byli jedno, żeby się miłowali nawzajem, żeby w tej jedności upodobnili się do Ojca i Syna i Ducha Świętego. I oni rzeczywiście się miłowali. — „Patrzcie jak oni się miłują”, mówiono o nich. Ta wzajemna miłość była najlepszym apostołstwem, stanowiła najlepsze świadectwo.

My też mamy dawać świadectwo naszym życiem, naszą jednością w miłości.

O potrzebie świadectwa wspomniał O. General podczas wizytacji naszej prowincji. Mamy świadczyć o Chrystusie wzorem naszego ojca Franciszka i pierwszych jego towarzyszy. Od tego nie zwalnia nas żaden urlop, żadne wakacje. Nie możemy nigdy zapomnieć o potrzebie potwierdzania naszej tożsamości, która jest rodem z Porcjunkuli i św. Damiana. A tożsamość tę wyznaczają Franciszkowe zasady: jego styl życia, jego miłość do Kościoła rzymsko-katolickiego z namiestnikiem Chrystusa; Franciszkowa pobożność Maryjna, jego pobożność eucharystyczna i chrystocentryzm. Wykwitem tej pobożności franciszkańskiej u naszych praoojców stała się Kalwaria w aspekcie Maryjnym i Kalwaria w aspekcie pasyjnym. Fenomen tego miejsca dostrzegał Ojciec św. Jan Paweł II, który często obchodził Dróżki prywatnie, przynosząc tu najtrudniejsze problemy swojego posługiwania biskupiego i kardynalskiego. Stwierdził już jako papież, że w Kalwarii, właśnie na tym „najświętszym stoku polskich Beskidów” rozwiązywały się najtrudniejsze jego sprawy.

Mówi się, że także nasz habit wpleciony jest w pejzaż tego miejsca. Ale czy my też z potrzeby serca, z własnymi problemami, bez czekania na procesję czy pielgrzymkę, idziemy kiedykolwiek prywatnie na Dróżki? Dyskretnie, przez nikogo nie zauważeni? — Jeśli tak, to mamy prawo stwierdzić, że należymy też do duchowego pejzażu tego miejsca.

Na koniec powróćmy do Franciszkowej idei świadczenia o Chrystusie. Świadczył o Nim zawsze, jeśli nie słowem, to swoim zachowaniem, swoim szacunkiem dla przyrody i wszelkiego życia, swoją bezgraniczną pokorą czyniącą go sługą ludzi, bratem otaczających go stworzeń. Zbliżające się wakacje zaprowadzą nas do różnych ludzi i do różnych stworzeń. Bądźmy więc dla nich znakiem Chrystusa w słowie, w pieśni, w sposobie bycia, w całym naszym zachowaniu.

Apostolstwo i Eucharystia w życiu III Zakonu

REGUŁA św. Franciszka z Asyżu opiera się na Ewangelii Jezusa Chrystusa. Już na wstępie Franciszek zaznacza, że życie jego braci i naśladowców ma polegać na zachowaniu św. Ewangelii Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Dlatego, gdy słyszymy fragment Ewangelii św. Łukasza o sposobie apostołowania, to tak jakbyśmy słyszeli fragment reguły św. Franciszka. Franciszek właśnie ten fragment Ewangelii przejął jako program dla braci oddających się pracy apostołskiej. Zalecił im ewangeliczne ubóstwo, bez jakiegokolwiek przywiązania do wartości materialnych, na wzór ubogiego Chrystusa. Najwyższą wartością i najwyższą miłością ich życia powinien być Jezus Chrystus, pozostający wśród nas pod postaciami chleba i wina. Tę miłość do Chrystusa w Eucharystii powinni głosić i propagować całym swoim życiem. W swoich pokornych upomnieniach do braci ostrzega Franciszek przed oziębłością, czyniąc porównania do ludzi współczesnych Jezusowi, którzy patrzyli na człowieczeństwo Chrystusa, ale nie uwierzyli duchem w Jego Boskie synostwo. Zaznacza przy tym, że i w naszych czasach bardzo wielu ludzi patrzy na konsekrowaną postać na ołtarzu, nie dostrzegając duchem boskiego synostwa Jezusa. Oto oryginalne słowa upomnienia św. Franciszka w polskim tłumaczeniu: „Synowie człowieczy, dopókiż twardego serca będziecie? (Ps 4, 3). Dlaczego nie uznajecie prawdy i nie wierzycie w Syna Bożego?... Co dzień przychodzi do nas w pokornej postaci... na ołtarzach w rękach kapłana... Oglądając chleb i wino oczyma cielesnymi umiejmy widzieć i wierzyć mocno, że jest to jego żywe i prawdziwe Najświętsze Ciało i Krew”. (*Pisma św. Franciszka z Asyżu*, Warszawa 1976 r. 27, 28).

Ukochani Czyciele św. Franciszka! Jest to dla nas niezwykle cenna, a zarazem wzruszająca zachęta do wiary i miłości Jezusa obecnego w Eucharystii. Trafia ona do naszych serc dlatego, że wypowiedział je ubogi naśladowca Chrystusa, Franciszek z Asyżu, który tę miłość do Eucharystii praktykował na codzien. W tej swojej miłości jest niekiedy zaskakujący i niezrozumiały. Oto z głębokiej pokory nie chce przyjąć święceń kapłańskich; przyjmuje tylko święcenia diakonatu. Warto zastanowić się nad tą formą miłości Franciszka do Jezusa w Eucharystii. Któż bar-

dziej był godny trzymać w swoich rękach i dokonywać konsekracji świętej Postaci niż ten, który uchodził za szaleńca miłości Bożej? A jednak on wolał zostać jakby na uboczu, by tym intensywniej przeżywać tę miłość w swoim sercu. Świadczą o tym liczne jego upomnienia i zachęty, by czcić, szanować i kochać Chrystusa w tej właśnie postaci chleba i wina.

Ukochani w Panu! Niech ten przykład Biedaczyny z Asyżu będzie dla nas zachętą do ożywiania w sobie miłości do Jezusa w Eucharystii zwłaszcza wtedy, gdy uczestniczymy w Najświętszej Ofierze, gdy przyjmujemy Go w Komunii św. Niech nas broni przed rutyną i oziębłością. — Całym naszym sercem powtarzajmy za Franciszkiem te słowa: „Uwielbiamy Cię, Panie Jezu Chryste, tu i we wszystkich Twoich świątyniach, które są na całym świecie i błogosławimy Tobie, że przez krzyż Twój święty odkupiłeś świat”.

Św. Franciszek z Asyżu — patron ekologii

„PAN BÓG uczyniwszy wszelkie zwierzęta lądowe i ptaki powietrzne z gleby przyprowadził je do człowieka”. (Z Księgi Rodzaju 2, 18).

Najmilsi w Panu! W minionym tygodniu ²obchodziliśmy uroczystość św. Franciszka z Asyżu, patrona ekologii, jednego z najbardziej umiłowanych i popularnych świętych, który zyskał wielką sympatię współczesnych sobie ludzi średniowiecza i do dnia dzisiejszego jest pod tym względem bezkonkurencyjny.

Nasuwa się pytanie skąd ta wielka sympatia w przeszłości i dzisiaj do tego Świętego? I to nie tylko wśród ludzi Kościoła, ale i u protestantów, a nawet u niechrześcijan, czy niekiedy u niewierzących. Podobne pytanie postawił już kiedyś za życia Franciszka jeden z jego współtowarzyszy, brat Maciej z Marignano. Zapytał świętego: „Czemu za tobą, czemu za tobą biega cały świat?”. Było to prowokujące pytanie. Franciszek stał długo z myślą wzniesioną do Boga. Potem odpowiedział: „Chcesz wiedzieć czemu za mną biega cały świat? — Otóż aby spełnić to dzieło cudowne, które Bóg spełnić zamierzał, nie znalazł podlegszego stworzenia na ziemi. Przeto mnie wybrał, aby poznano, że wszelka moc i dobro wszelkie od Niego pochodzi, a nie od stworzenia” (*Franciszkową drogą*. Pod red. J. Bara OFM. Warszawa 1982 s. 249).

Również i my dzisiaj zadać chcemy Franciszkowi pytanie: Dlaczego za tobą?... Pytamy co jest w tym Świętym tak bardzo pociągającego, oryginalnego, genialnego, że zyskuje sobie on wszędzie tyle sympatii, i to niekiedy wśród ludzi stojących poza Kościołem? Odpowiadają na to pytanie różni ludzie, bardziej znani i mniej znani, różni twórcy kultury. Oto znany pisarz Józef Wittlin mówi o Franciszku: „Franciszka z Asyżu można dziś uważać za Mahatmę Gandiego chrześcijaństwa. Gdyby żył dziś może otrzymałby nagrodę Nobla za poezję, za szerzenie pokoju, za leczenie trędowatych, za otuchę wlewana w serca ubogich...” (J. Wittlin: *Fragmenty z przedmowy do książki o św. Franciszku z Asyżu*. „Prądy” 1 (1931) nr 2, s. 42—46. Zaś Stanisław Witkiewicz, ojciec Witkacego, pisał w liście do syna w 1903 r.: „Mój Stary — oto dewiza przede wszystkim zdrowej duszy i ciała

i zawsze jak najbliższej świętego Franciszka”. Także Bolesław Prus pięknie powiedział o Franciszku: „On naprawdę był świętym, on naprawdę był jednym z okien, które od czasu do czasu otwierają się na świat nadprzyrodzony. Kochał wszystko i wszystkich, nie tylko braci zakonnych, nie tylko lud, który słuchał jego nauk, ale także i może najbardziej kochał wszelkiego rodzaju chorych, trędowatych a nawet zbójców. Jego miłość rozlewała się poza rodzaj ludzki, ogarniając zwierzęta, a nawet martwą naturę” (B. Prus: *Kwiatki św. Franciszka z Asyżu*, „Tygodnik Ilustrowany”. R. 1910, nr 7 s. 130—131).

Dlaczego Franciszek zyskał sobie tyle sympatii, odpowiedział też profesor KUL, ks. M. Żywczyński: „Franciszek był największym świętym jakiego zna historia... Wydaje się, że w przyszłości taki fenomen świętego nie powtórzy się. Jest to jedyny święty nie mający przeciwników. Każdy Franciszka darzy sympatią. Nie tylko w katolicyzmie, ale w protestantyzmie, w buddyzmie, ciekawe, że nawet wśród ateistów Franciszek cieszy się znaczną popularnością”.

Najmilsi! I my też kochamy Franciszka z Asyżu za jego naśladowanie Chrystusa i to Chrystusa cierpiącego, za jego miłość do ludzi najbardziej pokrzywdzonych, za jego miłość do przyrody, do zwierząt, do nieskażonej natury. Czcimy go jako patrona ekologii. On całą przyrodę, napotkane zwierzęta, traktował jak równych sobie partnerów w egzystencji na tej biednej ziemi. Nazywał je swoimi braćmi i siostrami. Wypuszczał je na wolność, gdy chciano je zabijać na pokarm w czasie jego choroby. Zawsze podkreślał, że wyszły z ręki Boga po to, żeby Go chwalić na swój sposób, żeby pomagać człowiekowi. Ale, niestety, mimo tych nawoływań Franciszka, ludzie zarówno w średniowieczu, jak i w dniu dzisiejszym jakże często nie mają elementarnego poszanowania dla ich życia i roli jaką one pełnią. Człowiek zapomina jak wiele im zawdzięcza. One go przecież ubierają, karmią, bawią, służą swoim życiem za cenę nieraz skrajnego cierpienia, by dostarczyć lekarstw i umożliwić eksperyment. Ileż to setek tysięcy, i milionów zwierząt ginie codziennie dla zaspokojenia potrzeb człowieka. Skoro odgrywają one tak ważną rolę w życiu człowieka to mają chyba prawo do humanitarnego traktowania. A jeżeli według uznania człowieka powinny umrzeć, to również mają prawo do maksymalnie bezbolesnej śmierci. Tymczasem słyszy się o barbarzyńskich zwyczajach, np. zakopywania żywcem zwierząt niepotrzebnych lub chorych. Dzieje się to w jednej z podkrajowych miejscowości. Nie w średniowieczu, ale w naszych cza-

sach. Albo też zdarza się, że rodzice nakazują swoim niedorostłym jeszcze dzieciom zabijanie niepotrzebnych zwierzątek, aby pozbyć się kłopotliwego problemu. To kończy się oczywiście znęcaniem, zadawaniem niezасłużonego cierpienia, a z drugiej strony wyrabia u dzieci okrucieństwo i nieczułość na wszelkie cierpienia, także ludzkie, także najbliższych.

Ukochani w Panu! — Wspomniane na początku słowa z Księgi Rodzaju z dzisiejszego pierwszego czytania liturgii, wskazują, że tak jak człowiek, tak i zwierzęta wyszły z ręki Boga: „Uczył je Bóg z gleby i przyprowadził do człowieka, żeby im nadał imiona”. A więc zwierzęta lądowe i powietrzne i morskie to dar Boga, za który trzeba będzie zdać przed Nim sprawę. Człowiek powinien sobie cenić bardzo wysoko ten dar Boży i szanować każde napotkane życie, ze zwierzęcym włącznie. Jeżeli uzna za konieczne skrócić to zwierzęce życie, to kierując się wdzięcznością Bogu za ten dar i przepraszając Go, że to musi uczynić, powinien to uczynić w sposób jak najbardziej humanitarny, bez zadawania niepotrzebnego cierpienia. Ponadto powinien kochać przyrodę i nie niszczyć środowiska naturalnego dla tzw. wyższych racji społecznych. Zresztą nie ma żadnych wyższych celów doczesnych, wyższych racji społecznych nad poszanowanie życia i ochronę środowiska. Kary za naruszanie tego prawa do życia w nieskażonym środowisku nie powinny być symboliczne, ale równoważne do strat. Tymczasem dzieje się coś absurdalnego. Oto w każdym innym wypadku, przy drobnych szkodach prawo oblicza karę bardzo dokładnie i kara bywa niewspółmiernie wyższa od wyrządzonej szkody. Jedynie wyrządzenie szkód nieobliczalnych i na całe stulecia nieodwracalnych w skali społecznej, może liczyć na pobłażliwość prawa, albo raczej egzekutorów prawa. Wtedy obowiązują już tylko minimalne, symboliczne kary. Jak to nazwać, czy jest to zwyczajna bezkarność? — Nie, to nie jest zwyczajna bezkarność. Bezkarność ta zakrawa niekiedy na jawne łapiny z elementarnych praw do życia w normalnym środowisku. Oto „Gazeta Krakowska” informuje, że aż 30% wszystkich zainstalowanych urządzeń mających chronić środowisko przed zgubnym oddziaływaniem przemysłu jest po prostu nieczynne. A wiadomo, że urządzeń tych nie jest wiele. W takim razie co to wszystko znaczy? Może zakłady, nie włączając instalacji, po prostu oszczędzają? Nie! Nazwijmy rzecz po imieniu: jest to robienie brudnych interesów na ludzkim zdrowiu i życiu.

Najmilsi! Na pewno nie są to łatwe sprawy i zapewne będą coraz trudniejsze z każdym rokiem. Ale cóż my możemy na to

poradzić? My, którzy jesteśmy ofiarami tych układów i takich „gospodarności”. — Owszem, wbrew pozorom możemy bardzo wiele. Możemy w czasie tej mszy św., zamówionej przez Zarząd Krakowskiego TOSu, prosić Boga za pośrednictwem naszego patrona św. Franciszka z Asyżu, żeby ludzie najbardziej winni zatrucia środowiska naturalnego zmienili swoją mentalność budowniczych świata przez jego zniszczenie, odłożyli na bok medale i zaczęli, pokornie uznając swe błędy, odrabiać wieloletnie zaległości w dziedzinie ekologii. Żeby to oni właśnie znaleźli się w czołówce działaczy oczyszczania środowiska, a nie przeciwników tej działalności. Oby św. nasz Patron, autor hymnu pt. „Pochwała stworzenia” sprawił, żeby w naszych rzekach na nowo pojawiła się czysta woda jako normalne środowisko dla ryb i innych stworzeń, a przez czyste powietrze, żeby dochodziły do naszego miasta jasne promienie słońca, o którym śpiewał Franciszek, że ono dzień stwarza, a Pan świeci przez nie. I piękne jest i promienne w wielkim blasku. Twoim, Najwyższy, jest wyobrażeniem.

„Brat ciało”

KSIEGA Rodzaju Pisma św. Starego Testamentu tak opisuje stworzenie człowieka.

„Uczyńmy człowieka — rzekł Pan Bóg — na wyobrazenie i na podobieństwo nasze” (r. 1, 26).

„Utworzył tedy Bóg człowieka z mułu ziemi i tchnął w oblicze jego dech żywota” (r. 2, 22).

A gdy zobaczył, że „nie dobrze być człowiekowi samemu — zbudował z żebra, które wyjął z Adama, niewiastę” (r. 2, 22).

I nie potrzeba, najdrożsi, być biegłym w Piśmie św., by czytając ten opis wiedzieć, że starotestamentowy Pisarz nie miał zamiaru uczyć historii — kiedy to było; nie chciał uczyć geografii — gdzie to było; ani antropologii — jak to było.

Pismo św. jest księgą o wierze i moralności, a więc autor chciał przede wszystkim tych właśnie prawd uczyć.

Uczy więc, że człowiek pochodzi od Boga. On jest jego Stwórcą i Ojcem, że mężczyzna i niewiasta są sobie równi i jakoś od siebie współzależni, że człowiek otrzymał ciało i owo „tchnienie Boże” ożywiające je i że otrzymał jakąś pozycję wyjątkową na świecie, by ziemię „uprawiał” i „czynił — ją sobie poddaną”.

W całej tej historii warto jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół, a mianowicie, że wszystko stwarzał Pan Bóg jednym słowem „niech się stanie”. Jednak gdy stwarzał człowieka „utworzył” sam „mężczyznę z mułu ziemi”, a „niewiastę zbudował z żebra”.

Wszystko zaś uczynił „na wyobrazenie i podobieństwo swoje”.

Jeżeli pisarz uczy moralności, to zestawienia te i porównania mają swoją wymowę, a dla nas wielką wagę.

Nie jest więc człowiek jakimś produktem seryjnym lub przypadkowym, ale *wyjątkowym, niepowtarzalnym*, w którego stworzenie i życie *osobiście i bezpośrednio* zaangażował się Bóg.

Człowiek, jak wiemy, składa się z duszy i ciała. O duszy będziemy mówili kiedy indziej. Dziś chcemy mówić o ciele — tym „kochanym bracie” — jak je nazywał św. Franciszek, o jego pięknie, wartości oraz o naszych obowiązkach w stosunku do niego.

Można na nie patrzeć, jak na każdą rzecz stworzoną i z różnego punktu widzenia, np.

a) z *pogańskiego* — tzn. albo wywyższając je ponad miarę, czyniąc zeń niemal bóstwo, lub wpadając w drugą krańcowość, oceniać je li tylko pod kątem użyteczności, za życia jako siłę materialną, fizyczną, produkcyjną — po śmierci, przepraszam za określenie, jako nawóz pod uprawę roślin.

Tak patrzyli na ciało pogańskie różnych czasów, np. Egipcjanie, Grecy czy Rzymianie, gdy z jednej strony w pieśniach i poematach opiewali piękno ciała, w rzeźbach stawiali je na honorowych miejscach — z drugiej strony niewolników nie dożywiali, a wycieńczonych zabijali, słabe, ułomne dzieci zrzucali ze skał lub w przepaście, a starych i chorych uśmiercali.

Takie czy podobne pogaństwo przejawiało się i w naszych czasach, czy to jak dawniej, gdy starych wypędzano w lasy lub w góry, by tam kończyli życie, czy w systemie, już naukowo opracowanym, a nazywanym ludobójstwem.

Na wiele to już lat przed ostatnią wojną jakiś amerykański uczony obliczył, że ciało ludzkie nie jest warte nawet jednego dolara. Według niego, wody zawartej w człowieku wystarczyłoby na wypranie jednego, niewielkiego obrusa. Z zawartości żelaza, znajdującego się w ciele, można by wymalować bardzo cienko ściany małej chaty. Kwas węglowy zamieniony w grafit wystarczyłby na sfabrykowanie 65 ołówków. Z fosforu można by zrobić garść zapalek. Wreszcie można by zdobyć jeszcze kilka łyżeczek soli. Wartość całości: 98 centów.

Hitlerowscy uczeni poszli jeszcze dalej, gdy opracowali naukową metodę wykorzystania dla celów praktycznych ludzkich włosów, dla celów użytkowych ludzkiej skóry, dla celów medycznych ludzkiego ciała jako obiektu do doświadczeń, a kości oczywiście jako doskonały nawóz.

Całe szczęście, że wojnę przegrali, a ludzkość jednomyślnie oceniła ich szatańskie zamysły i praktyki.

b) pogląd *chrześcijański*. Ocena ludzkiego ciała ze stanowiska chrześcijańskiego jest oceną na wskroś realistyczną, bez jakichkolwiek krańcowości czy szowinizmu.

1. Ludzkie ciało to najpiękniejsze *dzieło Boże*.

Widzieliście na pewno niejednego piękny aparat, np. radiowy, telewizyjny, fotograficzny. Technicy wysilają się na wyprodukowanie coraz to lepszych motorów. A przecież, te nawet najcu-

downiejsze modele mówiąc po warszawsku „wysiadają” w porównaniu z aparaturą oka, krtani, ucha, serca, czy przy tak bardzo cudownej a skomplikowanej aparaturze mózgu.

2. Ludzkie ciało to *mieszkanie* duszy i *świątynia* łaski.

Patrząc na człowieka już tylko pod kątem fizycznym i cielesnym, można i trzeba ocenić jego kształt, jako coś godnego podziwu. A cóż trzeba by powiedzieć, skoro człowiek nie jest tylko istotą cielesną ale i duchową. Świat jego ducha jest tak wielki, cudowny i twórczy, że choć człowiek w stosunku do wszechświata jest małym prawie pyłkiem — to z powodu, czy dzięki, pracy ducha realizowanej i przejawianej przez ciało — staje się jego panem.

Kto cię rzucił w gwiazdne przestworza?

Kto w twych oczach pozapalał zorze?

Kto w twym sercu rozplomienił burze?

Znana pianistka polska Halina Czerny-Stefańska opisuje w swoich pamiętnikach, jak to oglądała w kinie film pt. „Młodość Chopina”. Brała osobisty udział w jego realizacji i podziwiała teraz świetną synchronizację muzyki z obrazem. „Patrząc na ekran — powiada — pamiętałam przecież, że ktoś inny siedzi przy fortepianie (Wollejko), do kogo innego należą sfilmowane na klawiaturze ręce (do Żmudzińskiego), a kto inny wreszcie gra muzykę, którą się słyszy (sama Stefańska). Zupełnie jednak nie odczuwało się, ani nikt nie podejrzewał takiej „składanki”.

Wielki reżyser filmu ludzkiego życia tak w cielesnym ludzkim wszystkim cudownie powiązał i od siebie uzależnił, że w strukturze człowieczej trudno odróżnić poszczególne części, gdyż stanowią tak szarmonizowaną całość w działaniu.

To ciało człowiecze podniesiono, wedle nauki Chrystusa do rangi świątyni, gdy przez chrzest dusza mieszkająca w nim otrzymuje łaskę uświęcającą, przez inne sakramenty przyjmowane godnie ją powiększa i umacnia, a przez przyjęcie Komunii św. daje mieszkanie już nie tylko łasce, ale Dawcy łaski — samemu Chrystusowi.

3. Ludzkie ciało to *współuczestnik* życia i pracy.

Cóż pomogłyby ptakowi skrzydła, gdyby nie miał wolności i przestworzy powietrznych? Na co przydałby się wirtuozowi-pianście talent, gdyby nie miał fortepianu? Cóż za nieszczęście muciaby przeżywać genialny rzeźbiarz, gdyby nie miał nie tylko materiału ale i rąk do pracy? Jakże ubożsi, tak mi się zdaje, są pod tym względem od nas aniołowie, bo choć bogatsi duchowo,

to jednak z braku ciała, owoce ich ducha pozostają tylko ideami, a nigdy nie przybierają kształtów konkretnych.

To ciało, czasem takie niepokażne, poddane tak licznym nie-
domaganiom — jest jednak tą *siłą*, co kierowana myślą *tworzy*
i „czyni ziemię sobie poddaną”.

4. Ludzkie ciało to *współuczestnik* przyszłej chwały.

Dla nas wierzących jest rzeczą pewną, że nasze życie nie
kończy się ze śmiercią. Słowa wymawiane przez nas w Składzie
Apostolskim „wierzę w ciała zmartwychwstanie” — są prawdą
radosną, pełną błogiej nadziei, ale też prawdą twórczą.

„Jeżeli bowiem — mówi św. Paweł — wierzymy, że Chrystus
umarł i zmartwychwstał, to i tych, którzy zasnęli przez Je-
zusa, Bóg przyprowadzi z nim” (I Tes 4. 14), bo „jeśli współ-
cierpimy, to abyśmy też byli współuwielbieni” (Rz 8, 17).

Śmierć jest przecież gwałtem, który rozbija jedność ciała i du-
szy, a stan okresu od śmierci do zmartwychwstania jest stanem
nienaturalnym i jedynie przejściowym. Dopiero wtedy, gdy zno-
wu ciało i dusza złączą się — nastanie okres dalszego życia, choć
w jakichś innych wymiarach i w innych formach bytowania.

I chyba jest słuszne, by ciało, które było współuczestnikiem
życia i pracy, ofiar i cierpienia — było też *współuczestnikiem*
nagrody.

II. CHRZEŚCIJAŃSKA KULTURA CIAŁA

Bóg, Stwórca ludzkiego ciała, w swej trosce o jego zachowa-
nie i rozwój, a także w obronie przed nieostrożnością lub złością
człowieka postanowił: „nie zabijaj”, a Sobór Watykański II
w Konstytucji pasterskiej *O Kościele w świecie współczesnym*
wyraźnie podkreśla: „Nie wolno tedy człowiekowi pogardzać ży-
ciem ludzkim, lecz przeciwnie, ma on obowiązek *uważać ciało*
swoje, jako stworzone przez Boga i przeznaczone do zmartwych-
wstania w dzień ostateczny, za *dobrze i godne szacunku*” (p. 14).

Tak z przykazania boskiego jak i postanowienia Soboru wy-
nika najpierw obowiązek *racjonalnej* troski o ciało oraz szacunku
a nawet miłości w odniesieniu do niego.

Jest ono przecież wspaniałym *jedynym* darem — nikt mądry
niepowtarzalnym darem nie igra.

Jest ono darem danym dla dobra i szczęścia człowieka na
ziemi — a nikt roztropny nie podcina gałęzi, na której siedzi.

Jest ono, jak mówił św. Franciszek, „kochanym bratem” —
więc trzeba je jak brata szanować i miłować, ale jest ono i „osiół-
kiem” głupim i upartym, więc trzeba też nim roztropnie kierować.

Wstrzemięźliwość

„Kto chce iść za mną niech zaprze samego siebie”. (Łk 9, 23).

„Strzeżcie się, aby nie były obciążone serca wasze obżarstwem i opilstwem” (Łk 21, 34).

DO CZTERECH cnót kardynalnych, czyli głównych, jak roztropność, sprawiedliwość i męstwo, należy także cnota wstrzemięźliwości. Gdy na temat każdej z nich, nawet przypadkowo zapytany człowiek umiałby coś powiedzieć — to na temat wstrzemięźliwości, jak mi niemam, niewiele miałoby wyrobione zdanie. Śmiało można stwierdzić, że jest to cnota zapoznana, zapomniana i niepopularna.

A jednak jest to jedna z cnót głównych, bez której absolutnie nie można sobie wyobrazić życia dobrego człowieka, a już w żadnym wypadku katolika, a tym bardziej tercjarza. Nie może się bowiem ostać wieża zbudowana na czterech filarach, gdy jeden z nich się zawali, podobnie jak musiałaby runąć kopuła katedry św. Piotra w Rzymie, gdyby usunięto jeden z czterech potężnych filarów, na których ona od wieków się opiera.

Czym więc jest cnota *wstrzemięźliwości* czy inaczej mówiąc *umiarkowania*?

W pierwszym i najszerszym tego słowa znaczeniu wstrzemięźliwość jest to cnota *porządkująca i utrzymująca* w rozumnych granicach zaspakajanie potrzeb cielesnych i duchowych człowieka. W drugim, już wyższym znaczeniu, jest to *stała dyspozycja* duchowa skłaniająca do ograniczania czy odmawiania sobie nawet rzeczy dobrych i godziwych celem zdobycia i zyskania większych dóbr duchowych czy wejścia na wyższy stopień życia doskonałego. Jeżeli w tym drugim wypadku przyczyną podjęcia umartwienia jest postęp w chrześcijańskiej doskonałości, a celem doskonalsza miłość Boga — możemy już wtedy śmiało mówić o chrześcijańskiej cnotie wstrzemięźliwości. Jeżeli zaś podejmując te umartwienia pragniemy jeszcze przez to zadość uczynić Bogu za dawne czy obecne grzechy, można też to umartwienie nazwać pokutą — odpowiadającą na polecenie Chrystusa:

„Pokutę czynicie, albowiem przybliżyło się do was królestwo Boże” (Mt 3, 2), oraz ostrzeżenie: „Jeśli pokutować nie będziecie wszyscy wyginiecie”. (Łk 13, 5).

I. POTRZEBA WSTRZEMIEŻLIWOŚCI DLA UTRZYMANIA ZDROWIA I RATOWANIA GODNOŚCI CZŁOWIEKA

Wśród wielu, niestety, naszych wad narodowych jest i ta, którą św. Paweł tak drastycznie określa „a bogiem ich brzuch”, lub jak o tym mówi stare przysłowie polskie, które także i dziś nie straciło swej aktualności: „za króla Sasa — jedz, pij i popuszczaj pasa”.

Jest oczywistą prawdą, niepodlegającą żadnej dyskusji, że dla normalnego rozwoju cielesnego i duchowego organizm człowieka, zależnie od wykonywanej pracy, wieku i innych jeszcze racji, potrzebuje racjonalnego odżywiania. Ale prawdą medycznie stwierdzoną i udowodnioną jest też, że przekraczanie norm żywienia lub nieodpowiednie pożywienie musi się odbić ujemnie na zdrowiu a w konsekwencji doprowadzić do choroby czy nawet do przedwczesnej śmierci. Dobrze są znane smutne następstwa obżarstwa czy opilstwa. Lekarze powiadają: „Najzdrowsze jedzenie używane w nadmiarze zmienia się w truciznę”. „Ludzie boją się głodu, a nie boją się przejedzenia, które jest przyczyną wielu chorób i przedwczesnego starzenia”.

Nieumiarkowanie w jedzeniu nazwano „powolnym samobójstwem”. „Tyć — to znaczy powoli umierać”. (J. Gamowska: *Życie bez starości*. Warszawa 1962). Papież Leon XIII, gdy raz zauważył, jak jego gwardziści dogadzali sobie w jedzeniu, powiedział: „Byłem zdania, że się je, aby żyć. Widzę jednak, że się je, aby rychlej umrzeć”.

Jak więc troskliwy i przewidujący jest nasz św. Kościół, gdy dla dobra duszy i zdrowia ciała nie tylko zachęca do cnoty wstrzemięźliwości, ale nawet wyznacza pewne dni w tygodniu czy okresy w roku dla jej specjalnego pielęgnowania.

Jeszcze większe spustoszenie w duszach i ciałach od nieumiarkowania w jedzeniu sprawia *pijaństwo*. Z przykrością trzeba stwierdzić, że pijaństwo zawsze było jedną z plag naszego społeczeństwa, i niestety, nieszczęście to nie maleje, a z roku na rok wzrasta, obejmuje coraz to szersze kręgi społeczeństwa i zakaża swoim jadem także i młodzież. Statystycznie uwzględniając tylko liczby ogólnikowe, przedstawia się to następująco: w latach 1933—1939 przypadał na jednego mieszkańca Polski i litr spi-

rytusu. 1957 roku już 3,9 litra, 1966 roku 4,5 litra, a w 1969 roku już 5 litrów. Że do pijaństwa namawiali nas i ułatwiali je wszelkiego rodzaju okupanci — to chyba nie dziwnego, gdyż chodziło im przecież o biologiczne wyniszczenie narodu. Ale jak wytłumaczyć i czy można ostatecznie zrozumieć, że we własnym kraju, własni jego gospodarze, robotnicy i chłopci przepijają ciężko zapracowany grosz, niszczą własne zdrowie i sumienie, a także szczęście swoich dzieci, gdyż i one dziedziczyć będą smutne skutki opilstwa.

Ale wiedzieć tylko o tym to jednak za mało. Trzeba budzić własne sumienie i jeśli nie jesteśmy w stanie być zupełnymi abstynentami — to wielką rolę do odegrania ma cnota wstrzeźliwości. Kto jak kto, ale właśnie tercjarze mają i muszą przeprowadzić wielką misję, prowadzącą do tego, by:

- zerwać zdecydowanie ze zwyczajem podawania wódki przy każdej okazji i nie dopuścić we własnych domach do „wodzi-rejstwa pijaków”, nieustannych toastów i zmuszania do picia,
- święta kościelne i narodowe przeżywać w atmosferze wiary i pobożności,
- w żadnym wypadku nie podawać, ani nie zezwalać na podawanie jakichkolwiek napojów alkoholowych dzieciom i młodzieży,
- otoczyć opieką czy podać rękę i wesprzeć tych, którzy chcą być wstrzeźliwi czy rzucić ten nałóg,
- pomóc rodzinom tych biednych ludzi i otoczyć opieką dzieci tych rodzin, by je, dopóki jeszcze czas, ratować.

Oczywiście te dwie nasze wady nie wyczerpują jeszcze całej plejady innych wad, jak nałóg palenia, tzw. nerwy („lაცინა დნია ცოდნიენოგო”), egoizm, sobkostwo, marnotrawstwo, „znieczulica” itd., przy których przewyciężaniu lub rugowaniu tak kapitalną odgrywa wstrzeźliwość.

II. WSTRZEŹLIWOŚĆ JEST CNOTĄ KONIECZNĄ W POSTĘPIE DUCHOWYM

a) Wstrzeźliwość podjęta z pobudek nadprzyrodzonych, z miłości Boga i jako wynagrodzenie za wszelkie przekroczenia prawa Bożego, uświęcona dobrą intencją ma także charakter pokuty. W tym wypadku wstrzeźliwość musi być podjęta, jako stała dyspozycja duchowa, pozwalająca świadomie i dobrowolnie odmawiać sobie nawet rzeczy dobrych i godziwych, by przez te umartwienia, czasem nawet bolesne czy przykre, wy-

grodzić Bogu za dawne nadużywanie dóbr lub grzeszne zaspakajanie zachcianek zmysłowych. O tej wstrzemięźliwości, jako pokucie mówi św. Piotr: „Pokutę czyńcie... na odpuszczenie grzechów” (Dz. Ap. 2, 38) i św. Paweł: „By (porzucić) poprzedni sposób życia tego starego człowieka, który psuje się przez zwodnicze żądze, a odnowić się duchem umysłu i przyoblec się w nowego człowieka” (Ef 4, 22—24).

b) Wstrzemięźliwość jest cnotą potrzebną także i dla tych, którzy może nie mają za co pokutować. Ale przecież każdy człowiek, a już na pewno katolik i tercjarz, są zobowiązani do realizowania zalecenia Chrystusowego: „doskonałymi bądźcie... świętymi bądźcie”, czyli do nieustannej pracy nad własnym postępem. Św. Franciszek mówił o tym: „Bracia — macie być artystami bożymi”! Nie aktorami — odtwórcami, ale artystami — twórcami wspaniałego dzieła, jakim jest pełne człowieczeństwo w łasce. Św. Paweł porównuje ten wysiłek do wysiłku sportowca-biegacza i mówi: „tak biegnijcie, abyście otrzymali... nieśmiertelny wieniec” (I Kor 9, 24). Pięknie o tym mówił i wspaniale to zrealizował polski naśladowca św. Franciszka br. Albert — Adam Chmielowski: „jeżeli poznam, że coś jest doskonalsze — uczynię”!

Nie ma i nie może być żadnego postępu duchowego bez cnoty wstrzemięźliwości. Ona, jak mówi uczony psycholog Ludwik Corrado: „oczyszcza zmysły, ciału dodaje jedności i zgrabności, ożywia umysł, rozwesela ducha, wzmacnia pamięć, rozbudza zwinność i zręczność ruchów, ułatwia działalność i pracę”. Jednym słowem jest to wielka siła do umacniania woli, oczyszczania umysłu od zbędnych obciążeń, uszlachetniania uczuć, skierowania wzroku, słuchu i mowy jedynie na dobro i piękno, ukierunkowania serca na Boga.

Śmiało więc można powiedzieć, że bez tej cnoty nie można być człowiekiem, nie można mówić o jakimkolwiek postępie duchowym, bo tylko ten, kto posiadał sztukę umartwiania jako stałą dyspozycję „zaparcia się samego siebie” może i idzie za Chrystusem.

My, franciszkanie, przyjmujemy św. Franciszka za naszego nauczyciela i za wzór do naśladowania.

Jaką i w tej kwestii zostawił on nam naukę?

Wystarczy chyba przytoczyć kilka krótkich przykładów. Swoje ciało żartobliwie nazywał „osiołkiem” — ale na serio trzymał je w twardej dyscyplinie i ascezie. Gdy Bóg powołał go — nie zawahał się rzucić wygodnego choć niegrzesznego życia mie-

szczanina i obywatela oraz nadziei na zaszczytne awanse, aby pójść na twardą i krzyżową drogę swojej nowej służby. Niełatwo mu przyszło służyć chorym, a zwłaszcza trędowatym, w leprozoriach. Wiemy, jak niegdyś przy przypadkowym spotkaniu z trędowatym odczuł wstręt, a nawet zaczął przed nim uciekać. Ale ostatecznie opanowawszy siłą woli, zdobytą przez umartwianie, naturalne odruchy wstrętu — wrócił, przeprosił chorego za swoje tchórzostwo i z czułością ucałował jego usta, a sam w przyszłości przyznał, że stało się to dla niego „rozkoszą duszy i ciała”.

Na pewno niełatwo mu to wszystko przychodziło. Ale zwycięstwo nad *samym sobą* należy do najtrudniejszych zwycięstw. Warto się więc o nie pokusić, rozpoczynając od małych i prostych wyrzeczeń, prowadzących ostatecznie do wielkich wyników.

Sprawiedliwość w życiu tercjarza

I. PRZED blisko 20 wiekami Prawda Odwieczna — Jezus Chrystus powiedział do swych uczniów-apostołów: „Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa niż uczonych i faryzeuszów, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 5, 20). Mówiąc to, Chrystus Pan nie miał na myśli jedynie i wyłącznie moralnej cnoty sprawiedliwości, która Bogu i bliźniemu każe oddać według praw jakie im przysługują, lecz objął tym nakazem całość doskonałości chrześcijańskiej. Według myśli Chrystusa, sprawiedliwość — to ogół cnót; sprawiedliwość to jak najbardziej sumienne zachowanie nakazów Bożych. Jeśli dążenie do doskonałości obowiązuje wszystkich wyznawców Pana Jezusa, to przede wszystkim ten ścisły obowiązek spoczywa na Was, Drodzy Tercjarze; na Was, którzy przyjęliście ubogą suknię drugiego Chrystusa — św. Franciszka. Dali temu wyraz ostatni papież doby soborowej i posoborowej, podkreślając rolę i znaczenie laikatu w Kościele; dali temu wyraz nasi najwyżsi przełożeni zakonni, uwydatniając ten postulat, że każdy tercjarz i każda tercjarka mają, zwłaszcza teraz, po Soborze Watykańskim II, nieść w świat zasady Ewangelii i realizować ją w życiu. Po co? Po to, aby odnowić, odrodzić narody i społeczeństwa, by stać się apostołami miłości Boga, bliźnich i własnej duszy, by stać się wybraną częścią Kościoła św., niosąc inny powiew i inne życie. Dziś bowiem na skutek ostatniej wojny i powojennych stosunków, społeczeństwa bardzo cierpią na niemoc ducha, gdyż zawróciły z drogi, na której chciał je widzieć Zbawiciel świata.

Wy, Drodzy Bracia i Siostry, znowu — jak niegdyś w XIII stuleciu — macie stanąć na czele, macie stać się wybraną trzódką Jezusa, duchową elitą narodu i dawać światu lekcje pogładową, jak w życiu codziennym należy wstępować w ślady Chrystusa Pana. Tego dzisiaj szczególnie domaga się do Was św. Franciszek.

II. A w jaki sposób macie to czynić?

1. Tercjarz ma przede wszystkim dawać lekcję *miłości Boga*, miłości gorącej, serdecznej.

A. Miłość tę okażecie *modlitwą*. Kto kocha, ten z ukochanym często przebywa, rozmawia. Świat się nie modli lub modli się

rzadko, tak od zwyczaju, bo nie kocha. Miłość Twoja, Bracie i Sio- stro, ma płynąć z głębi Twego jestestwa. To nie ma być odra- bianie pańszczyzny, czy bezmyślne odklepywanie wyuczonych na pamięć formułek modlitewnych, z czego ani Pan Bóg nie ma chwały, ani dusza pożytku. Wy, Bracia i Siostry, macie rozmawiać z Panem, rozmawiać po prostu, bez wyszukanych zwrotów, serdecznie, jak dziecko z najlepszym Ojcem. Wy macie, jak św. nasz Patriarcha, duszę swą i serce podnieść do Boga, jeżeli chce- cie usłyszeć Jego głos. W modlitwie tej ma wziąć udział serce, umysł i usta — cały człowiek. I tylko taka modlitwa przebije niebiosa i przyniesie Wam ukojenie i siłę do walki z wrogiem zbawienia. I tylko taka modlitwa zdoła rozpalić Wam serca go- rącą miłością Boga. Nie ilość pacierzy, nie ich długość, lecz ja- kość stanowi o jej wartości. Niech Wasza modlitwa będzie krótka, lecz za to dobra. Tak módlcie się sami i takiej modlitwy naucz- cie innych.

B. Komunia św. — Jezus Eucharystyczny. Cóż bardziej może rozpalić serce człowieka ogniem miłości Bożej, jeśli nie ta ma- leńka, konsekrowana Hostia, którą do duszy swej wprowadzacie? Bracia i Siostry! Dzisiejszy zmateralizowany świat stroni od Sto- łu Pańskiego, nie łaknie Chleba Żywota. On pragnie karmić się tylko ziemskim i materialnym chlebem. I może właśnie dlatego tyle jest zła na świecie, tyle zbrodni, tyle występków, tyle nę- dzy, smutku, rozpaczy i szarpaniny życiowej, bo nie ma Jezusa w ludzkich sercach. Zaledwie od zwyczaju, zimno i obojęt- nie przyjmują Go ludzie raz w roku około Wielkanocy, może dwa razy i na tym koniec. A wiele osób całymi latami stroni od tej uczty, w której sam Chrystus siebie daje i chce być przyjmowa- ny. Bracia i Siostry, dajcie lekcję zimnemu i obojętnemu światu, lekcję miłości Jezusa — Hostii. Pokażcie swoim współbłóżnim, że Eucharystia, Komunia św., — to nie jedna więcej pobożna prak- tyka, ale szkoła serc, dusz i charakterów ludzkich, to probierz zbawienia i probierz naszej świętości. „Jeśli kto pożywa tego chleba, żyć będzie na wieki” (J 6, 51).

C. By Jezus bez przeszkód mógł dokonywać dzieła zbawienia i uświęcenia dusz ludzkich, musi je zastać czyste, bez grzechu. A przecież każdy z nas jest słaby, ułomny, podatny na posiew grzechu. Mamy ku temu wspaniały środek: *św. sakrament pokuty*. Świat go nie lubi, bo nie lubi się upokarzać, odsłaniać tajników swego sumienia i mówić o tym, co skryte i takie własne, a często takie brudne, podłe, nikczemne. Ucieka od pokuty, omija krutki konfesjonału i woli żyć w rozterce i niepokoju, niż upokorzyć się

przed swym Bogiem i szczerze, serdecznie wyznać przed Nim swe winy.

Tercjarz, dla którego sprawa zbawienia duszy i jej doskonałości winna stanowić rzecz pierwszorzędnej wagi, ma nauczyć świat kochać sakrament pokuty. To nie udręka, ale cudowne lekarstwo. To nie bicz Boży, ale pojednanie z Ojcem, który jest w niebie. To nie mdły, suchy, bezduszny rejestr win ludzkich, wyliczanych szybko i mechanicznie, lecz korne i pełne skruchy wyznanie grzechów po to, aby z nich powstać, do nich nie wracać i z każdą spowiedzią św. stawać się lepszym, świętszym i bliższym Sercu Bożemu. Często więc Bracie i Sostro, korzystaj z tego daru, często klękaj u krated konfesjonału, a ponad śnieg bielszym się staniem, wychowasz swoje sumienie, wykształcisz je, urobisz i szybkim krokiem będziesz zdążać po ścieżce doskonałości.

2. Lecz to jeszcze nie wszystko. Kto naprawdę kocha swojego Boga, ten będzie stać na straży swego sumienia, ten będzie się strzec każdego grzechu, a zwłaszcza ciężkiego, jak największego nieszczęścia. Patrz, Bracie i Sostro, jak dziś świat lekceważy sobie grzech: pije go jak wodę, bez najmniejszego zmrużenia powiek. Zabić, okraść kogoś, sprzeniewierzyć się świętym zobowiązaniom małżeńskim, danym i przyjętym na siebie u stopni ołtarza — to nic, to drobnostka. Nieczystość — to nic, to drobnostka. Nieczystość — to rzecz zwyczajna, tego domaga się od nas natura. Ty, co wstępujesz w ślady Serafickiego Ojca, inaczej masz patrzeć na grzech. Tobie nie wolno go lekceważyć, nie tylko w rzeczach wielkiej wagi, lecz nawet w małej. Pan Jezus Cię kocha i Ty z pewnością Go kochasz. Jeśli tak, to Ty — na przekór dzisiejszym prądom i dzisiejszemu życiu — wydasz bezwzględną walkę wszelkiej brzydocie, wszelkiemu złu obecnych czasów.

Ludzie nie uczęszczają do świątyń Pańskich — Ty postarasz się nawet nie spóźnić się na Mszę św. Ludzie dziś w domach przeklinają, wszędzie słyhać wybuchy złości, gniewu czy nienawiści — Ty, ojciec-tercjarzu i matka-tercjarko, ze swego domu uczynisz oazę miłości, pokoju, kuźnię katolickiego wychowania dzieci. Dziś mąż zdradza żonę — Ty, mąż-tercjarzu i żono-tercjarko, dasz lekcję wierności i uczciwości małżeńskiej, pamiętając na świętą przysięgę, złożoną Bogu i sobie wzajemnie. Nie tylko zdrada, nie tylko niedozwolone przyjaźnie czy znajomości, lecz nawet złe myśli, pragnienia nie zabrukują duszy i nie będą mieć dostępu do Waszych serc franciszkańskich.

Mnożą się herodowe zbrodnie. Biała śmierć zbiera obfite żniwo. Tysiące zbrodniczych matek przerywa pasmo życia swych dzieci jeszcze nie narodzonych. Wy, franciszkańscy rodzice, a przede wszystkim matki, swoim postępowaniem, swoją postawą musicie założyć protest przeciwko temu. Macie pokazać, że dziecko — to skarb największy, to przyszłość, potęga nie tylko rodziny lecz i narodu. Zabijać je, nie dopuszczać do jego poczęcia — to zbrodnia wobec Boga i wobec siebie — wobec całego społeczeństwa.

Ile kradzieży, ile oszustwa, ile sprzeniewierzenia i krzywd dokonuje się dzisiaj. Świat jest przywiązany do pieniądza, ubóstwa go, dla zdobycia go gotów dopuścić się największej zbrodni. Ty, Bracie i Sostro, co kroczysz śladami ubożuchnego Ojca Franciszka, naucz dzisiejszych ludzi pogardy mamony. Pieniądze — majątek — to rzecz potrzebna, konieczna, lecz nie istotna. Do nich nie przywiązujcie swojego serca: „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam przydane” (Mt 3, 6). Oto Chrystusowa, franciszkańska i Wasza odpowiedź w słowach i czynie na dzisiejsze zmaterializowanie ludzi.

3. Jednak „jeśliby ktoś mówił: «Miłuję Boga», a brata swego nienawidził, jest kłamcą” (1 J 4, 20) — brzmią ostrzegawcze słowa apostoła miłości, św. Jana.

Świat dziś nie kocha Boga, dlatego szaleje wzajemna nienawiść. Dzieci nienawidzą rodziców, rodzice — dzieci, mąż — żony, żona — męża. Nienawidzą się sąsiedzi, współpracownicy, koledzy czy koleżanki biurowe. Ogniem nienawiści zioną ku sobie całe państwa i narody. Z tej wzajemnej nienawiści poczęła się owa straszna burza dziejowa, która niedawno wstrząsnęła ziemią. Dziś trzeba, by narodziła się miłość, inaczej świat zostanie pchnięty do nowej rzezi i nowych zbrodni. Tę miłość bliźniego powinny szerzyć przede wszystkim duchowe dzieci tego, który nie tylko ludzi, lecz i zwierzęta, całą przyrodę nazwał swymi braćmi i siostrami. Wy macie dać przykład prawdziwej, czynnej miłości bliźniego. To Wasza wielka misja dziejowa w obecnych czasach.

A jednak, niestety, i do tercjarskich szeregów wkradały się grzechy przeciw miłości. Utarło się powiedzenie, że tercjarz, tercjarka to najwięksi plotkarze, mający najbardziej złośliwe języki, najmniej przy tym uczynni, najmniej współczujący. Widocznie ukrywa się w tym jakaś cząsteczka prawdy. Są takie dusze tercjarskie, które już o godzinie 6 rano świecą świeczki w kościele, lecz do godziny 8 potrafią oblecieć pół miasta czy wsi, rozpowiadając wszelkie słabostki i brudy swoich współbliźnich. Są takie

dasze, które codziennie przyjmują Pana Jezusa w Komunii św., lecz spróbuj je tylko zaczepić, spróbuj powiedzieć niebaczne słowo, a obrzuca cię setkiem wyzwisk, przekleństw i całe piekło zdołają poruszyć. Nie, moi Drodzy, tak postępować nie można! Kto szczerze chce kroczyć śladami św. Ojca, kto chce być nie malowanym, ale prawdziwym synem czy córką św. Franciszka — ten musi zarzucić taki sposób postępowania. Musicie, Bracia i Siostry, zadać kłam takim twierdzeniom i dziś dać światu praktyczną lekcję miłości bliźniego.

Ty będziesz strzegł dobrej sławy i dobrego imienia współbraci, współsióstr swoich. Będziesz ich bronił, a nie obmawiał. Będziesz milczał, jeśli inaczej nie możesz, a nie dolewasz jeszcze oliwy do ognia. Nie zajmuj się cudzymi sprawami i cudzymi ułomnościami, boś może nie lepszy, jeśli nie gorszy.

Choruje twój brat czy siostra w Chrystusie czy w św. Franciszku — ty ich nawiedzisz, pocieszysz, ulżysz w cierpieniach w miarę możliwości, a nawet materialnie wspomozesz. Prosić cię będzie twój brat czy siostra o wsparcie, o pomoc? Ty im nie zamkniesz drzwi przed nosem, nie zaciśniesz swej ręki, ale podzielisz się z nimi nawet ostatnią kromką chleba. To będzie w duchu Chrystusa, po franciszkańsko. Poprosi cię ktoś o radę — chętnie posłużysz, jeśli tylko potrafisz poradzić. Nieraz masz możliwość ułatwić komuś otrzymanie zajęcia, pracy, mieszkania, posady. Jeśli to uczynisz — dasz dowód miłości bliźniego.

Skrzywdzi cię ktoś, a może nawet obrzuci błotem oszczerstwa — ty nie będziesz chował gniewu czy nienawiści w swym sercu, lecz po Chrystusowemu, po franciszkańsku przebaczysz, zapomnisz, a nawet w pewnych wypadkach podasz rękę do zgody. Bo „wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili” — powiedział Pan Jezus (Mt 25, 40). To będzie praktyczna lekcja miłości, to będzie sprawiedliwość praktykowana w najlepszym tego słowa znaczeniu. Dacie przykład innym, stwierdzicie czynnie, że kochając bliźniego, kochacie też i Boga.

III. Bracia i Siostry! Oto sprawiedliwość, jaką głosił Zbawiciel świata. Oto, jak ona winna przejawiać się w życiu każdego prawdziwego tercjarza, każdej prawdziwej tercjarki. Dlatego urzeczywistniajcie te wielkie ideały Jezusa i Jego wiernego naśladowcy a Waszego duchowego Ojca — św. Franciszka. Przykładem i życiem swoim odnawiajcie zepsuty świat. Wielka to misja i wielkie zadanie, lecz z Wami Bóg i św. Ojciec. Zwycięzycie i spełnicie swoje zadanie, jak je spełnili Wasi przodkowie w średniowieczu.

Stańcie się, Bracia i Siostry, wybraną trzódką Kościoła, parafii i każdej gminy tercjarskiej. Bądźcie waszym duszpasterzom wydatną pomocą w łowieniu zbłąkanych owieczek. Wasz trud i pracę wynagrodzi obficie Ten, od którego „każde dobro i wszelki dar doskonały pochodzi” (Jk 1, 17) — Bóg wszechmogący. Nagrodą waszą już tu na ziemi będzie błogosławieństwo ojcowskie św. Franciszka. On przeprowadzi Was bezpiecznie, spokojnie przez wszystkie burze życiowe do bram niebieskiej Ojczyzny i odda Was w ręce Jezusa Chrystusa, ukochanego Boga i Zbawiciela dusz, który będzie dla Was „nagrodą bardzo wielką”!

Cel i zadania zakonów w świecie

UJMUJĄC rzecz najogólniej dwa są cele, dla których istnieją zakony: pierwszy z nich mógłby się nazywać osobowy lub personalistyczny, drugi społeczny. Życie zakonne jest odmienną formą życia i zawsze znajdują się tacy ludzie, którym taka forma życia odpowiada i ją wybierają i w niej czują się szczęśliwi. To pierwszy cel istnienia zakonów. Cel społeczny — to pomoc w realizowaniu wielorakich zadań Kościoła.

Przypatrzmy się po kolei tym sprawom.

1. Każdy człowiek różni się od wszystkich pozostałych ludzi. Mamy różne zainteresowania, różne charaktery, różne właściwości osobowe. W tym jest bogactwo naszego życia, którego udzielił nam Bóg. Wśród tych zróżnicowanych osób ludzkich zawsze byli, są i będą tacy, którym sposób życia zakonnego jak najbardziej odpowiada. Każdy zakon ma swoje własne oblicze duchowe, swój sposób dochodzenia do Boga i ten właśnie sposób oni sobie wybierają.

Wybierają go wspólnie z innymi. Człowiek, już od pierwszej chwili, gdy pojawił się na świecie, łączy się z drugim człowiekiem, chcąc razem osiągnąć wyznaczone cele. Człowiek samotny nie czuje się wystarczająco pewnie, nie ma kto podsycać jego zapалу, nie ma kto go poprawiać i utwierdzać. Wspólnie jesteśmy bezpieczniejsi, spokojniejsi, wspólnie łatwiej osiągamy upragnione cele życia.

Iść wspólnie do Boga — to też droga łatwiejsza i bezpieczniejsza. Tu także wzajemnie się wspieramy i poprawiamy. Ale nie tylko. W życiu religijnym jest jeszcze inny, wspaniały środek łączący ludzi ze sobą, jakiego nie ma w innych dziedzinach życia ludzkiego: wspólna modlitwa. Ona to właśnie jest jakąś tajemniczą więzią, która w swej istocie zwrócona ku Bogu tak bardzo zbliża człowieka do człowieka, uzmysławia ludziom, iż są jednym, iż chcą tego samego i dążą do tego samego.

Bóg jest jeden. Jeden więc jest wspólny cel. Ale dróg do Boga jest wiele. Wiele jest sposobów dążenia do świętości. Czy wobec tego nie jest rzeczą naturalną, iż spotykają się tacy, którzy uzgadniają między sobą, że chcą jakąś ustaloną drogą dążyć do Boga i do doskonałości chrześcijańskiej, że chcą w dziedzinie reli-

gijnej więcej niż przeciętni ludzie? Będą odtąd wzajemnie sobie pomagali, wzajemnie będą pomnażali swą gorliwość, wzajemnie się wychowywali, wzajemnie starali się dać sobie dobry przykład.

Zakonów jest wiele. Wszystkie one zmierzają do tego samego celu, do Boga, ale każdy z nich obiera sobie właściwą drogę, każdy do Boga zmierza w nieco inny sposób. Własna droga jest podstawą dla własnej duchowości. Każdy zakon ma swoje własne oblicze duchowe. I ta właśnie duchowość winna być głównym uzasadnieniem obrania sobie odpowiedniego zakonu, odpowiadającego aspiracjom szukającego Boga człowieka.

Fakt istnienia wielu zakonów może gorszyć tylko tych, którzy nie widzą różnorodności naszego życia. W rzeczywistości jest to zaspakajanie naturalnych, a więc przez Boga danych człowiekowi tęsknot. Byłoby wbrew woli Boga, gdybyśmy wszystkich ludzi chcieli ustawiać w jednym szeregu, nie uwzględniając ich indywidualności. Tak można postępować jedynie z rzeczami.

Zakony są więc przede wszystkim dla ludzi, dla zaspokojenia ich aspiracji życiowych, dla ułatwienia im przeżycia Boga, zbliżenia się do Boga, są pomocą w osiągnięciu doskonałości chrześcijańskiej. Bóg swoją nadprzyrodzoną łaską utwierdza taki wybór, wzmacniając osobę zakonną, by mogła w zakonie osiągnąć swe cele i w nim wytrwać. Nazywamy to powołaniem do życia zakonnego.

Jednakowoż są i tacy ludzie, którzy żyjąc wśród warunków tego świata, posiadając swoje własne rodziny i mając związane z tym obowiązki, nie mogą w pełni realizować duchowości życia zakonnego, a chcieliby uczestniczyć w jego ideałach. Dla takich mądrość Kościoła powołała tzw. trzecie zakony. Ich naczelnym zadaniem jest pogodzenie ideałów życia zakonnego z warunkami życia codziennego w świecie. Zawsze jednak na pierwszym miejscu będzie chodziło tutaj o duchowe ubogacenie, według duchowości wybranego zakonu, członków tzw. świeckiej rodziny zakonnej.

My, członkowie wielkiej rodziny franciszkańskiej, przyjęliśmy drogę do Boga wytyczoną przez św. Biedaczynę z Asyżu. Kochamy tę franciszkańską duchowość, cieszymy się nią. Ona najbardziej nam odpowiada. Jest to bowiem droga miłości Boga, widzianego jako naszego Brata, jest to droga miłości i poszanowania każdego człowieka ze szczególnym uwzględnieniem człowieka słabego i grzesznego, jest to droga ukochania przyrody, która jest dziełem Boga, i służby człowiekowi, jest to droga pokory, ale i droga radości, droga prostoty, ale i droga życiowego entuzjazmu.

Ciesząc się z franciszkańskiej duchowości, nie dziwimy się wcale, że inni są zadowoleni z innych form duchowości. Owszem, odnosimy się do nich z pełnym szacunkiem.

2. Właściwa każdemu zakonowi jego duchowość, choć jest najważniejsza, nie jest jedynym celem istnienia zakonów.

Kościół jest wielkim organizmem. Posiada setki milionów swych członków. Ich wszystkich ma prowadzić do Boga. Wśród nich są bogaci i biedni, szczęśliwi i nieszczęśliwi, zdrowi i chorzy, uczeni i prostaczkowie, święci i grzesznicy, sprawiedliwi i niesprawiedliwi, krzywdzeni i krzywdzący, tzw. zapaleńcy Boży i religijnie obojętni. Na świecie istnieją sprawiedliwe i niesprawiedliwe ustroje społeczne i polityczne. Wzywa się do przestrzegania prawa Bożego, ale również rozsiewa się propagandę ateistyczną.

Zadania i potrzeby Kościoła są więc bardzo wielkie i różnorodne. Trzeba przede wszystkim dotrzeć do człowieka, do żywego człowieka, do jego problemów, do jego świadomości do jego serca. Trzeba temu człowiekowi pomóc, ukazać mu Boga, ulżyć w cierpieniu, ustrzec przed grzechem, pouczyć o Bogu, pomóc w rozwiązywaniu jego problemów moralnych i życiowych. W ten sposób ukazujemy światu co Boże i zarazem służymy Kościołowi.

Zadania dla zaangażowanych są właściwie w Kościele nieograniczone, niewyczerpalne. Tylko ślepi i obojętni nie zauważają potrzeb ludzi i Kościoła. Każdy nowo powstający zakon świadczy o tym, że pewna grupa ludzi dostrzegła jakieś szczególne potrzeby ludzi i Kościoła.

Nasze franciszkańskie zadania w Kościele nie są ściśle ograniczone do jakiejś dziedziny życia Kościoła, np. do wychowania młodzieży, jak to bywa w innych zakonach. Franciszkanizm może — i powinien — ujawniać się i szerzyć przez nas wszędzie. Będzie on jednak franciszkanizmem tylko wtedy, gdy nie zatraci swych cech charakterystycznych.

A franciszkanizm wymaga:

byśmy wybierali zadania nie przynoszące rozgłosu — będzie to franciszkańska pokora;

byśmy szukali zadań trudniejszych — będzie to franciszkańska wielkoduszność;

byśmy wybierali zadania przez innych nie podejmowane — będzie to nasza franciszkańska służebność;

byśmy się podejmowali zadań uważanych przez innych za gorsze i przykre, a wtedy okaże się, iż reprezentujemy zakon braci *mniejszych*, czyli zadowolających się tym, co w oczach świata jest małe;

byśmy nie szukali wdzięczności u ludzi, gdyż tej spodziewamy się jedynie ze strony Boga;
byśmy wszystkie posługi spełniali zawsze w duchu życzliwości i radości, gdyż taki właśnie był nasz Ojciec św. Franciszek;
byśmy wszystko spełniali w pełnej miłości Boga i człowieka, gdyż właśnie św. Franciszek polecił nam bezwarunkowo realizować Ewangelię.

A ponieważ czujemy się mali i słabi, prosimy Boga, by nas wzmocnił swoją łaską, by ideał franciszkanizmu stale był naszym drogowskazem, byśmy przez całe życie do niego dążyli i zdołali go w Kościele rozszerzać.

Podporządkowanie wolnej woli ludzkiej planom Bożym

„BĄDŹ wola Twoja, tak w niebie jak i na ziemi” — powtarzamy codziennie w Modlitwie Pańskiej. Gdybyśmy głębiej wniknęli w treść tej prośby, okazałaby się ona dla człowieka jedną z trudniejszych do wykonania, gdyż wtedy trzeba przełożyć wolę Bożą nad wolę swoją, a to praktycznie jest bardzo trudne.

Czymże jest wola ludzka, że zrezygnowanie z niej przychodzi nam z taką trudnością?

Krótko mówiąc, wola człowieka to władza duszy, która daje nam możliwość wyboru między dobrem a złem, wyboru między większym a mniejszym dobrem. Ta możliwość musi posiadać wielką wartość, skoro ludzie o nią zabiegają. Ona daje człowiekowi wolność, a w obronie wolności prowadzono już wiele wojen, rewolucji, buntów, z hasłami wolności ginęli i nadal giną ludzie.

Wolność woli w warunkach doczesnego życia przysługuje jedynie człowiekowi. Zwierzęta, wiedzione instynktem, postępują zawsze tak, jak im wyznacza ich natura. Ich działanie zadziwia nas niejednokrotnie swą celowością, ale one inaczej postępować nie mogą, nie mają prawa wyboru.

Niektórzy twierdzą, że i człowiek nie ma wolnej woli, że z konieczności musi on postępować tak, jak mu nakazą warunki zewnętrzne. Jest to nieporozumienie. Jest to niedostrzeganie różnicy między ograniczeniem a zniesieniem wolności woli. Zresztą sam Pan Bóg poddaje się prawidłowościom rzeczywistości i nie stwarza np. rzeczy sprzecznych ze sobą. Tym bardziej człowiek, który ma wolną wolę w daleko mniej doskonałym stopniu musi się liczyć z prawidłowościami naszego życia. W życiu naszym nie ma samowoli. Nie zawsze możemy robić to, czego byśmy pragnęli, nie możemy np. nie chcieć własnego szczęścia. Jednak wola nasza jest wolna, co najlepiej potwierdza nasze własne sumienie, mówiąc nam czyśmy postąpili dobrze, czy źle. Gdyby nie było wolnej woli, sumienie nie miałoby sensu, wyrzucałoby nam winy, które nie byłyby naszymi winami.

Jak wielkim darem jest wolna wola ludzka świadczy fakt, że bardzo wysoko ceni ją sam Bóg, nawet gdybyśmy użyli swej wolności przeciwko Niemu. On nam jej nigdy nie odbiera. Człowiek, który grzeszy, zwłaszcza ze złośliwości, występuje przeciw-

ko Bogu. Gdyby nie miał wolnej woli, nie mógłby grzeszyć. Ale Bóg mu tej wolności nie odbierze po to, by w ten sposób ograniczyć swobodę jego wyboru i postępowania.

Wola jest więc narzędziem w ręku człowieka. Jest to wielka siła, która może być obrócona ku dobremu, ale również ku złemu. O wartości człowieka decyduje sposób wykorzystania przez niego tej siły.

Jakie obowiązki wynikają dla nas z faktu posiadania wolnej woli?

Musimy sobie zdać sprawę, że nasza wola musi być rozumna, a więc nie może chcieć rzeczy niemożliwych, szkodliwych, niezgodnych z odwiecznym porządkiem rzeczy. Można to określić inaczej: wola ludzka musi być zawsze zgodna z wolą Bożą, wola Boża jest zawsze wyższa.

Czego od nas domaga się wola Boża? Odpowiedź jest krótka: naszego dobra. Wystarczy się zastanowić po co żyjemy. Żyjemy dlatego, że jesteśmy Bogu potrzebni. On i bez nas byłby całkowicie szczęśliwy.

A jednak Jego wolą jest, abyśmy żyli i to wiecznie. A więc dla dobra człowieka wola Boża chce naszego życia.

Wystarczy popatrzeć na złódek. Po co Bóg chciał wejść między ludzi? Czy dla własnego dobra? Cóż Mu to dawało? A jednak tego chciał, bo wola Jego skierowana jest ku dobru człowieka.

Wystarczy popatrzeć na Jego pokrwawioną i znieważoną twarz na Golgocie. Po co poniósł tak haniebną śmierć? Chciał tego dla zbawienia człowieka, dla dobra człowieka.

Wystarczy rozważyć dlaczego mieszka w tabernakulum, dlaczego chciał tam zamieszkać. Przecież w ten sposób naraża się na zniewagi. A jednak chciał tego dla dobra człowieka.

Wystarczy pomyśleć dlaczego dał człowiekowi przykazania. Czy to są Jego zachcianki, po to wydane, by ograniczać człowieka, by mu utrudnić życie, by mu założyć krępujące kajdany, w których z trudnością się porusza? Nie. Przykazania Boże nie są kajdanami. Przykazania mówią byśmy nie kradli, by i nas nie okradziono. Mówią, byśmy nie kłamali, by i nas nie okłamywano. Przykazania mają na celu to, by zabójstw, kradzieży, kłamstw nie było między ludźmi.

Wystarczy pomyśleć, jak okrutne byłoby życie ludzkie, gdyby nie obowiązywały przykazania Boże. Realizacja Bożych przykazań oznacza właśnie szczęśliwsze, lepsze życie, oznacza otarcie wielu niepotrzebnych łez. Przykazania Bożą są dla naszego dobra. Nie są

kaжданami ludzkości, ale warunkami naszego szczęśliwego życia. One są dla dobra człowieka.

Czego pragnie Bóg stawiając człowiekowi wymagania zawarte w przykazaniach. Na pierwszym miejscu Bóg żąda od człowieka miłości dla siebie i dla bliźniego. Przecież nikt rozsądny nie powie, iż ludzie kiedykolwiek chcieli dla siebie większych dóbr. Miłość bliźniego jest tym, czego najbardziej łakniemy. Głód miłości, głód sprawiedliwości i pokoju, tak powszechny wśród ludzi, jest tym, co Bóg przede wszystkim uwzględnia. Dobrze rozumiana wola Boża jest najbardziej zgodna z najgłębszymi dążeniami człowieka, z jego szczęściem.

A jednak w szczegółach niekiedy trudno nam zgodzić się z wolą Bożą. Jeżeli umrze ktoś z naszych bliskich, jeżeli ciężko zachorujemy, jeżeli zdarzy się nam jakieś nieszczęście, jeżeli życie nasze nie ułoży się nam według naszych planów — wówczas jesteśmy skłonni narzekać na wolę Bożą. Trudno nam wtedy z przekonaniem powiedzieć: bądź wola Twoja. Trudno trafiają nam do przekonania logiczne argumenty, że wola Boża ma na względzie nasz cel wieczny, a my myślimy tylko o celach naszych doczesnych, doraźnych. Tutaj trzeba już prawdziwego wyrobienia religijnego, prawdziwie silnej wiary.

Jeżeli narzekania takie płyną z ust ludzi wewnątrznie niewyrobionych, to możemy ich jakoś zrozumieć, choć nie będziemy ich chwalić. Jeżeli jednak tak narzekają ludzie w jakiś sposób stojący bliżej Boga — sprawa przedstawia się znacznie poważniej. Wszyscy wierzący winni dążyć do uzgodnienia swojej woli z wolą Boga, ale szczególnie powinni do tego dążyć tercjarze.

Dzieje ci się dobrze, tak jak sobie życzysz — niech będzie Bóg pochwalony. Dzieje ci się tak, że nie rozumiesz woli Bożej, mów — bądź wola Twoja. Oto właściwe nastawienie duszy tercjarskiej. Przecież nie my jesteśmy ważni, ale wola Tego, który jest w niebieszech.

Uzgodnienie swojej woli z wolą Bożą nie jest łatwe i stale narażone jest na zakłócenie. Cnoty, czyli wyrobienie w sobie sprawności, nie osiąga się od razu. Wymaga to ciągłych wysiłków. Znawcy życia duchowego twierdzą, że trzeba się ćwiczyć w rzeczach drobnych, by móc odnosić zwycięstwa w rzeczach ważnych. Na miano dobrego tercjarza może zasłużyć tylko ten, kto stałą pracą nad sobą potrafi uzgodnić wolę swoją z wolą Bożą, kto ma tak silną wiarę, iż wie, że Bóg zawsze chce naszego dobra, nawet wtedy, gdy tego nie możemy zrozumieć, gdy wydaje się nam inaczej.

Wiemy, że najgorzej na przeciwstawianiu swojej woli woli Bożej wychodzą sami buntownicy. Zbuntowani aniołowie nazywani są dziś diabłami. Wyobraźnia ludzka dodała im rogi i kopyta — cechy przysługujące drapieżnikom. Zostali oni pozbawieni obcowania z Bogiem. Najsmutniejsza jest śmierć człowieka skłóconego z Bogiem. Natomiast najszczęśliwszy jest człowiek, który ma czyste sumienie, bo pozwala na uzgodnienie swego życia z wolą Bożą.

Uzgadniając wolę swoją z wolą Bożą nastawiamy się na czynienie dobra, gdyż Bóg chce tylko dobra.

Wola nasza winna być ponadto silna i zdecydowana. Mali są ci ludzie, którzy posiadają chwiejną wolę, wolę która idzie za doraźnymi korzyściami. Nawet w ogólnym odczuciu, ten kto zmienia swe przekonania i postępuje według tego „jak wieje wiatr”, kto idzie tylko za tym co przynosi korzyść i łatwiejsze życie, kto za wszelką cenę unika trudności życiowych — jest uważany za człowieka słabego.

Wola nasza nie może być egoistyczna, chcąc tylko własnego dobra. Każdy z nas jest jednym wśród milionów. Nie jestem Bogu miłszy od innych, wszyscy bowiem jesteśmy ogarnięci miłością Bożą, wszyscy mamy zbawić się razem i żyjemy razem. Kto myśli tylko o sobie, tylko o własnym zbawieniu, ten nie upodabnia się do Chrystusa, który umarł za wszystkich ludzi, za dobrych i za złych. Św. Franciszek — ten bezkompromisowy naśladowca Chrystusa — nigdy nie uważał siebie za kogoś wyróżnionego. Gdy mu zwrócono uwagę, że jest bliżej Boga niż inni, przypisywał to nie sobie lecz łasce Bożej. Doskonałość św. Franciszka kazała mu miłować przede wszystkim tych, którzy są dalej od Boga. Naśladowca św. Franciszka nie może postępować inaczej.

Popatrzmy na życie św. Franciszka. Pielęgnował trędowatego mimo osobistego wstrętu, gdyż wolą Bożą jest miłować każdego bliźniego. Wypełnia więc wolę Bożą bezkompromisowo. Głosi i praktykuje ubóstwo, gdyż Chrystus był ubogi, a on chce naśladować Chrystusa. Jedzie do obcych krajów głosić Ewangelię, gdyż wie, że takie jest polecenie Chrystusa, by wszystkim okazywać dobroć Boga. „Głoście Ewangelię wszystkiemu stworzeniu”, tę wolę Bożą chce św. Franciszek wypełnić bez reszty. Na koniec, gdy mu przyjdzie umierać w cierpieniach — przyjmuje to z uległością. Oto przykład silnej, altruistycznej, gotowej do poświęceń, uzgodnionej z prawem Bożym, woli człowieka. Nieosiągalny ideał? Ideał na pewno. Ideały są jednak po to, byśmy się do nich zbliżali. Niech nikogo nie przeraża to, że nie zrealizuje ideału w pełni. Zwycięstwo jest już wtedy, gdy zbliżymy się do ideału.

Tak jak modlitwa nie może być w życiu tercjarza tylko odmawianiem pacierza, tak wezwanie „bądź wola Twoja” nie może być zdaniem bez pokrycia. Słowa muszą być popierane życiem. Dobra wola nasza jest podstawą naszej doskonałości, źródłem apostołstwa, gwarantem czystego sumienia, korzeniem miłości bliźniego.

Bóg jest wolny. Bądźmy wolni w woli Bożej. Wolność nasza niech nie będzie samowolą, ale wolnością w ramach prawa Bożego, wolnością dla dobra ludzi, wolnością dla spraw Bożych i dla spraw Kościoła.

Pozycja i rola tercjarza we współczesnej społeczności ludzkiej

KAŻDA społeczność ludzka tak długo jest zdrowa i żywa, jak długo ma przed oczyma jasno sprecyzowany cel, dla którego istnieje i na rzecz którego jest gotowa do poświęceń. Zastój i upadek stowarzyszeń zaczyna się wtedy, gdy się ten cel traci z oczu, gdy on się zaciera, gdy się już o niego nikt nie stara lub gdy jest on fałszywie rozumiany. Zresztą sens istnienia każdej grupy trzeba stale odświeżać, przypominać, korygować w zmieniających się warunkach życia. Dotyczy to oczywiście również i tercjarstwa.

Ponadto — trzeba sobie uświadomić — że każda społeczność składa się z jednostek. Dlatego też jakie są jednostki grupy, takie będzie i stowarzyszenie.

Wylania się więc pytanie: jak rysuje się cel tercjarstwa wśród różnych współczesnych form życia ludzkiego i jaki winien być tercjarz, by temu celowi odpowiedział.

Warunki społeczne, w jakich dzisiaj żyjemy nie są jednorodne, ale można wyróżnić kilka ich rysów dominujących.

Z okresu kapitalistycznego pozostała tendencja do rozważania naszego postępowania pod kątem wartości ekonomicznych. Duch kapitalizmu przejawia się przez to, że człowiek rozpatruje wszystko pod kątem korzyści materialnej i stale się pyta: czy to się opłaca, czy to nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku? Tymczasem duch Ewangelii to duch wartości wyższych. „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej poniósł szkodę?”. Duch rozważania naszego postępowania w świetle korzyści nie jest również duchem franciszkańskim, który w zerwaniu przywiązania do rzeczy doczesnych widzi doskonałość i wolność człowieka.

Z drugiej strony atakuje nas współcześnie duch filozofii egzystencjalnej, głoszącej tragizm człowieka, który dopóki żyje, męczy się myślą o czekającej go śmierci, a skoro umrze, czeka go nic. Ten pesymizm — dość często niestety występujący — wyrosł z obserwacji zniszczeń i pogardy człowieka w czasie ostatnich dwu wojen — nie jest zgodny z objawioną nauką Pisma św., które błogosławi wszystkim za ich trudy życia. „Błogosławieni, którzy płaczą”, „Zapłata wasza obfita jest w niebiesiech”. Św. Paweł zaś woła: „bracia, radujcie się”. Wiara katolicka jest pełna

optymizmu. Jakże zresztą może być inaczej, skoro ostatecznie czeka nas wieczna nagroda? Pesymizm jest jak najbardziej obcy św. Franciszkowi. Życie ludzkie jest splotem radości i smutku, ale św. Franciszek, ten wielki entuzjasta życia, umiał dostrzegać przede wszystkim momenty radosne, cieszył się nimi i chwalił za nie Boga. „Błogosławiony bądź Panie, za brata naszego słońce, które nas ogrzewa, za wiatr, który nas chłodzi, za braci naszych, którzy nas kochają i których my możemy kochać” — oto dewiza św. Franciszka, w której nie ma tragizmu, jest natomiast radość z otaczających nas dóbr Bożych.

Człowiek współczesny ulega również wpływom i układa swój stosunek do świata i ludzi według zataczającego coraz szersze kręgi ruchu socjalistycznego. Zaznacza się to już nie tylko w krajach, gdzie ten ustrój został formalnie zaprowadzony. Ustrój ten ubóstwił pracę i uspołecznił wiele form życia, które dotąd przeżywane były indywidualnie. O współczesnych niebezpieczeństwach życia ludzkiego stosunkowo szeroko mówi encyklika papieża Jana XXIII *Mater et Magistra*. Życie człowieka w tych nowych warunkach w wielu dziedzinach przejęły różne organizacje, najczęściej państwowe, a jednostka nie tyle wypełnia swoje zadania, co zadania odgórnie są jej narzucane. Odgórnie ustalane są warunki pracy i płacy, odgórnie przewiduje się potrzeby człowieka, odgórnie zabezpiecza się go od nędzy, od starości i choroby. Wiele rzeczy, o które przedtem troszczył się pojedynczy człowiek, dziś załatwia odgórny plan i administracja. Masowe środki kultury, z której jednostka może korzystać, ale na którą nie ma prawie żadnego wpływu, narzucona jedność poglądów w wielu dziedzinach — to wszystko powoduje zahamowanie indywidualności człowieka. Tymczasem człowiek musi zbawić sam siebie, nikt za niego tego nie robi. Człowiek sam siebie musi doskonalić. Inni mogą mu w tym pomóc, ale nigdy nie mogą go w tym zastąpić.

Powyższy obraz warunków współczesnego życia jest oczywiście niepełny, ale już on dobitnie wskazuje, że jest dziś miejsce na wcielenie w życie ludzkie katolickich i franciszkańskich zasad. „Jest miejsce” — to mało powiedziane. Jest głęboka potrzeba. Franciszkanizm — gdyby się rozszerzył wśród współczesnego świata — przyczyniłby się do uhumanistycznienia stosunków międzyludzkich. Wcielony w życie franciszkanizm pozwoliłby bardziej dostrzec piękno świata, a przez nie samego Boga, twórcę tego piękna. Łatwiej wówczas można by było stwierdzić, że ludzie w gruncie rzeczy są dobrzy, a jeżeli nawet błędzą, to najczęściej nie ze złej woli, a jeżeli myślą inaczej niż my — to szczerze.

Franciszkanizmu, niestety, coraz bardziej dzisiaj brak w bezpośrednich kontaktach między ludźmi. Ludzie coraz częściej spotykają się na płaszczyźnie urzędowej. Chcesz załatwić jakąś sprawę, spotykasz wówczas nie człowieka, który ma swoje przeżycia, plany, kłopoty, radości, spotykasz urzędnika. On z kolei traktuje ciebie nie jako człowieka ze swoimi osobistymi potrzebami i skłonnościami, ale jako pozycję cyfrową w jego administracji. Administracja zaś może zaspokoić twoje potrzeby materialne, ale nie dotrzeć do człowieka. Człowiek potrzebuje drugiego człowieka, a nie bezosobowej instytucji. Bezosobowe kontakty między ludźmi występują nie tylko w urzędach. Niekiedy najbliżsi sąsiedzi z jednego domu żyją obok siebie w ten sposób. Franciszkanizm stanowi antidotum na te współczesne dolegliwości życia społecznego.

Współcześnie musi ulec również zmianie dawna forma świadczenia jałmużny. Urzeczywistniana ona bywa przez dawanie rzeczy materialnych, najczęściej pieniędzy, z własnych nadmiarów. Do tego często z okazywaniem czynionej łaski. Dziś trzeba to przekształcić na świadczenia osobowe. Taka forma jałmużny będzie bardziej franciszkańska.

Na czym polega ta różnica?

Nierzadko daje się rzeczy już niepotrzebne i ma się spokojne sumienie z dobrze spełnionego uczynku. Ten sposób dawania, zwłaszcza dla ludzi bogatszych, nie jest znowu taki trudny, a niechętni katolicyzmowi wysuwają tu wiele zarzutów. Ta forma niesienia pomocy drugiemu już jednak powoli zanika, a przynajmniej się ogranicza. Dziś wiele krajów nie ma już w ogóle absolutnych nędzarzy, gdyż opiekuje się nimi państwo. Polska jest pod tym względem na etapie przejściowym. Jednakże zawsze i wszędzie będą ludzie cierpiący nędzę, już nie tyle nędzę materialną, co nędzę ludzkiego bytowania. Jest to nędza osamotnienia, nędza długotrwałej choroby, nędza niezdolności do samodzielnego życia, nędza potrzebująca wsparcia moralnego, życzliwej rady, pocieszenia, wyjaśnienia, ciepła ludzkiego serca, pociechy religijnej.

Tu już nie wystarczy zdawkowe dawanie mało nam potrzebnych rzeczy, tu trzeba dawać siebie, swoje własne wartości. Ta forma osobowej jałmużny domaga się ludzi bardziej oddanych miłości bliźniego, bardziej wyrobionych wewnątrznie. Po prostu: to co niesie życie współczesne, wymaga ludzi duchowo większych. Życie współczesne domaga się również oddolnego — od człowieka do człowieka — przenikania wartości religijnych. Autorytet

księży nie jest już dziś tak absolutny, jak był kiedyś. Wielu ludzi nie chodzi do kościoła, nie słucha kazań, księża nie zawsze potrafią sprostać zadaniom katechizacji. Zainteresowanie sprawami religijnymi jest małe. Państwo ogólnie zaspakaja wiele potrzeb ludzkich, ale wśród nich na pewno nie ma potrzeb religijnych.

Jeżeli dekret II Soboru Watykańskiego o apostołstwie świeckich tak bardzo podkreśla współdziałanie wszystkich dla spraw Boga i Kościoła — to chyba w pierwszym rzędzie dotyczy to ludzi w jakiś sposób specjalnie do tego przeznaczonych.

Tercjarz — przez włączenie się do tercjarstwa — sam siebie postawił w pierwszym szeregu wyczulonych na sprawy religijne własne i cudze. Tercjarstwo nie może być instytucją o charakterze wyłącznie dewocyjnym, gdzie odmawia się pewną ilość dodatkowych modlitw i uczęszcza na specjalne uroczystości kościelne. Oczywiście te rzeczy są ważne i nikt rozsądny nie będzie ich lekceważył, ale one nie powinny wyczerpywać całości życia tercjarzkiego.

Każdy, przyłączając się do jakiejś grupy, cele jej powinien uważać za swoje. Tercjarstwo jest komórką w Kościele. Tercjarz jest więc szczególnie uwrażliwiony na potrzeby Kościoła i w miarę swych możliwości — stara się im zaradzić. Sposobów pomocy Kościołowi jest bardzo wiele i nie można ich tu wszystkich wymienić. Wszystkie one muszą być dokonywane z rozważą i roztropnością. Oto przykładowo niektóre z nich:

Pamiętanie o tym, by swoim przykładnym życiem dawać świadectwo Ewangelii i duchowi franciszkańskiemu.

Staranie o wzorowe ustawienie życia w swojej własnej rodzinie, która jest korzeniem i sprawdzianem naszej realizacji nauki Chrystusa.

Zainteresowanie się sprawami własnego kościoła, własnej parafii, oraz współuczestnictwo w jego kłopotach, trudnościach i pracach.

Budzenie i popieranie powołań kapłańskich i zakonnych.

Szerokie stosowanie w praktyce tzw. uczynków miłosiernych co do duszy, a jak zajdzie potrzeba — również co do ciała.

Pamiętanie o katechizacji, o wychowaniu religijnym.

Wymienione tu przykładowo sposoby pracy w Kościele wyraźnie świadczą o tym, że zadanie jest wielkie i domaga się ludzi wielkich. To nie jest zadanie dla ludzi stojących u schyłku swego życia, choć i ci mają i powinni mieć w tym swój udział. Tu trzeba dużo dobrej woli i energii. Tu trzeba ludzi roztropnych i z inicjatywą, a nie malkontentów, którzy tylko u innych zło widzą

i którzy nieustannym narzekaniem chcieliby zmienić świat. I dlatego tercjarstwo jest dla ludzi silnych, wyrobionych wewnątrznie.

Nikt nie może dać tego, czego sam nie posiada. Nie nosząc w sercu Ewangelii ani franciszkańskiego ideału, nie przekażesz go innym. Sam będąc malkontentem, nie wszczepisz nikomu franciszkańskiego optymizmu i entuzjazmu dla spraw Boga i ludzi. Chcesz, by świat i ludzie byli dobrzy, najpierw sam tę dobroć musisz posiadać i rozdawać.

I nie potrzeba tu rozgłosu. Największe bohaterstwo dokonuje się zwykle w ciszy i w skromności. Do takiego bohaterstwa stosuje się ewangeliczna obietnica: błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię.

Trzeci Zakon a czasy współczesne

CZASY, w których przyszło żyć św. Ojcu Franciszkowi były trudne również pod względem moralnym.

Bóg był przez ludzi rozumiany jako surowy sędzia, czyhający by człowieka przyłapać na grzechu i ukarać go za przewinienie. Poszczególne miasta walczyły ze sobą o prymat. Wytwarzał się więc kult przemocy. Ludzie słabi i biedni nie mieli warunków dochodzenia dla siebie sprawiedliwości. Bogaci wzrastali w pychę, ubodzy uważali swój stan za przekleństwo. Mało więc w tym wszystkim było Ewangelii, wiele ludzkiego egoizmu, mało miłości i radości, wiele zepsucia obyczajów.

Taką sytuację usiłował św. Franciszek zmienić i poprawić. Chciał ludzi przybliżyć Bogu i Boga oraz Jego wolę przybliżyć ludziom, pragnął, by w życiu ludzkim było więcej Ewangelii i to Ewangelii prawdziwej, pełnej miłości, radości i prawdy.

Zadanie było więc ogromne. Czy mogła tego dokonać garstka braci, towarzyszy św. Franciszka? Gdyby ich było nawet tysiące, też nie dotarliby wszędzie, a właśnie dotrzeć należałoby wszędzie. Wszyscy ludzie są dziećmi dobrego Boga, całe społeczeństwo domaga się reform. Franciszkańskie ideały są dla wszystkich. Wszystkim świeci przez Boga stworzone słońce, do wszystkich skierowana jest Ewangelia. Człowiek, by coś zrozumieć, by się czymś przejąć, potrzebuje spotkania z drugim człowiekiem. Dlatego św. Franciszek powołał do istnienia III Zakon, by wszyscy, którzy zechcą, mogli wprowadzać w życie franciszkańskie ideały, nie wyrzekając się swego normalnego życia w społeczeństwie i w rodzinie.

Czy idea św. Franciszka jest aktualna dzisiaj?

Sądźmy z całym przekonaniem, że w tym właśnie tkwi genialność św. Franciszka, że podjął on rzecz uniwersalną, aktualną w każdym pokoleniu, również w pokoleniu dzisiejszym. Potwierdzeniem tego jest istnienie w dalszym ciągu zakonów franciszkańskich, mimo tylu rozbić, dyskusji i słabości. Wszystkie rodziny franciszkańskie są najliczniejszą grupą zakonną w Kościele. To samo odnosi się do franciszkańskiego III Zakonu.

Wśród stale aktualnych problemów religijnych, specjalnie pod-

kreślanych przez franciszkanizm, jest właściwe zrozumienie stosunku Boga do człowieka. Rzecz aktualna również i dziś.

Przypatrzmy się temu pokrótce.

Czyż Ojciec nasz, św. Franciszek, nie pomaga nam lepiej dostrzec, że Bóg jest nie tylko, a nawet nie tyle Stwórcą naszym, ile Bratem naszym? Czy nie jest Bratem On, płaczący w żłóbku, płaczący jak każdy inny człowiek? A zniżył się przecież do żłóbka z miłości do człowieka. Czy Chrystus cierpiący i znieważany w czasie drogi na Golgotę nie cierpi i nie jest upokarzany jako jeden z naszych braci? Czy Chrystus cierpliwie czekający na nas w Sakramencie Ołtarza nie jest bratem naszym, pragnącym nie swego, ale naszego dobra?

Takiego widzenia i przeżywania Boga musimy się stale uczyć i do tego wychowywać. Jakież tu wielkie pole do działania dla wszystkich, którym bliska jest idea św. Franciszka. Jak wiele mogą tu zrobić czciciele św. Franciszka!

Dalszym, ciągle aktualnym i specyficznym franciszkańskim aspektem naszego życia religijnego jest dostrzeganie Boga w każdym stworzeniu: w przyrodzie, w bliźnim naszym. Każdy franciszkanin ma oczy szeroko otwarte, serce przygarniające, a taki człowiek łatwo dostrzeże Boga w pięknie i bogactwie przyrody, dostrzeże Boga w bliźnim swoim. Jeżeli ta sprawa jest ciągle aktualna, to jest ona aktualna szczególnie w czasach obecnych. To właśnie nasze pokolenie zamieniło rzeki w cuchnące ścieki, to dziś ucieka człowiek ze wsi do miasta, czyli od przyrody do betonu, dziś szczególnie rozwinął się kult rzeczy przemysłowych, a więc sporządzonych ręką ludzką. Coraz mniej ludzi widzi na co dzień wokół siebie Boga w Jego dziełach. Jakże nam brak dzisiaj teologicznego widzenia świata! A przecież to takie franciszkańskie!

Czy franciszkanizm jest dziś szczególnie potrzebny? Czy dzisiejszy człowiek nosi w sobie więcej nędzy moralnej, niż nasi przodkowie? Porównywanie nie ma tutaj sensu. Każde pokolenie zwykle sądzić, że żyje w najtrudniejszych i w najgorszych czasach. Nędza moralna była zawsze. Ludzie zawsze grzeszyli. Dziś jednak możemy stwierdzić, w znacznie silniejszym stopniu niż kiedykolwiek przedtem, w życiu moralnym całego społeczeństwa dwa szczególnie charakterystyczne przejawy: kwestionowanie zasad moralnych i zakłamanie.

Dawniej grzech nazywał się grzechem i domagał się zadośćuczynienia. Dzisiaj grzech się uniewinnia, winę zaś upatruje się w zbyt surowych nakazach moralnych. Nie winien jest więc czło-

wiek, ale przykazanie Boże. A wytłumaczenie znajdzie się zawsze. Mówi się więc, że człowiek współczesny jest słabszy i bardziej nerwowy, zagoniony jak nigdy przedtem, już nie jest tak odporny psychicznie jak był kiedyś itp.

I tak: jeżeli nie umiemy długo i dobrze się modlić, gdyż myśl i serce nasze krążą gdzie indziej, wówczas dążymy do ustawowego skrócenia modlitw, a nawet ich zniesienia; posty okazują się dla nas zbyt uciążliwe, a więc należy znieść przepisy postne a przynajmniej je złagodzić; ludzie nie chodzą do kościoła, trzeba więc zrewidować warunki nakazujące uczęszczania każdej niedzieli na mszę św., wielu, zbyt wielu, nie umie opanować popędu seksualnego, więc uznaje się, że wina leży w zbyt surowych zakazach krępujących wolność człowieka; niszczy się nienarodzone życie, więc tłumaczy się, że nie ma w tym żadnego zła, gdyż nienarodzony nie jest jeszcze człowiekiem.

Takie nastawienie do problemów moralnych jest szczególnie niebezpieczne. Jest to jak gdyby drugie piętro grzechu. To jest grzech i jego usprawiedliwienie. Tu się już nie mówi o słabości natury ludzkiej, tu się mówi o wadliwości prawa Bożego. Nad tym niebezpieczeństwem musimy czuwać, przed nim innych ostrzegać.

Zło moralne było zawsze. W niektórych sprawach — być może — w dawnych czasach było gorzej niż dziś. Dawniej chyba człowiek był bardziej okrutny, bardziej mściwy, ale zapewne nigdy kłamstwo nie święciło takich tryumfów, jak dziś. Ukrywa się ono dziś pod wielorakimi postaciami. Przyzwyczailiśmy się już do niego. Wszędzie wokół nas pełno hasel o szunnej treści, lecz sprzecznych z rzeczywistością. Statystyki mówią co innego, niż tego doświadczamy na co dzień. Inna jest treść konstytucji państwowej, inna szczegółowych zarządzeń państwowych na niższych szczeblach. Mówi się o rozdziale Kościoła od państwa, a krępuje się Kościół, tworzy się w tym celu Urzędy do Spraw Wyznań. Rozdział jest na papierze, w rzeczywistości go nie ma. Mordowanie nienarodzonych dzieci nazywa się zabiegiem, wymordowanie Żydów w czasie ostatniej wojny przez hitlerowców nazywało się ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej. Prześladowania Kościoła i wiary były zawsze, ale dzisiaj te fakty nazywa się inaczej. Gdy w 1945 r. nastał w Chinach nowy ustrój komunistyczny, wszystkich misjonarzy wypędzono z kraju, ale bynajmniej nie za wiarę, tylko za wymyślone przestępstwa. Preparowano jakieś oskarżenia, najczęściej polityczne, często kryminalne, następnie dawano do wyboru: albo wyjedziesz, albo bę-

dziesz aresztowany. Wielu więc wyjechało, inni poginęli w więzieniach. Zarzutem przeciwko misjonarkom-zakonnicom była często insynuacja uprawiania prostytucji.

Te metody przenikają również do życia indywidualnego. Nasze lenistwo nazywamy słabością i przemęczeniem, nasze zachcianki motywujemy prawem człowieka do wolności, brak wysiłku nazywamy niemożliwością, chęć rozkazywania uzasadniamy prawem godności człowieka.

Oczywiście, przykładów ze współczesnego życia moralnego można podawać znacznie więcej. Tylko ci, którzy nie umieją, czy nie chcą obserwować życia, nie zauważają potrzeby naprawy.

Nieprawdą jest, że obecnie III Zakony straciły swą aktualność. Niekiedy lepiej od ludzi żyjących w Kościele zdali sobie sprawę z tego ci, którzy chcieli, aby działalność Kościoła zamarła. Ostatnie trzydzieścikilka lat naszej historii dobitnie dowodzą czego usiłowano Kościół pozbawić. Wszelka aktywność ludzi tzw. świeckich, w tym trzecich Zakonów, była nie tylko hamowana, ale i uniemożliwiana. Niekiedy synowie tego świata lepiej zdają sobie sprawę z rzeczywistości, niż synowie światłości.

Aktualność III Zakonu dziś bynajmniej nie ustała, może nawet się wzmogła. Właściwie nie tu tkwi samo jądro problemu. Leży ono w rękach ludzi, którzy to zadanie spełniają. Może ono być spełniane lepiej lub gorzej. Każde pokolenie przynosi swe własne problemy, które domagają się rozwiązania. Potrzeba nam tylko ludzi, którzy by chcieli je rozwiązać. To są właśnie owe otwarte drzwi dla III Zakonu.

Czyśmy do tego dorośli? Trzeba nam modlić się i starać się o to, by coraz więcej członków III Zakonu dorosło do tej roli i aby oni w miarę swoich możliwości i umiejętności zdołali się przyczynić do udoskonalenia człowieka i świata. W sobie i w innych.

Prawidłowe wykorzystanie rozumu — praca nad doskonaleniem osobowości tercjarza

BÓG stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje. Nie może oczywiście być mowy o jakimś podobieństwie ciała. Bóg nie ma ciała. Podobieństwa te są natury duchowej.

Spośród różnych przymiotów Bożych, rozumność Boga jest nam stosunkowo łatwo dostępna. Dowiadujemy się o niej z dzieł Bożych. Jakże wspaniale zbudowany jest świat! Jakiegoż rozumnego musiał mieć budowniczego, który to wszystko tak wspaniale urządził!

Rozumność Stwórcy widzimy wszędzie. W każdym szczególe przyrody widzimy ład i harmonię. Każdy organizm biologiczny zadziwia swoją celowością i skomplikowaniem. Rozumnego Stwórcę widzimy również w życiu ludzkim, gdzie np. trudy wychowania połączone są z radością z rozwoju dzieci, gdzie niezaradność dzieci łączy się z posiadaniem oddanych dziecku rodziców. Wielkości i rozumności Boga nie widzą tylko ludzie ślepi, ci którzy nie chcą jej widzieć.

W rozumności jesteśmy do Boga podobni. Jest to wprawdzie tylko podobieństwo, ale mamy udział w tym Bożym przymiocie. I chociaż rozum nasz jest niedoskonały, słaby, chociaż niekiedy się myli, chociaż nie wszystko potrafi zrozumieć, wszystkiego przewidzieć — to jednak przez przymiot swojej rozumności jest człowiek panem świata, zdobywa go, ulepsza. Rozum pozwala człowiekowi poznać Boga, świat i ludzi, czyni człowieka podobnym do Boga.

Ten wielki dar Boga w człowieku nie został udzielony w stopniu doskonałym. Jest w ciągłym rozwoju. Stale trzeba go rozwijać. Nikt z nas nie może powiedzieć, że jest tak mądry, iż nie może być jeszcze mądrzejszy. Nikt nie poznał już Boga i świata tak, aby nie mógł go jeszcze lepiej poznać. Dlatego też z faktu posiadania ludzkiego rozumu wynikają nie tylko przywileje ale i obowiązki.

Po pierwsze rozumu należy używać. To proste stwierdzenie nie jest bezsensowne. Jeszcze dziś — tu i ówdzie — przewija się przekonanie, że poznanie rozumowe osłabia wiarę. Byli — i są — tacy, którzy twierdzą, że wiedza jest niepotrzebna, owszem szkodliwa dla wiary, że jest tylko pychą. Ludzie ci po-

dają przykłady, świadczące o tym, że najgłębszą wiarę posiadają osoby niewykształcone, że najwięcej niewierzących jest wśród uczonych. Niektórzy chcieliby w szeregu tak przekonanych umieścić św. Franciszka, powołując się na jego zdanie z reguły I Zakonu: „niech bracia nie posiadają nauki, nie starają się jej nabywać”.

Tymczasem prawdziwa mądrość nie zagraża wcale wierze, ale ją wzbogaca. Kościół nigdy nie bał się prawdziwie uczonych, nie bał się prawdziwej nauki. Przestrzegał jedynie przed tymi, którym się zdaje, że już są pełni wiedzy.

Św. Franciszek zalecał braciom, by nie ubiegali się o naukę gdyż widział wielu pseudouczonych czy niedouczonych, przy tym pełnych pychy. Z tego faktu wyciągnął wniosek, że wiedza sprzeciwia się pokorze. Takie było zresztą ówczesne powszechne mniemanie. Kiedy jednak w życiu św. Franciszka pojawili się prawdziwie uczeni, jak św. Antoni czy Aleksander z Hales, jego stanowisko uległo zmianie. Wówczas już zgodził się na założenie szkół w zakonie, popierał uczonych. Św. Bonawentura — największy mistyk swego okresu, chyba największy poza św. Franciszkiem człowiek w zakonie, był wielkim uczonym. Historia jego przyjaźni ze św. Tomaszem z Akwinu, jednym z największych uczonych wszechczasów, daje piękne przykłady świętości i pokory u obu wielkich mężów.

Byli bez wątpienia tacy ludzie, którzy pod wpływem wiedzy tracili wiarę, ale byli i tacy, którzy przez wiedzę zdobywali wiarę. A więc nie wiedza jest tu winna, ale sam człowiek.

Prawdziwa wiedza na pewno nie sprzeciwia się pobożności, owszem, wzmaga ją. Człowiek prawdziwie mądry nigdy nie jest pyszny. Wynika to logicznie z samej istoty naszej wiedzy. Ktoś, kto dużo już poznał, wie ile jeszcze rzeczy nie zna, wie że niektórych rzeczy nigdy dogłębnie nie pozna, zna skomplikowanie ludzkiego życia — i to wszystko kształtuje w nim pokorę. Jakże mogą być pyszny, skoro jestem ograniczony. Prawdziwy uczoney jest na tyle mądry, iż wie, że jest ograniczony. Tylko niedouczony nie widzi swego ograniczenia i zdaje mu się, że jest wyższy i lepszy od innych. On jeszcze nie wie, jak mało wie i dlatego jest pyszny. Jeżeli ktoś jest pyszny ze swojej wiedzy to znaczy, że jeszcze niewiele wie. Dlatego też w zakonie franciszkańskim, mimo cytowanego tu zastrzeżenia św. Franciszka zawsze obowiązywały studia, zawsze szanowano uczonych, zawsze ustanawiano władze szkolne. Boimy się półwiedzy, boimy się tych, którym

się zdaje, że już posiadli wiedzę. Oni zwykle są głośni i dlatego opinia publiczna ukształtowała się pod ich wpływem.

Do wiedzy należy dążyć. Tercjarz jednak przede wszystkim będzie pamiętał o wiedzy religijnej. Jej poziom jest dziś na ogół niewystarczający, często oplakany. Minął już dawno okres pasjonowania się przez szerszy ogół treścią dogmatyczną nauki katolickiej. Dziś wielu — może większość — nie zna podstawowych prawd naszej wiary, wielu te sprawy w ogóle nie interesują. Gdy przyjdzie do jakiejś dyskusji na tematy religijne, ze wstydem muszą się wycofać i argumentują nieracjonalnie. Jeżeli taka sytuacja przytrafi się szeregowemu katolikowi — to źle, jeżeli taka sytuacja przytrafi się tercjarzowi — to gorzej, gdyż winien on stanowić awangardę katolicyzmu.

Do obowiązków wiedzy religijnej należy również troska o zdobywanie tej wiedzy przez nasze dzieci. Troska ta jest troską całego Kościoła, a w szczególny sposób należy do tercjarstwa.

Ale Boga znajdujemy nie tylko w prawdach dogmatycznych. Bóg przejawia się wszędzie. Trzeba mieć tylko oczy i rozum otwarte. Trzeba pozwolić Bogu mówić. Człowiek dzisiejszy lubi się chwalić swoimi osiągnięciami, zdobyczami swojego rozumu. Są one współcześnie naprawdę wielkie. Jakże jednak są one małe wobec rozumu samego Boga. Rozważmy takie przykłady. Obecną epokę uważa się za okres podboju kosmosu. Człowiek skonstruował w tym celu niezwykle precyzyjne przyrządy. Wielkość człowieka pozwala mu wyrzucić pojazd poza ziemię. Pojazd ten leci w przybliżeniu z prędkością potrzebującą na przebycie odległości Warszawa—Kraków około jednej minuty. Pociąg pospieszny na przebycie tej samej trasy potrzebuje prawie pół dnia. Jakaż więc nadzwyczajna prędkość takiego sputnika. Ale ten sam sputnik, aby dolecieć swą prędkością na najbliższą gwiazdę potrzebowałby 56 tysięcy lat. Od czasów tragedii na Golgocie nie minęło jeszcze dwa tysiące lat. Ale to odległość do najbliższej gwiazdy, a gwiazd są miliardy i ich odległości przyjmują miliardowe krotności od tej pierwszej. To wszystko stworzył Bóg. On nad tym panuje, On zaprowadził ład, On kontroluje te niezmiernie przestrzenie. Wielki jest ten Bóg. Pozwólcie tylko Bogu mówić!

Człowiek od początku swego istnienia widzi życie. Podziwia je, ale sam — nie potrafi go skonstruować. Ostatnio mówi się już o pierwszych osiągnięciach w wytworzeniu życia. Ale chodzi tu ostatecznie o naśladowanie przyrody i to tylko w najprymitywniejszej formie życia, prostej komórce. Ile wysiłków, jak słabe wyniki mimo znajomości mnóstwa wzorów. Tymczasem przyroda

rozrzutnie obsypuje nas życiem. Żyje trawa, którą deptamy, żyje mucha, która nas denerwuje. Jakżeż wielki musi być ten Bóg, który to wszystko stworzył. Pozwólcie tylko Bogu mówić!

Człowiek zbudował skomplikowane maszyny, ale żadna z nich nie jest tak doskonała, jak organizm biologiczny. A takie władze jak rozum, wola, instynkty nie mają już żadnego porównywalnego odpowiednika w świecie dzieł człowieka. Pozwólcie Bogu mówić!

Z czego rodzi się człowiek? Anatomia czy biologia wskaże tu na pewno mikroskopijne cząstki. Z tych niedostrzegalnych gołym okiem cząsteczek ma powstać człowiek? I to człowiek nie tylko w znaczeniu cielesnym, ale człowiek, który będzie miał swoje indywidualne przeżycia, swój własny charakter, swoje własne przekonania, osobiste upodobania, różny stopień zdolności, swoje odrębne od innych — cnoty i wady. To wszystko już w załączku mieści się w tej cząsteczce? Czy mieściły się w niej cechy dziedziczne charakteru rodziców? Czy w tej cząsteczce mogły się mieścić następstwa tego, że ojciec był pijakiem? A tych cząsteczek jest wiele setek tysięcy, z których tylko pojedyncze osiągają swój cel. Któż potrafił zbudować coś tak doskonałego? Pozwólcie tylko Bogu mówić!

Przykłady podobne można by przytaczać w nieskończoność. Miejcie tylko oczy otwarte, pozwólcie Bogu mówić! Jakże mały jesteś człowiecze w porównaniu z Bogiem!

Rozum pozwala nam to wszystko odkryć. Bądź pochwalony Panie, za ten wielki dar. Ale rozum ludzki ma swoje granice nie tylko w dokonywaniu dzieł czy wynalazków. Jest również ograniczony w poznaniu tego co nas otacza.

Poznanie Boga nie jest łatwe. Nie doświadczamy Go bezpośrednio. Także poznanie świata nie jest wyczerpujące. Nigdy nie będzie tak, że dla rozumu nie będą już istnieć tajemnice. Im więcej rzeczy ludzkość zbadała, tym więcej nowych otwiera się zagadek. Jak trudno nam nieraz zrozumieć siebie i innych ludzi, z którymi obcujemy. Jaką dla każdego myślącego człowieka zagadką stanowi drugi człowiek.

Dlatego nierozumna jest pycha rozumu, który się stawia ponad Bogiem. Skończoność rozumu domaga się jego pokory. I to nasz drugi obowiązek, wynikający z posiadania ludzkiego rozumu.

Rozum ludzki więc ze swojej natury musi być pokorny i to go nie upokarza, gdyż prawda nigdy nie upokarza człowieka,

owszem, wynosi go. Kto się szczyli swoją wielką wiedzą, sam pokazuje jak mało jest rozumny.

Żyjemy w okresie fantastycznego rozwoju techniki. To także dzieło ludzkiego rozumu. Ale to dzieło obejmuje tylko wycinek naszego życia. Dziś u ludzi dominuje mentalność techniczna, a ta odnosi się tylko do wąskiej specjalności. Ten kto umie i zechce się wznieść ponad wycinkowość w życiu, ten dostrzeże Boga. Taki człowiek przeżyje wielkość Stwórcy i dojdzie do przekonania, że nasze bytowanie na ziemi ma jedynie wtedy sens, jeżeli istnieje Bóg i jeżeli jest życie wieczne. Taki dojdzie do przekonania, że człowiek jest kimś wielkim, ale jakże małym w porównaniu z samym Bogiem.

Tęsknota za Bogiem i prawdą oraz ludzka ciekawość będą stale i stale popychać do nowych badań a zarazem dadzą mu przekonanie, iż Bóg jest większy od człowieka a to przeświadczenie ukształtuje pokorę wobec Boga.

Współczesny tercjarz musi być świątły i rozumny, o szerokich horyzontach. Są mu one potrzebne dla własnego życia, własnej doskonałości, dla właściwego apostołstwa. Będzie on chętnie używał rozumu wiedząc, iż jest narzędziem w ręku Boga.

Rozgrywa się sprawa Boża, nie nasza.

Bądźmy jak najbardziej rozumni i pokorni w naszej rozumności. Na tym zyska nasza doskonałość. Takimi chce nas mieć Bóg. I na tym też zyska i sprawa Boża.

Rola uczuć w życiu duchowym tercjarza

CZŁOWIEK w swej psychice jest istotą złożoną. Wśród władz jego duszy wyróżniamy wprawdzie tylko rozum i wolę, ale nie są to władze jedyne, a tylko najważniejsze. Bez istnienia rozumu i woli nie mógłby sobie człowiek zasłużyć na życie wieczne i z własnej winy nie mógłby go utracić. Ale rozum i wola nie występują same. Towarzyszą im zawsze uczucia, wyobrażenia i inne przeżycia wewnętrzne. Nie są one już tak decydujące jak rozum i wola, niemniej są bardzo ważne.

Co to są uczucia? Ile ich jest?

Uczucia są to przeżycia wewnętrzne towarzyszące naszemu postępowaniu i objawiające się na zewnątrz w naszym życiu cielesnym. Ilość ich jest trudna do ustalenia, opinie uczonych nie są tu zgodne, jednak na ogół mówi się o uczuciach agresywnych i pożądawczych. Do najczęściej wymienianych należy uczucie radości, przyjemności, strachu, wstydu, gniewu i zazdrości. Oczywiście jest ich znacznie więcej. Wszystkie one objawiają się na zewnątrz, np. gniew w skurczu twarzy, strach w tzw. gęsiej skórcie na ciele.

W naszym życiu uczucia odgrywają wielką rolę. Silne uczucie gniewu, zwane już wtedy namiętnością, może wyeliminować używanie rozumu. Człowiek działający pod silnym wpływem zazdrości postępuje bezrozumnie, nie widzi drugiego człowieka, jego cech pozytywnych i za wszelką cenę gotów jest mu szkodzić. Może jednak być sytuacja odwrotna: człowiek powodujący się głęboką miłością nie widzi u kochanego żadnych wad.

Wielu pojmujących życie wewnętrzne fałszywie głosiło pogląd, że w życiu w pełni duchowym uczucia nie powinny dochodzić do głosu, że należy się ich pozbyć, aby nie przeszkadzały w osiągnięciu wyższych celów. Nie po to jednak Bóg obdarzył nas uczuciami, byśmy je mieli wrywać z siebie. Byłoby to kalczeniem człowieka. Według planów Bożych uczucia są człowiekowi potrzebne. Nawet te, o których mamy złe wyobrażenie. Uczucia nie są czymś złym. Złych rzeczy Bóg nie stwarza. Uczucie gniewu np. jest potrzebne człowiekowi do atakowania zła, które spotykamy w życiu swoim i w życiu innych. Pan Jezus z gniewem rozpędził sprzedających gołębie w świątyni. Św. Fran-

ciszek z gniewem zaczął burzyć dom, który wybudowali sobie bracia w czasie jego nieobecności, a dom ten sprzeciwiał się jego pojęciu ubóstwa. Strach paralizujący naszą wolę pomaga nam uniknąć zła. Boimy się opinii publicznej, boimy się nieszczęścia i to dopinguje nas do unikania posunięć, które poniżałyby nas w oczach ludzi, czy sprowadziły nieszczęście.

Uczucia pozytywne natomiast pomagają nam do lepszego wykonywania czynu, który w swej istocie jest i tak dobry. Modlitwa odmawiana z przyjemnością jest modlitwą łatwiejszą. Bardziej kochamy człowieka, do którego czujemy sympatię. Dlatego nie mielibyśmy wykorzystać sympatii do wypełniania przykazania miłości bliźniego? Radość z czystego sumienia zachęca nas i pomaga je zachować, a ta przecież jest celem naszego religijnego życia.

Gdyby człowiek nie posiadał uczuć, jego postępowanie byłoby zimne, wyrefinowane, współzycie ludzkie byłoby nieznośne, efekty naszego życia znikome i tylko dla nielicznych dostępne.

Żli więc byliby ci doradcy duchowni, którzy chcieliby usunąć uczucia z naszego życia. Podawane niekiedy przykłady świętych, jako ludzi pozbawionych wad i namiętności są ich zniekształceniem. Aniołowie nie żyją w ludzkich warunkach. Człowiekiem był też i św. Franciszek. Pełnym człowiekiem. Ileż w jego życiu było walki o reformy! Ubóstwo było jego największym ideałem, i nie wahał się dla jego realizacji w dramatyczny sposób wyrzec swojej rodziny. Francesco odrzucający ojcu wszystko co od niego wcześniej dostał — to człowiek nie tylko nie pozbawiony uczuć, ale nawet gwałtowny. Francesco rzucający się między ciernie dla pohamowania swych ludzkich słabości, to nie człowiek wyzuty z ludzkich cech, to nie beznamiętny anioł, ale człowiek z krwi i kości.

Weźmy pod uwagę inny przykład, bliższy nam czasowo, przykład wielkiego naśladowcy św. Franciszka, o. Maksymiliana Kolbego. Był to człowiek pełen uczuć, może nawet namiętności. Ileż włożył on wysiłku, ile stoczył walk dla przeprowadzenia swoich ideałów! Ileż w tym życiu energii, nawet dyskusji z przełożonymi a wszystko po to, aby zrealizować zamierzone dzieło i szerzyć miłość do Niepokalanej i to nie tylko w Polsce. Swe ideały wprowadzał z determinacją, a trudności liczyły się tylko jako element do pokonania.

Katolicka ascetyka nie jest ascetyką hinduskich jogów lub starożytnych stoików, którzy doskonałość osobistą widzieli i widzą w uniezależnieniu się człowieka od uczuć i namiętności.

Uczuć jednak nie wolno przeceniać, gdyż nie są one najważ-

niejsze w naszym życiu duchowym. Są one pomocą. Muszą służyć rozumowi i woli. Inaczej mówiąc, muszą być rozumne i dobre-wolne. Człowiek opanowany silnymi uczuciami czyli namiętnościami, nie jest człowiekiem wartościowym. Człowiek musi kierować uczuciami, a nie uczucia człowiekiem. Oto katolicka asce-tyka.

Jakże przykry jest obraz człowieka nie panującego nad gniewem. Gniew natomiast opanowany pomaga usuwać przeszkody w życiu, a nieopanowany sieje spustoszenie moralne, jest rozsądnikiem grzechu. Wyobraźnia, nad którą ma się kontrolę, pozwala na lepsze rozwiązanie życiowych spraw, wyobraźnia niekontrolowana i nieopanowana czyni z nas ludzi niezdolnych do realnego życia, do skupienia się w ważnych sprawach, dezorganizuje życie duchowe.

Radość modlitwy pomaga nam modlić się, ale szukanie tylko radości w modlitwie sprowadza modlitwę jedynie do przyjemności a modlitwa to przecież kontakt z Bogiem. Ten kontakt jest najważniejszy, a radość może być najwyżej dodatkiem. Modlitwa bez przyjemności będzie i tak modlitwą, natomiast modlitwa dla przyjemności modlenia się może rozminąć się z Bogiem.

Samo uczucie nie jest ani grzechem ani zasługą. Może natomiast doprowadzić albo do grzechu albo stać się zasługą.

We współczesnych czasach przecenia się niejednokrotnie rolę uczuć. We współczesnej prasie często pojawia się np. stwierdzenie, że miłość między dwojgiem ludzi to sprawa uczucia. Takie postawienie sprawy jest fałszywe. Uczucia bowiem są zmienne. To co dziś przyjemne, jutro może być przykre. Opieranie ważnych spraw życiowych na uczuciach jest niebezpieczne. W przypadku miłości dwojga ludzi zwykle prowadzi do szybko zawierane-go małżeństwa, a później często do rozwodu. Miłość to coś więcej niż uczucie.

Szanujmy więc uczucia i pielęgnujmy je, ale nie dajmy się im całkowicie opanować. Trzeba pamiętać, że rozum i wola muszą kierować uczuciami, a nigdy nie powinno być odwrotnie.

Życie duchowe nie jest łatwe. Zapewne łatwiej byłoby usunąć z niego uczucia, niż roztropnie nimi kierować. Łatwiej być człowiekiem beznamiętnym niż panującym nad namiętnościami. A jednak prawdziwie wartościowym człowiekiem jest ten, kto nad nimi panuje.

Jaka byłaby przyszłość Kościoła, gdyby jego członkowie byli ludźmi o nierozwiniętych uczuciach? Przede wszystkim nie nadawali się oni do współżycia z innymi ludźmi i szybko by się od

nich odgradzili. Tworzyliby wówczas świat ponuraków i dziwaków. Jakąż mieliby wówczas szansę szerzenia w świecie Ewangelii, gdyby sami jej nie realizowali. Tylko gwałtownicy zdobywają niebo i ziemię. Jednak nie gwałtownicy niszczący, ale budujący, a tacy muszą być zrównoważeni i rozumni.

Tercjarze żyjąc wśród ludzi dają świadectwo swemu powołaniu na co dzień. Ludzie patrzą na nich, biorą z nich przykład, niekiedy wedle ich świadectwa dają wiarę Ewangelii.

Siła i wartość Kościoła leży w sile i wartości jego członków. Jeżeli tercjarstwo ma być awangardą członków Kościoła, to tercjarze muszą być ludźmi o wielkiej wartości wewnętrznej.

Słyszcy się nieraz głosy, często przesadzone, zarzucające tercjarzom niechlubne postępowanie. Zarzuty te dotyczą często zbyt wnikliwego ingerowania i interesowania się życiem innych. Jest to zresztą wada dość powszechna, może bardziej powszechna wśród tych, którzy dysponują większą ilością czasu wolnego. Nikt nie jest zwolniony od obowiązku pracy nad sobą, nad własnym doskonaleniem się, ci jednak, którzy dysponują większym zasobem wolnego czasu, winni więcej uwagi zwracać na siebie. Mówi się, że warunki współczesnego życia wprowadziły niezwykle pośpiech, niespotykaną dotąd organizację życia ludzkiego, w wyniku czego człowiek nie ma ani czasu, ani chęci do refleksji. Jednak sam fakt wciągnięcia się w szeregi tercjarzy świadczy o tym, że albo nie jesteśmy nadmiernie wciągnięci w tryby codzienności, albo że żywsze jest wśród nas pragnienie pracy wewnętrznej. Tercjarz nie powinien być tylko przeciętną śrubką w zgiełku społecznej maszyny. Opanowanie uczuć jest ważnym elementem w pracy nad sobą. Jeżeli cię ta praca nudzi, jeżeli nie widzisz jej końca, jeżeli dostrzegasz upadki, to zwróć baczniejszą uwagę na łaskę Bożą. Ona wspomaga chętnych, wzmacnia słabych, utwierdza dobrych.

Nigdy nie wolno się zniechęcać. Dopóki żyjemy na świecie jesteśmy w okresie próby. Od tego jak zdamy egzamin z tej próby zależeć będzie wyrok Boży nad nami u progu naszej wieczności.

Aktualność III Zakonu na tle wypowiedzi papieża

JUŻ PRAWIE osiem wieków istnieje III Zakon franciszkański. Jest to bardzo długo, jeżeli się zważy, że zmieniali się w nim ludzie, że często słabła pierwotna gorliwość, że zmieniały się czasy. Przyczyn przetrwania tego wielkiego dzieła św. Franciszka szukać musimy przede wszystkim w samej istocie III Zakonu, w łasce Bożej, która go podtrzymuje. Ale wśród dalszych przyczyn tego zjawiska nie wolno nie wymienić i tej, iż III Zakon poprzez wieki cieszył się poparciem i uznaniem Stolicy Apostolskiej. Wielu papieży w ciągu minionych stuleci wypowiedziało się na jego temat. Można się nawet spotkać z opinią, iż żaden z zakonów w Kościele nie otrzymał tylu słów uznania, nie cieszył się takim zainteresowaniem papieży, jak właśnie III Zakon. Oczywiście, nie tu miejsce, by powtarzać historię stosunku Stolicy Apostolskiej do III Zakonu. Zwróćmy jedynie uwagę na pewne wypowiedzi papieskie na interesujący nas temat z ostatnich lat.

Warta zanotowania na wstępie jest wypowiedź papieża Piusa XII z dnia 1. VII. 1956 r. o zapotrzebowaniu świata na ducha miłości i ubóstwa, pokuty i radości: miłość ta „raduje się z posiadania Boga, raduje się ze wszystkich rzeczy: Bóg mój i wszystko! Tego właśnie ducha franciszkańskiego, tego franciszkańskiego spojrzenia na świat tak bardzo oczekuje ludzkość”. To samo powie, owszem rozszerzy tę ideę, Ojciec św. Jan XXIII przemawiając w dniu 2. VII. 1961 r. do tercjarzy w Bazylice Watykańskiej: „Wszyscy tercjarze powinni nieustannie składać dzięki Bogu za ten wspaniały dar, przez który powołał ich Bóg, by byli koryfeuszami reguły i ducha św. Franciszka po całym świecie. W Trzecim Zakonie franciszkańskim znajduje się święty fundament, podana owa siła i zdolność dokonywania wielkich postępów w życiu duchowym... Przewrotność świata i jakiegokolwiek zaprzeczenie Krzyża Chrystusowego natychmiast wzbudzają w poszczególnych tercjarzach ważne argumenty do podtrzymywania i obrony zasadniczych ideałów chrześcijańskich. Argumenty te to święte ubóstwo, posłuszeństwo, czystość wedle nauki Chrystusa, które oni nie tylko głoszą, ale i życiem ukazują”.

Sobór Watykański II nie mógł pominąć problematyki III Zakonu. Wprawdzie Sobór nie kieruje swej nauki jedynie do czci-

cieli św. Franciszka, ale do całego Kościoła, owszem do całego świata, i dlatego jego posłanie ma uniwersalnego adresata, jednak odnosi się również bezpośrednio do III Zakonu. Warto tu przytoczyć, tytułem przykładu, część nr 11 soborowego dekretu o przystosowanej odnowie życia zakonnego: „profesja w instytutach świeckich konsekruje życie mężczyzn i niewiast, laików i duchownych przebywających w świecie. Dlatego to powinni oni szczególnie się starać o całkowite oddanie się Bogu w miłości doskonałej, a same instytuty winny zachować swój właściwy i szczególny, to znaczy świecki charakter, aby mogły w świecie i jakoby od strony świata pełnić skutecznie i wszędzie apostołstwo, dla którego powstały”. Zresztą Sobór poświęcił specjalny dokument dotyczący apostołstwa świeckich. Nie jest to przecież nic innego, jak to, co o tyle wcześniej zostało postawione przez św. Franciszka jako cel i zadanie III Zakonu. Z bogatej nauki II Soboru Watykańskiego winno się przytoczyć jeszcze krótki ustęp z 33 numeru Konstytucji dogmatycznej o Kościele: „... oprócz apostołatu, który jest zadaniem wszystkich w ogóle chrześcijan, ludzie świeccy mogą być także powoływani do bardziej bezpośredniej współpracy z apostołatem hierarchii...”.

Ojciec św. Paweł VI w 1968 r. powiedział: „Z całą pewnością można stwierdzić, że III Zakon powstał na gruncie autentycznej świętości, głębokiej miłości Boga i bliźniego, wielkiej gorliwości o zbawienie dusz... Przeobfite owoce dobroci i świętości, jakie wydał III Zakon poprzez wieki swego istnienia, miały ogromny wpływ zarówno na rozwój wewnętrznego życia Kościoła, jak i na ożywienie społeczeństwa duchem chrześcijańskim. Program ten jest aktualny także i dziś we współczesnych nam czasach, które pod wieloma względami przypominają czas, gdy powstawało Wasze stowarzyszenie. Istnieje potrzeba takiego samego świadectwa: szczerego, otwartego, radosnego, pokornego i dobrego... Wzywamy Was, abyście ze świętym zapalem w duchu wiary i ofiarności, zajęli swoje miejsce w świecie”.

Ten sam papież w dniu 24. VI. 1967 r. uzna duchowość franciszkańską za „źródło wiecznej katolickiej autentyczności ewangelicznej. Franciszek jest wiecznie aktualny, ponieważ jest prokiem ubóstwa”.

Papież Jan Paweł II, wkrótce po swoim wyborze na Namiestnika Chrystusowego (5. XI. 1978 r.), uda się do grobu św. Franciszka, podkreślając tym swoim aktem, że aktualność św. Franciszka jest ponadczasowa. Papież powie wtedy do czcicieli św. Franciszka: „Bądźcie sługami Jego ludu z radością, gdyż św.

Franciszek chciał, byście byli radosnymi sługami ludzkości, zdolnymi wszędzie zapalać lampę nadziei, ufności, optymizmu". Modląc się przy grobie Patriarchy z Asyżu, Ojciec św. mówił: „wspieraj nas, byśmy objęli trudne sprawy naszej epoki, trudne problemy społeczne, ekonomiczne, polityczne, problemy kultury i cywilizacji współczesnej, wszystkie cierpienia, napięcia, kompleksy, niepokoje. Pomóż nam przełożyć to wszystko na prosty i przynoszący owoc język Ewangelii. Prosi Cię o to, święty synu Kościoła, synu ziemi włoskiej, Papież Jan Paweł II, syn ziemi polskiej i ufa, że go nie odrzucisz, lecz go wspomozesz”.

Wszystkie cytowane tutaj wypowiedzi są jedynie małą próbą tego, co można znaleźć wśród enuncjacji papieskich na interesujący nas temat. Oczywiście, nie mówią one wszystkiego. Gdyby jednak poprzestać tylko na nich, już mamy pewien obraz, który dobitnie świadczy o tym, że franciszkanizm nie przebrzmiał, że jest w dalszym ciągu aktualny. Aktualny i potrzebny. Nawet, jeżeli przyjmiemy, że wyżej podane wypowiedzi papieży są specjalnie wyselekcjonowane, to przecież stwierdzić musimy, że nie ma wypowiedzi, które by mówiły o czymś przeciwnym, które by zaprzeczały potrzebie franciszkanizmu w czasach współczesnych. Współczesna aktualność franciszkanizmu nie jest przez nikogo kwestionowana. Stolica Apostolska podkreśla jego potrzebę. Żywotność współczesna ruchu franciszkańskiego potwierdza tę aktualność.

Natomiast martwić nas może co innego, mianowicie zawsze aktualne pytanie o to czy współczesne życie religijne jest dostatecznie wzmacniane przez ruch franciszkański. III Zakon posiada ponad dwa miliony członków. Jest to liczba wysoka. Czy tej liczbie odpowiada proporcjonalny udział w życiu Kościoła?

Nigdy nie zdołamy wymierzyć wartości modlitwy, ofiary i cierpienia. To się ogromnie liczy w oczach Boga i w zbawczym dziele świata, jest jednakowoż przeważnie niedostępne dla ludzkiej obserwacji. Zostawmy tę sprawę do oceny Panu Bogu, jakkolwiek ufamy, że udział III Zakonu w skali światowej jest tutaj wielki i nieoceniony.

Natomiast, a to można już bardziej zaobserwować, nasuwa się uporczywe pytanie czy dostateczny jest wkład ducha miłości i ofiary, składany przez tak liczne zastępy członków III Zakonu w żywotność religijną katolickiego społeczeństwa. Wiele niedociągnięć tłumaczymy ludzką słabością i ułomnością. Zapewne — ułomność ludzka towarzyszy każdemu człowiekowi, ale ułomno-

ścią często tłumaczymy gnuśność, brak zapału i niechęć do wysiłku.

Ponieważ wiele, najwięcej, zależy od ludzi, tak samo od czci-
cieli św. Franciszka będzie zależało na ile „duch miłości i poku-
ty, ubóstwa i radości” (Pius XII) rozszerzy się w świecie. Będzie
to zależało od nas.

Miłość bliźniego w życiu tercjarza

TEJ NAUKĘ poświęcimy miłości bliźniego w życiu tercjarza, miłości, bez której nie ma w ogóle życia na ziemi, bez której nie ma życia katolickiego, a tym bardziej życia tercjarzkiego, miłości, która stanowi „być albo nie być” naszego Zakonu w narodzie, Kościele, ludzkości, miłości, której poświęcono tyle hymnów, tyle kazań, tyle dzieł, która niestety w umyśle niejednego tercjarza zamiast zajmować główne miejsce, została zepchnięta przez rozmaite nabożeństwa i dewocję do kruchty, miłości, która uległa przeróżnym wypaczeniom.

Niech się nie łudzi tercjarz, iż jest zwolennikiem czy nawet uczniem Chrystusa, jeżeli nie posiada miłości. Niech się nie łudzi, iż jest duchowym dzieckiem św. Franciszka, skoro nie idzie jego drogą, jeżeli nie zabiega na co dzień o dyplom z miłości na jego uniwersytecie. Niech się nie łudzi, że pod wieczór swoich dni i pod wieczór dziejów otrzyma order, jeżeli nie szedł w pierwszej linii bojowej i to pod gradem kul i to pod przewodem swego Ojca na zdobycie lepszego jutra dla swych braci, dla świata. Niech się nie łudzi, że otrzyma nagrodę nieba, jeżeli jego życie nie było godne profesji, dnia poboru do armii miłości, do „Armii Zbawienia”, jeżeli jego życie nie było ustawicznym kopiowaniem miłości Boga, miłości św. Ojca. „Jesteśmy tak wielcy, jak wielka jest nasza miłość” — powiedział św. Bernard. A więc ważny jest ten problem, decydujący o naszej wielkości nie tylko w oczach świata, ale przede wszystkim w oczach Bożych. Wszak „daleko-siężny most miłości Boga sięga brzegu tylko wtedy, gdy się wspiera bezpośrednio na najbliższym filarze, którym jest miłość bliźniego” (Haring). Nic więc dziwnego, że poświęcamy jej szereg nauk, że nieraz jeszcze uderzymy w strunę miłości bliźniego i uczynków miłosiernych co do ciała i duszy.

Ukazała się po wojnie książka poświęcona św. Franciszkowi pt. *Franciszek rozdaje słońce*. Nie można lepiej określić nastawienia św. Ojca i jego duchowych dzieci do świata, do jego tragicznych, bolesnych „znaków czasu”, jak określając je jako rozdawanie słońca. Słońce ogrzewa zziębniętych, goi rany, osusza łzy, składa pocałunek, dotknięciem swego promienia ożywia i rozjaśnia życie, budzi szczęście, nadzieję.

Przed wszystkim słońce ma odwagę widzieć, ma odwagę zaglądnąć w oczy człowieka, nie czyniąc żadnej różnicy. I św. Franciszek, zanim rozpoczął swoją słoneczną służbę światu, popatrzył w oczy człowieka — a „oczy, to człowiek” — aby zobaczyć w nich to, czego tak często świat nie widzi czy widzieć nie chce, aby zobaczyć w nich Boga, Chrystusa, brata, aby zobaczyć w nich wielką godność, ale i wielki ból i tragizm, aby zobaczyć w nich dziecko wybrania, ale i pielgrzyma, który odbywać musi tak ciężką długą drogę, aby zobaczyć jego zdrowie, ale i wielką nieuleczalną chorobę, aby zobaczyć w nich tęsknotę za dotknięciem człowieczej dłoni, za kojącym człowieczym słowem, za dobrocią serca. A widząc to, nie mógł nie udzielić odpowiedzi w formie służby ludziom, która nie przestaje być owym zaglądaniem we wszystkie zakamarki nędzy, owym stałym słonecznym wyszukiwaniem dzieci Bożych, pogonią za „polami diamentowymi”, „gorączką złota” miłości, pocałunkiem składanym na każdym czole i na każdym sercu. Godność człowieka i wielkość jego ziemskiej tragedii nie mogły w jego tkliwym sercu pozostać bez odpowiedzi, bez rezonansu. Teraz już można zrozumieć jego nastawienie do trędowatych, spośród których każdy był mu Chrystusem, z którymi jadał, którym rany z miłością opatrywał. Można zrozumieć jego wielką tęsknotę w godzinę śmierci za tymi dniami, w których służył trędowatym a także i słowa jego testamentu: „Pan dał mi, bratu Franciszkowi, tak rozpocząć pokutę mianowicie, gdy byłem w grzechach, wydawało mi się zbyt przykro patrzeć na trędowatych. I sam Pan wyprowadził mnie między nich i ja okazałem im miłosierdzie. A kiedy od nich odchodziłem, to co zdawało mi się gorzkie, zmieniło się w słodycz duszy i ciała. Po czym niedługo zwlekając porzuciłem świat...”. Tercjarz, pragnąc pod tym względem naśladować swego Ojca, winien patrzeć na każdego człowieka Chrystusowymi oczyma. I wtedy zobaczy, iż człowiek jest dziełem Boga i jego obrazem. Wtedy zobaczy unoszącego się nad nim Ducha Świętego, na jego czole krew Jezusową, a w jego towarzystwie księcia nieba, Anioła Stróża. Wtedy posłyszysz hymn, jaki Psalmista wyśpiewywał na cześć człowieka. „Mało niższym od aniołów uczyniłeś go, chwałą go uwieńczyłeś i godnością, ustanowiłeś go władcą nad wszystkimi Twoimi rąk dziełami. Wszystko mu pod stopy poddałeś” (Ps 8, 5—7). Wtedy dopiero przekona się, że „człowiek” — to brzmi dumnie...”. A patrząc na człowieka Chrystusowymi oczyma zauważy i drugą stronę człowieczego, ziem-

skiego medalu — jego przemijanie, cierpienia, które nie przestają mu towarzyszyć od kolebki do grobu, bo jak mówi Pismo św.: „Wszelkie ciało trwa, a wszelka trawa jak kwiat polny” (Iz 40, 6); wtedy zauważy, iż „człowiek urodzony z niewiasty, żyjąc przez czas krótki, napełniony bywa wielu nędzami” (J 14, 1); wtedy usłyszy żalosne treny i bolesną jeremiadę nad człowieczą nędzą; wtedy — oglądając jedną i drugą stronę człowieczego medalu — zdoła zdobyć się na miłość, współczucie, dobroć, przebaczenie, na największą ofiarę, nawet na ofiarę z życia.

Łatwiej będzie mu nosić „słońce w herbie”, jak to przyrzekł Bogu w dniu profesji; słońce, które wszystko widzi, wszystkich oświeca, wszystkim służy, dla wszystkich się spala...

TERCJARZ DOSTRZEGA „ZNAKI CZASU”

Czegóż nie oglądało słońce od lat towarzyszące naszej matce ziemi i jej dzieciom? Widziało grzeszników i świętych, bogatych i biednych, smutnych i nieszczęśliwych, pobożnych i bluźnierców; widziało kołyski i trumny, pola życia i radości, ale i cmentarze — pola śmierci. I wszystkim rzeczom i zdarzeniom nie skąpiło swej jasności i swego blasku.

Jeżeli słoneczna była droga św. Franciszka, to nie mogło w niej zabraknąć społecznego spojrzenia na życie, na liczne „znaki czasu”, które papież Jan XXIII nazwał „głosem Boga”. Nie mogło zabraknąć rzeczy czy sprawy, której by nie objęło jego spojrzenie, jego dłonie. Nie zamknął się wraz ze swym zakonem „w wieży z kości słoniowej” jakichś wielkich mistycznych przeżyć, zadowolając się własnym Taborem zachwyty, wtedy gdy jego bracia borykali się z ciężarem cierpienia. On włączył się w ich szeregi, by jak oni ciężko pracować, by razem z nimi dźwigać krzyż utrapienia, bo „nic co ludzkie nie było mu obce”. Tercjarz — śladem Ojca — zwraca baczną uwagę na wszystkie „znaki czasu” i to nie tylko te, które dotyczą zbawienia bliźniego ale i jego ziemskiego życia. Jako dziecko swego czasu usłyszy wołanie o chleb ziemski ale i o niebieski. Wprawdzie Chrystus nie przybył, aby zapoczątkować doczesne królestwo dobrobytu, ów „złoty wiek”, jednak okazywał współczucie wszelkiej nędzy, a cuda czynił po to, aby usunąć ze świata zło i przyczynę ludzkich łez. Tercjarz kieruje swe serce, kroki, słowa, swe pióro i czyn tam, gdzie istnieje jakakolwiek potrzeba czy nędza jednostek lub społeczeństwa, tam skąd podnosi się głos prośby czy skargi — czy to będzie głos ks. Wilczewskiego z Indii apelujący o wsparcie dla

umierających z głodu, czy to będzie głos strwożonych biedaków z Wietnamu, czy głos z obszarów Ameryki Południowej, pozabawionych księdza, czy głos pustych kościołów wielkich miast, owej „pustyni krzesel” (Claudel), czy to będzie prośba zebraczki siedzącej pod kościołem, skarga kolegi, łzy żony pijaka, potrzeby rodziny wielodzietnej, nędza debila, zagrożony młody człowiek, starzec samotny, opuszczony chory, grób zarośnięty „nienanego żołnierza Chrystusowego”, jęk duszy czyścicowej... On każdy głos usłyszy z daleka i z bliska, franciszkański radar wyłowi każdy jęk podnoszący się w zakamarkach świata; każde nieszczęście usłyszy franciszkański seismograf. A jeśli będzie wymagała tego miłość i „znaki czasu”, potrafi zrezygnować z dotychczasowej drogi, z tradycji, choć z nimi tak bardzo związało się serce. Zdaje sobie bowiem z tego dobrze sprawę, że aby nawiązać dialog ze współczesnym światem, trzeba nieraz zrezygnować z czcigodnych ale zwietrzałych zasad, ogołocić się ze wszystkiego. Ileż to zewnętrznych wspaniałości Kościoła, przez wzgląd na „znaki czasu”, spłonęło pod wpływem powiewu Ducha Świętego choćby w czasie ostatniego Soboru; ileż nowych form je zastąpiło, a wszystko po to, by zdobyć świat i człowieka. Dziś została tylko jedna szata, jedna broń, jeden front: serce i jego miłość. Miłość w wydaniu Ewangelii, w wydaniu św. Franciszka, którego idea ma dziś szczególne posłannictwo do spełnienia. Dziś wszystkie środki i sposoby apostołskie, sprowadzono do jednego mianownika, do miłości; sięgnięto do istoty chrześcijaństwa, która nie podlega prawu starzenia się, dezaktualizacji. W tej odnowie chrześcijaństwa nie powinno zabraknąć żadnego tercjarza i żadnej trecjarki.

TERCJARZ JEST DOBRY

Dobre jest słońce i godne hymnu, jaki wyśpiewał ku jego chwale nasz Ojciec. O św. Janie Ewangelistcie, umiłowanym uczniu Chrystusa, głosi stara legenda, że jeszcze do dziś słyhać tętno jego serca, skoro przytknie się ucho do kamienia na jego grobie. To tylko legenda. Faktem jest, że i serce naszego Ojca biło i bije do dziś rytmem miłości, współczucia, dobroci w sercach jego dzieci. Bo zwycięska i wieczna jest dobroć. Ona podbija wszystko w niewolę, jak tego dokonała na naszych oczach dobroć papieża Jana XXIII. „Sądzę, że dobrego człowieka otaczają aniołowie, jak rój pszczoł kwitnącą lipę” (Faber). „Jak pochodnie i sztuczne ognie wobec słońca bledną i stają się mało widoczne, tak dobroć serca zaćmiewa i przewyższa umysł i geniusz” (Schopenhauer).

Czyż ta niezwykła popularność, ta wielka liczba artystów pióra, dłuta, ten zastęp nawróconych i świętych jaki nie przestaje otaczać Franciszkową postać w hymnie triumfalnym nie ma źródła w jego wielkiej, słonecznej dobroci? Czyż nie jest to dla nas wzór wskazujący, jakim kluczem mamy otwierać dla ziemi i nieba dusze naszych braci? Trzeba być dobrym dla wszystkich. Nie wolno zapomnieć, że każdy kto kiedykolwiek przytknie ucho do naszego serca, winien — jak umarłe dziecko w zetknięciu z prorokiem Elizeuszem — odżyć, winien odejść radośniejszy i lepszy. Ktokolwiek spotka nas na swej drodze winien widzieć, że spotkał samego dobrego „zbawiającego Chrystusa”; Jego dobre serce, Jego oczy, Jego uszy, Jego dłoń, Jego stopy... „Nieliczona ilość ścieżek prowadzi z serca każdego człowieka ku sercom innych. Każda w danej chwili może stać się potężnym przewodnikiem życia i życia zasadą” (Kraśiński). Bo potężna jest dobroć.

Wyszła niedawno książka-pamiętnik pt. *Ucisk i utrapienie* ks. bpa Kozłowieckiego TJ, w której autor na kilkuset stronach często powtarza: „Ach, jak dobra jest dobroć”! Z chciwością człowieka umierającego z pragnienia chwyta każdą, nawet najmniejszą kropelkę dobroci. Przykłada spragnione wargi do nikłych, a jakże rzeźwiących, jakże mocnych strumyków dobroci ludzkiej, widząc — w morzu bezprawia i zbrodni — szansę ocalenia właśnie tylko w dobroci. Świata, w którym tak często rządzi prawo dzungli, przeciwstawiajcie prawo miłości i dobroci. Sercom, które opanowała choroba zwana znieczulicą, zaaplikujcie swoją wrażliwość, swoje współczucie, swoje łzy. Tak — także i swoje łzy. Wylewał je z miłości Nasz Ojciec... Płakał z płaczącymi aż do wypłakania ocz, byleby przynieść ukojenie cierpiącym. Widzicie, iż „bliźni tak często potrzebuje nie strzępków naszego mienia, ale za to potrzeba mu i gorąco pragnie choć strzępka serca. Albowiem każdy uczynek miłosierny powinien być zaznaczony choć kropelką naszej krwi serdecznej, dopiero wtedy nabiera prawdziwej wartości”. Powiedział ktoś, że „dzisiaj mniej potrzeba duszpaste-rzy, organizatorów, społeczników, mówców, a więcej ofiarników, rozpiętych na krzyżu miłości”. Im więcej się umiera, tym więcej się posiada życia, a zatem więcej się go udziela? (O. Chevrier). „Nikt nie może mieć większej miłości, jak ten, kto życie daje za swych przyjaciół (J 15, 13).

Franciszkowych synów winna szczególniej charakteryzować miłość, ona winna być ich znakiem rozpoznawczym tak, by o każdym tercjarzu w chwili jego śmierci można było powiedzieć: „Przeszedł dobrze czyniąc” (Dz 10, 38).

Miłość sąsiedzka w życiu tercjarza

„A PONAD to wszystko miejsce miłość, która jest węzłem doskonałości” (Kol 3, 14).

Kto czyta uważnie Ewangelię, ten odkryje, że istota życia katolickiego nie polega na czynie zewnętrznym, ale na usposobieniu wewnętrznym, na intencji duszy. Oczywiście, jak dusza przejawia się w działalności zewnętrznej, tak i miłość pobudza do zewnętrznych czynów miłości. Formą, w jakiej m. in. powinna przejawiać się miłość tercjarza do najbliższego otoczenia — do sąsiadów, jest słowo.

Musimy sobie zdać sprawę z tego, że chyba nie było w historii ludzkości okresu, tak bogatego w cierpienie, jak czasy obecne. Schopenhauer nazywał życie „więzieniem pełnym smutku”. Cóż by powiedział, gdyby żył w naszych czasach? Smutek wyrzył swoje rysy na obliczach wielu ludzi. Im bardziej jednak wznoszą się fale smutku i przygnębienia, tym bardziej potrzeba ludzi, którzy nieśliby pociechę cierpiącym i nieszczęśliwym. Czasy współczesne potrzebują ludzi, którzy mieliby w głębi duszy jak najwięcej Bożego pokoju i Bożej radości i słowem pociechy przekazywali dalej swój wewnętrzny pokój. Największym pocieszycielem wszechczasów dla utrapionej ludzkości był i jest Jezus Chrystus. Nie przeszedł nigdy obojętnie koło cierpiącego człowieka, ale kołł jego ból słowem i czynem.

Zapytajmy wdowę z Naim, która — przygnieciona cierpieniem i żalnością — wędrowała w stronę cmentarza, kto przyniósł jej ukojenie i radość w godzinie smutku? Odpowiedziałyby nam, że Chrystusowe słowa — „nie płacz”. Zapytajmy łotra na krzyżu, co takim blaskiem otoczyło ostatnią godzinę jego życia? Odpowie, że było to jedno zapewnienie, zawarte w słowach: „dziś jeszcze będziesz ze Mną w raju”.

Św. Franciszek, największy naśladowca Boskiego Mistrza, starał się nieść wszędzie i wszystkim słowa pociechy. W dzisiejszych czasach to słowo pociechy powinni nieść duchowi synowie i córki św. Franciszka zwłaszcza ci, którzy żyją w świecie, tj. tercjarze. Mają oni wielkie pole do działania wśród najbliższego otoczenia i sąsiadów. Jedno słowo pociechy może zdziałać cuda, może podnieść na duchu człowieka przygnębianego, może wzruszyć do łez,

może wzbudzić radość. A słowo wypowiedziane z miłością, posiada coś z Bożej mocy.

Na wsi była stara kobieta. Nikt nie zwracał na nią uwagi, a mimo to działała prawie cuda. Gdy choroba zakradła się do jakiegoś domu, śpieszyła tam z pomocą dla ciała i dla duszy. Poprawiała choremu poduszkę, delikatnie i czule umiała pogłaskać czoło rozpalone gorączką. Z jej starych oczu wyczytać można było dobroć serca, która dyktowała jej proste, pełne miłości słowa pociechy, tak bardzo kojące największy nawet ból. Najłatwiej może znaleźć słowa pociechy ten, kto sam wiele cierpiał. Była pewna młoda dziewczyna, która od najwcześniejszej młodości wiele chorowała i wczesnie straciła rodziców. Pod ciosami tych cierpień i dolegliwości wyrobiła się na mistrzynię w pocieszaniu innych. Gdy we wsi zachorowała jakaś matka lub dziecko, gdy do jakiegoś domu wtargnęło nieszczęście, ona swym dobrym słowem i dobrym uśmiechem umiała dodać otuchy i odwagi i rozproszyć smutek i przygnębienie. Gdy wychodziła z odwiedzanego domu, pozostawiała na stole jakiś kwiat. Te drobne gesty życzliwości i miłości wносиły radość do ludzkich domów, do których wkradło się nieszczęście.

Pocieszać — znaczy przynosić siłę. Najwięcej sił do niesienia krzyża czerpie człowiek z wiary. Dlatego celem wszystkich wysiłków powinno być zbliżenie człowieka do Boga. We współczesnym, pełnym napięcia nerwowego, a zarazem pełnym smutku, bólu i lez życiu — człowiek Trzeciego Zakonu może zdziałać bardzo wiele wśród najbliższego otoczenia, niosąc proste, ale pełne miłości słowo pociechy, którego dzisiejszy świat jest tak bardzo spragniony.

Inną formą, w jakiej powinna się przejawiać miłość tercjarza do sąsiadów, jest opieka nad ciężko chorymi i opuszczonymi. Żyjemy w rozlicznych powiązaniach z innymi ludźmi. Obok tercjarzy mieszkają sąsiedzi. Dobry sąsiad, jak rodzony brat, jest kimś bliskim i życzliwym. Na sąsiadach ciąży pewne obowiązki w odniesieniu do chorych w sąsiedztwie. Chorych sąsiadów należy od czasu do czasu odwiedzić i pocieszyć w ich cierpieniu. Ciężko jest cierpieć i umierać w zapomnieniu i opuszczeniu przez ludzi. Goryczą napęlniają się serca ludzi, gdy nieraz całymi tygodniami leżą sami i nikt ich nie odwiedzi, nie pomówi z nimi. Chorzy są często załamani cierpieniem, dlatego trzeba wzmacniać ich nadwątlone siły wewnętrzne, ukazywać im wartości cierpienia i krzyża.

Znane jest nazwisko słynnego francuskiego pisarza Jacques

Copeau. Swoje długie życie prowadził bezbożnie, jednak Bóg dał mu wielką łaskę nawrócenia. Leżąc na śmiertelnej pościeli cierpiał bardzo, a cierpiąc modlił się. A modlił się tak: Panie, daj mi długie konanie, chcę długo konać i wiele cierpieć, bo wierzę w Boga i nieśmiertelność duszy.

Wielka będzie zasługa tercjarza przed Bogiem, gdy w sercu chorych i cierpiących będzie umiał wzbudzić już nie ekspiacyjne pragnienie długiego konania, ale przynajmniej pogodzenia się z wolą Bożą i ofiarowania Bogu cierpienia.

Nie wolno zapominać o chorych opuszczonych pod względem religijnym. Nieraz dobre, sąsiedzkie podejście do nich i roztropne wspomnienie o Bogu, wieczności i odpowiedzialności za życie może roztopić zastygłe serce, rozbudzić wygasłą miłość do Stwórcy i doprowadzić do dobrej, chrześcijańskiej śmierci. Zdarza się też, że chorzy nieraz całymi latami nie przystępują do sakramentów św., gdyż rodzina nie dba o to, a nie ma nikogo, kto zająłby się sprowadzeniem kapłana. Tercjarz — mający obok siebie takiego sąsiada — powinien zatroszczyć się, by ten przynajmniej co pewien czas mógł się on wypowiedzieć i przyjąć Chrystusa w Komunii św. Najważniejszą sprawą jest jednak przygotowanie chorego na ostatni moment życia i na śmierć. Ludzie często wołają kapłana do chorego w ostatniej chwili, gdy chory kona, gdy nie może już myśleć, ani zrobić rachunku sumienia i wypowiedzieć się. A zdarza się i tak, że wołają dopiero po śmierci, a czynią to dlatego, by — jak powiadają — chorego nie przestraszyć. Pewien proboszcz przyszedł odwiedzić ciężko chorego parafianina, o którego chorobie dowiedział się zupełnie przypadkowo. Na progu izby, w której leżał chory stanęła córka i nie pozwoliła kapłanowi wejść. — Niech ksiądz nie wchodzi, bo widok księdza przyprawi ojca o śmierć. Lecz ksiądz odrzekł, przecież ojciec pani nie stronił od kościoła, to się nie przestraszy. Na to ona: Gdyby był zdrowy, to by się nie przestraszył, ale teraz będzie się bał, że zaraz umrze. — Tym bardziej więc powinienem wejść, by przygotować go na śmierć — powiada kapłan. — Już ja o tym pomyślę — odpowiada córka — będę czuwać i przyrzekam, że natychmiast zawołam księdza jak ojciec straci przytomność, żeby można było wszystko zrobić, jak należy. Inny wypadek. Wołają mnie do 90-letniej staruszki. Chora jest już w agonii. Trudno mi jest czegoś się od niej dowiedzieć, gdyż nie zdaje sobie sprawy z tego, kto przyszedł do niej. Po wielkich trudnościach, gdy na moment była jakaś przytomniejsza, kazałem jej wzbudzić sobie żal za grzechy. O spowiedzi nie było mowy. Gdy po

zaopatrzeniu zapytałem się córek, dlaczego tak długo zwlekały z przywołaniem księdza odpowiedziały: „mamusia mówiła: chcecie wołać księdza, bym jak najszybciej umarła”. To błędne i zgubne przekonanie, że kapłan przychodzący z ostatnią pociechą niejako dobija chorego, trzeba zwalczać, trzeba uświadamiać wiernym, że jest całkiem odwrotnie. Ileż dobrego w tym zakresie może zdziałać tercjarz-sąsiad. Przecież Pismo św. domaga się wezwania kapłana do chorego. „Choruje kto między wami — niech wezwie kapłanów Kościoła i niechaj się nad nim modlą, pomazując go olejem w Imię Pańskie. A modlitwa płynąca z wiary uzdrowi chorego i ulży mu Pan, a jeśli by był w grzechach, będą mu odpuszczone” (Łk 5, 14—15). Jeśli rodzina zaniedbuje ten obowiązek, tercjarz w delikatny sposób postara się wytłumaczyć choremu, że kapłan swoją posługą nie dobija go, przeciwnie często zdarza się, że po odejściu kapłana chory czuje się lepiej i wraca do zdrowia nawet z wielkiej niemocy. Pogodzenie się z wolą Bożą i uspokojenie wewnętrzne stwarzają u człowieka jakieś dyspozycje wzmacniające siły i uzdalniające organizm do odporności przeciw chorobie. Wiedzą lekarze, że chorzy, u których był kapłan, łatwiej wracają do zdrowia. Przed wojną w Kołomyi pracował lekarz, Żyd, który wołał, by kapłan przed nim odwiedził chorego. Mówił, że zupełnie inaczej leczy się takiego człowieka. To wszystko tercjarz przy odwiedzinach chorego sąsiada może wyjaśnić, a w ten sposób spełni czyn prawdziwej miłości bliźniego. „Miej o nim staranie” — powiedział Samarytanin, powierzając nieszczęśliwego człowieka opiece właściciela gospody. Każdy wierzący, a więc i tercjarz, nie powinien zwłaszcza w takiej chwili, patrzeć obojętnie na los bliźniego.

Podziw budzą w nas wielkie postacie, chluby naszego narodu, a gdy dociekamy przyczyn ich wielkości, to często dostrzegamy, że nie umieli i nie chcieli oni pozostawać obojętnymi na los bliźniego. Królową Jadwigę wzruszył do głębi los braci Litwinów. Nie mogła kierować się własnym szczęściem, pozbawiając przy tym tysiące dusz pogańskich światła wiary, łaski chrztu św., a więc prawdziwego szczęścia dzieci Bożych.

Adama Chmielowskiego — brata Alberta — poruszyła do głębi dola bezdomnych, włóczęgów, wydziedziczonych. Nie zdołał się oprzeć pragnieniu, aby ich otoczyć swoją opieką, aby i oni mogli zakosztować miłości bratnich serc i poczuli się ludźmi stworzonymi na obraz i podobieństwo Boże.

Ojca Beyzyma przejęła do głębi dola trędowatych wyrzuczonych poza nawias życia społecznego. Nie potrafił on powstrzy-

mać w sobie pragnienia poświęcenia się dla nich, oddania im swego życia na wyłączną posługę, aby nie wygasła w nich wiara.

Ojca Kolbego pobudziły do ofiary jęki współwięźnia, ojca pełnego troski o swą liczną rodzinę. O. Maksymilian zginął śmiercią głodową w bunkrze oświęcimskim, by uratować ojca rodziny, a ludzkości wrócił wiarę w dobroć serca ludzkiego.

Wszystkich tych ludzi wzruszył los cierpiącego człowieka, a nadprzyrodzona miłość zachęcała do działania.

Synu i córko św. Franciszka! Nie bądź obojętny na los bliźniego. Miej czułe i współczujące serce. Miej dobre słowo pociechy, gdy twój najbliższy sąsiad ugina się pod ciężarem cierpienia.

Pomóż choremu, pomóż staremu, udziel pomocy sierocie, po-
dejdź do kaleki, bądź wsparciem bliźniemu w każdej potrzebie duszy i ciała. Pamiętaj na słowa św. Pawła Apostoła: „A ponad wszystko miejcie miłość, która jest węzłem doskonałości” (Kol 3, 14).

Ewangelia — Chrystus ewangeliczny źródłem wielkości św. Franciszka i jego naśladowców

1. DOŚWIADCZENIE życiowe poucza nas, że na tej ziemi istnieje podwójna wielkość. Jedną jest ta, którą cenią ludzie. W powszechnym użyciu nawet krąży powiedzenie: „jak cię widzą — tak cię piszą”. Ludzie często oceniają wielkość człowieka tylko po zewnętrznych przejawach. Dlatego też „być wielkim” w oczach ludzi znaczy tyle, co posiadać majątek, mieć dobrze urządzonego dom, urządzić się wygodnie i obfitować we wszystko. To znaczy również znaleźć się w takiej sytuacji i na takim szczeblu hierarchii społecznej, gdzie inni będą się liczyć z człowiekiem i uzależniać od niego swe poczynania — ale znaczy to także mieć w świecie rozgłos i uznanie u ludzi, być powszechnie szanowanym. I chociaż taka wielkość przemija wraz z życiem człowieka, a po śmierci pozostawia mniejsze lub większe ślady, to jednak świat oferując ją człowiekowi, zaspokaja przynajmniej częściowo jego dążenia do wielkości.

Każdy bowiem człowiek z większym lub mniejszym umiarem dąży do zaznaczenia siebie, pragnie być kimś i coś znaczyć, pragnie uznania i szacunku. Wydaje się to czymś naturalnym. Dążenie do wielkości jest jednym z wielu elementów dynamizmu człowieka. Tak jest nie tylko dzisiaj, tak było również i dawniej i w czasach św. Franciszka. Zresztą i on sam nie był wolny od marzeń o własnej wielkości.

Biografowie wspominają, że młody Franciszek jako syn bogatego kupca miał do dyspozycji dużo pieniędzy, i lubił to zaznaczać wobec innych. Rozdawał je lekkomyślnie i bezmyślnie, a uznawano to zwykle za wyraz jego hojności. Nie zabiegając o to, stał się przywódcą młodzieży asyckiej, a czas upływał mu na żartach, zabawach i wszelkiego rodzaju beztróskich, młodzieżowych wybrykach. Prawie do dwudziestego piątego roku życia był „niewolnikiem przepychu i próżności”. W oczach ludzkich były to przejawy jego wielkości, gdyż ludzie „poprawnie przeciętni rzadko zdobywają się na czyn niezwykły, pozostają uwięzieni w swej małoduszności”. Wspomnieć jeszcze należy jego dumne plany rycerskie; w stoczonym bitwie, w odniesionym zwycięstwie widział swą wielkość. Liczył na to, że tam zdobędzie

sławę i rozgłos, a rozśpiewani trubadurzy będą układać poematy o jego bohaterskich czynach.

2. Tymczasem jedna noc, jedno widzenie-sen, wywarły na duszy Franciszka tak potężne wrażenie, iż niezwłocznie zdecydował, że lepiej jest służyć panu, niż słudze, „lepiej jest służyć Bogu, niż człowiekowi”. W tym bowiem czasie „przedwieczny Ojciec na skutek najzupełniej wolnego i tajemniczego zamysłu swej mądrości i dobroci... postanowił wynieść do uczestnictwa w życiu Bożym” sługę swego Franciszka. Skierował do niego strumień swej łaski, zwrócił się do niego wprost przez swe słowo i dar miłości, oczekując jedynie jego odpowiedzi. Bóg postanowił uczynić go powiernikiem swych wyjątkowych planów wobec niego samego i wobec współczesnego mu świata (zresztą nie tylko współczesnego). Zaprosił go Bóg do dialogu, do wzajemnej wymiany przeżyć. Franciszek zrozumiał i docenił wielkość tego wyróżnienia. Być może, ten moment stał się punktem wyjścia dla jego orientacji, stał się jego najwyższym powołaniem życiowym. Dlatego i wówczas, gdy już dokonała się w nim ta wewnętrzna i zewnętrzna przemiana, poczytywał sobie za największy zaszczyt i chlubę „być heroldem Wielkiego Króla”. Stając się głosi-cielem wielkich idei, Franciszek był mocno przekonany, że służba Bogu jest tą prawdziwą wielkością, o którą należy się ubiegać z całym zapalem i gorącością serca.

I w tym mieści się ta druga, nieprzemijająca wielkość człowieka. Nie od razu dokonała się w życiu Franciszka ta przemiana i nie od razu pojął istotę wielkości w oczach Bożych. Powoli, niejako krok po kroku, formowało się jego duchowe oblicze. Można wskazać na wiele wydarzeń, które wydają się przełomowymi w życiu Franciszka, a więc głos Chrystusa z krzyża w kościele św. Damiana, spotkanie z trędowatym, słowa Ewangelii o działalności misyjnej apostołów i rozmowa z kapłanem w dniu św. Macieja 1209 r., odczytanie Ewangelii — jakby rzucanie losu — gdy chodzi o cel i sposób życia jego i pierwszych jego współtowarzyszy. To, co się w nim działo, dokonywało się pod wpływem wyjątkowego natchnienia Bożego. Zresztą Franciszek sam ujął to najdokładniej w testamencie: „mnie bratu Franciszkowi Pan dał tak rozpocząć życie pokuty, gdy byłem w grzechach..., gdy Pan dał mi braci, nikt nie wskazywał mi, co mam czynić, lecz sam Najwyższy objawił mi, że mam żyć według Ewangelii...”. I to jest chyba najbardziej znamieny rys jego całej postawy życiowej: „żyć według Ewangelii”. Natchnienie Boże i Ewangelia stały się odtąd źródłem i fundamentem jego życia

i całej działalności. Dlatego pisząc regułę dla braci, zaraz na początku zaznaczył: „reguła i życie braci mniejszych polega na zachowaniu Ewangelii Pana naszego Jezusa...”, kończąc zaś regułę jeszcze raz mocno podkreślił: „Abyśmy zachowali... świętą Ewangelię...” Biograf Franciszka, Tomasz Celano, dodaje, że „nie był on wcale głuchym słuchaczem Ewangelii, ale wszystko, co usłyszał, starał się dosłownie wprowadzić w czyn”... bez mędrkowania, bez komentarza, bez skreśleń”.

Ewangelia, którą Franciszek uczynił zasadą postępowania, swojego i swoich naśladowców, nie była nigdy dla niego zbiorem suchych przepisów prawa. Dostrzegł w niej żywego Chrystusa, który stał się treścią jego przemyśleń-kontemplacji, a w konsekwencji źródłem jego wielkości.

Wielkość bowiem człowieka mierzy się stopniem „odtworzenia czystości, w jakim... człowiek stał się podobny Bogu jako Jego obraz i podobieństwo (Rodz. 1, 26), a następnie w jakim stopniu człowiek jako odbicie Boga jest podobny do Chrystusa”. Franciszkowi udało się te dwa podobieństwa zrealizować w całej pełni. Dlatego nie wystarczy powiedzieć, że Chrystus był wzorem, który Franciszek starał się naśladować, on po prostu żył życiem Jezusa.

3. Ewangelia, Chrystus Ewangeliczny, stały się dla Franciszka Wiekuistego Słowa sakramentem — znakiem widzialnym niewidzialnej Bożej rzeczywistości, działającej w jego wnętrzu. Działanie ewangeliczne było niejako jego drugą naturą. Wzrastał w zjednoczeniu z Chrystusem, realizował z dnia na dzień coraz pełniej własne człowieczeństwo potęgowane i wzmacniane przez łaskę, która — jak ziarno rzucone na urodzajną ziemię — kiełkowała potajemnie, w skrytości jego sumienia, a wyrażała się w uczynkach szczerą i bujną mocą prawdziwego życia. Chrystus niejako wszedł w całą osobowość Franciszka i przebóstwił ją. Franciszek przyjął Chrystusa i pozwolił Mu kształtować po mistrzowsku żywy posąg najdoskonalszej wielkości — świętość.

Franciszkowa prostota i czystość w traktowaniu wszystkich stworzeń są odblaskiem jego wewnętrznej jedności z Chrystusem i rzetelności w naśladowaniu Go. Jednym z najczęściej spotykanych pojęć, jakie Tomasz Celano stosuje do Franciszka, jest „prostota” — „czysta, święta prostota”. Słowa te roztaczają ciągle w odniesieniu do postępowania i rozmów świętego i jego pierwszych braci tę szczególnie pociągającą i niepowtarzalną atmosferę. Wyrażało się to w całkowitym i bezgranicznym zaufaniu Opatrzności Bożej, w praktykowaniu ubóstwa w całej rozciągłości

i w każdym przejawie codziennych spraw. Nie było żadnego udawania, lecz szczerze i uczciwie realizowanie tego, co przedstawiał sobą ewangeliczny, ukochany Mistrz życia. Wielka prostota i naturalność, które wywierały tak wielkie wrażenie na stykających się z nimi ludźmi, były cnotami Chrystusa. Poza tym Franciszka cechowała wyjątkowa bezinteresowność. Mimo, że był uwielbianym nauczycielem i cudotwórcą, nie zabiegał o żadne korzyści, zyski, czy bogactwa. Sam nie miał gdzie głowy skłonić, żył ubogo i ubogo umarł, a po śmierci pochowano go w cudzym grobie. Wolny był od chciwości, żądzy sławy, unikający poklasku i chwały ludzkiej. We wszystkim, co mówił i czynił uwidaczało się wielkie umiłowanie prawdy, którą tak żarliwie głosił, której tak odważnie bronił i za którą oddał życie.

Innym rysem Chrystusa, na który Franciszek zwrócił szczególną uwagę, był sposób traktowania człowieka i jego spraw. Chrystus szedł do ludzi, obcował z nimi w bezpośrednim codziennym zetknięciu, żył ich życiem, nie były mu obce ani ich radości ani smutki. W stosunku do ludzi był cierpliwy, łagodny i wyrozumiały. Kochał ludzi szczerze i głęboko, z wielką życzliwością i z szacunkiem, dla każdego, choć nie głosił kultu człowieczeństwa.

Najgłębszym jednak nurtem duszy i życia Jezusa był Jego stosunek do Ojca, a wyrażał się on w głębokiej miłości. Tę miłość przejawiał ustawicznie w nauczaniu i zachowaniu się, szczególnie zaś w modlitwie i nieustannym spełnianiu Jego woli.

W ten wzór i przykład Jezusa Franciszek wpatrywał się bezustannie oczyma swojej duszy. Kontemplował go i wprowadzał w praktykę swego życia, upodabniał się do Mistrza w swym działaniu. Dzięki temu stał się niejako drugim Chrystusem; potrafił żyć Jego życiem w najczystszej miłości i najściślejszym zjednoczeniu. Znalazło to nawet zewnętrzne odbicie w łasce stygmatów-ran, które nosił na swym ciele — znaku najwyższej, ofiarnej miłości Boga ku człowiekowi.

W tym realizowaniu wezwania w kierunku „pełnego odbicia w sobie obrazu Boga”, w naśladowaniu Chrystusa leży najwyższy szczyt człowieczeństwa i zarazem źródło wielkości św. Franciszka.

Ewangeliczny sposób życia św. Franciszka *— możliwy dla ludzi współczesnych*

„ZNALAZŁEM człowieka wyjątkowej doskonałości, który postanowił żyć według wskazań Ewangelii i sądzę, że Bóg zesłał go na ten świat, aby odnowił wiarę w moc i świętość Kościoła”. Słowa te znajdujemy w liście napisanym przez kardynała Hugolina w jesieni 1219 r. do papieża Innocentego III. Kardynał Hugolin pisząc o „człowieku wyjątkowej doskonałości” pragnął zwrócić uwagę Innocentego III na osobę Franciszka Bernardone, którego później sam, jako papież Grzegorz IX, ogłosił świętym. Z okazji 800-letniego Jubileuszu narodzin św. Franciszka, w cyklu naszych comiesięcznych rozważań o świętym, zadajemy sobie dzisiaj pytanie: Czy św. Franciszek jest aktualny dla nas? W jaki sposób my, ludzie współczesnej doby, możemy go naśladować?

Całe chrześcijaństwo za czasów św. Franciszka trapił conajmniej potrójny kryzys: a) liczne herezje, b) napór islamu, c) częste i ostre napięcia pomiędzy Kościołem i cesarstwem. Franciszek znał doskonale te sprawy i bolał nad nimi. Zdawał sobie sprawę, że zniwelować te kryzysy może jedynie autentyczna ewangelizacja całego ówczesnego życia, przeprowadzona we wszystkich jego dziedzinach. Dlatego też uczynił wyłom w formie duszpasterzowania Kościoła. Dotychczas księża głosili kazania tylko w kościołach. Św. Franciszek i jego współbracia, choć nie mieli święceń kapłańskich, za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej wyszli poza mury świątyń i głosili Słowo Boże tam, gdzie się dało. Przepowiadali Ewangelię na placach i rynkach dużych miast, na ulicach małych miasteczek, w wioskach, na polanach leśnych, w górach i dolinach, wszędzie gdzie zachodziła tego potrzeba. Poprzez Słowo Boże i przykład własnego życia, byli apostołami miłości do wszelkiego stworzenia, sprawiedliwości dla wszystkich i pokoju dla całego świata. W ten zaś sposób stępiali ostrze napięć wynikające z licznie szerzących się herezji. Zwracając uwagę na Chrystusową naukę, przypominając Jego słowa o tym, że „kto walczy mieczem, ginie od miecza” w ewidentny sposób wpływali na zmianę postawy społeczeństwa chrześcijańskiego, na problem wypraw krzyżowych walczących z islamem, które pochłaniały wiele dóbr materialnych, moralno-kulturalnych, jak i ofiar w ludziach, a wyników pozytywnych nie dawały. Franciszek sam osobiście

udał się do Wielkiego Sultana Alkamila, jedyną zaś jego bronią było serce przepelnione miłością. Wreszcie nawołując do całkowitego ubóstwa, franciszkanie odwracali uwagę od pokusy doczesnego panowania, łagodząc tym samym spory pomiędzy Kościołem i cesarstwem. Taka była postawa św. Franciszka i pierwszych jego współbraci. Ojciec św. Jan Paweł II jeszcze jako metropolita krakowski w 1976 r. na otwarciu Naukowego Sympozjum Franciszkańskiego, z okazji Jubileuszu 750-lecia śmierci św. Franciszka powiedział: „św. Franciszek potrzebny był Kościołowi w XIII wieku, ale potrzebny jest teraz w XX-tym stuleciu. Bo Franciszek jest wciąż aktualny i wciąż potrzebny, ponieważ żył ściśle według Ewangelii i służył według Ewangelii, na podobieństwo Jezusa Chrystusa”. Wiemy również, że u progu swojego pontyfikatu Jan Paweł II udał się do grobu św. Franciszka i znowu zamierza odbyć pielgrzymkę do Asyżu w roku Jubileuszu 800-lecia urodzin św. Franciszka, a wszystko po to, aby powierzyć Kościół i cały świat temu świętemu, który jest i będzie zawsze aktualny dla wszystkich ludzi i po wszystkie czasy.

Sytuacja współczesnego świata i naszego kraju, naszej ojczyzny jest podobna w dużej mierze do sytuacji z czasów św. Franciszka z Asyżu. To Franciszek kiedyś wołał: „Bracia, zacznijmy od nowa służyć Panu, bo nie dotychczas nie uczyniliśmy dobrego”. To wołanie Franciszkowe jest jakby synonimem „odnowy” posoborowej w Kościele i „odnowy” posierpniowej w naszej ojczyźnie. Czyli inaczej mówiąc, wołaniem o powrót do Ewangelii. Innym razem Franciszek polecał swoim braciom: „Misję swoją macie wypełniać podwójnie. Jeżeli uznacie to za wolę Bożą, opowiadajcie Słowo Boże tak, iżby poganie uwierzyli w Boga Wszechmogącego”. Jeżeli nie będzie możliwości przepowiadania Ewangelii, żyjcie tylko, jak chrześcijanie. Ktokolwiek przyszedłby do was, przyjaciel czy wróg, złodziej czy rozbójnik — niech będzie przyjęty łaskawie”.

Znamy wiele pięknych postaci, także wśród Polaków, którzy zastosowali się ściśle do poleceń swojego zakonodawcy. To Brat Albert Chmielowski, wielki apostoł nędzarzy krakowskich, to świętobliwa Aniela Salawa, pokorna służąca krakowska, to błogosławiony Maksymilian Kolbe, dzielący się ostatnią kromką chleba w obozie koncentracyjnym ze współwięźniami, oddający życie za drugiego człowieka, to Teresa Strzembosz, warszawska apostołka miłosierdzia i wiele, wiele innych. My, Polacy współcześni w większości nie mamy bezpośredniego wpływu na wielkie wydarzenia dzisiejszego świata, ale podobnie jak św. Fran-

eiszek, zacznijmy odnowę od siebie od drobnych spraw dnia codziennego. Lepiej poznawszy życie i ducha św. Franciszka, starajmy się w każdej okoliczności zadawać sobie pytanie: jak na moim miejscu, w konkretnej sytuacji, postąpiłby św. Franciszek? Czy stojąc w kolejce po mięso nie zrezygnowałby z kupna całego, należnego przydziału, aby dać możliwość kupna tego mięsa również i innym stojącym za nim w kolejce? Jakby zareagował na oczywiste wykroczenie przeciwko społecznemu współżyciu, gdyby się dowiedział, że ktoś poprzez znajomości zdobywa atrakcyjne towary, aby później nimi handlować? Jaką przyjąłby postawę w zatłoczonym autobusie, słysząc prośbę kierowcy, aby pasażerowie stojący przy drzwiach, przesunęli się o krok do tyłu pustego autobusu, bo inaczej pozostawi na deszczu, na przystanku jeszcze dwie czy też trzy osoby? Co zrobiłby Franciszek patrząc na bezmyślne niszczenie środowiska naturalnego, co powiedziałby na ambicjonalne rozgrywki polityczne, jakby się odniósł do największej herezji naszych czasów — praktycznego materializmu — chęci wzbogacenia się za wszelką cenę?...

Zadawajmy sobie te i podobne pytania, a nasze chrześcijańskie sumienie odpowie nam, jak mamy postąpić. A wówczas, być może, i o nas będzie mógł ktoś powiedzieć: Znalazłem człowieka, który żyje według wskazań Ewangelii.

Życie sakramentalne tercjarza

Drodzy Bracia i Siostry!

W OTACZAJĄCYM nas świecie łatwo spostrzegamy obok innych zjawisk to, co nazywamy życiem. Żyją rośliny, zwierzęta, żyje człowiek. Znamy pewne objawy i czynności związane z życiem jak: rodzenie, rozwój, dojrzewanie i obumieranie. Spośród istot żyjących najdziwniejszym stworzeniem w całym wszechświecie jest człowiek. Jest on postawiony pośrodku wszechświata — pomiędzy światem materii, a światem ducha, widzialnym i niewidzialnym. Ze światem widzialnym styka się przez swe ciało, a ze światem ducha przez swą duszę. Ale świat ducha jest jeszcze światem przyrodzonym, stąd i życie ducha w zasadzie jest również życiem przyrodzonym. Przyrodzony jest świat naszych myśli i jej wzlotów, świat naszych upodobań i naszych uczuć. Przyrodzone więc jest samo w sobie życie umysłu, woli i serca ludzkiego, gdyż wypływa z przyrodzonych źródeł i opiera się na przyrodzonych uzdolnieniach natury ludzkiej. Ale człowiek-stworzenie jest obrazem i podobieństwem Stwórcy, jest Jego obrazem i podobieństwem nie przez swe ciało lecz przez swą duszę. Duch ludzki jest duchem bezcielesnym, nieśmiertelnym, obdarzonym władzą umysłu i wolnej woli — może chcieć i myśleć, poznać, rozumować, postąpić tak lub inaczej. Człowiek, w odróżnieniu od innych stworzeń żyjących na ziemi jest osobą, podmiotem, właścicielem swoich czynów. Może poznawać i dążyć do dobra, prawdy i piękna. Celem człowieka jest posiadanie Najwyższego Dobra — samego Boga. Ponieważ osiągnięcie tego celu przekracza zdolności życia przyrodzonego, dlatego Bóg w nieskończonej dobroci obdarzył człowieka życiem nadprzyrodzonym, które z natury naszej nam się należy. Bóg dzieli się z nami życiem, stajemy się uczestnikami Bożej natury. Już tu na ziemi mamy udział w życiu Bożym, którego pełnię osiągniemy w wieczności, kiedy będziemy oglądać Boga „twarzą w twarz”. Pierwszy człowiek, Adam, bezpośrednio od Boga otrzymał godność dziecka Bożego, którą jednak dobrowolnie utracił. Dopiero Chrystus przez Swoją śmierć na krzyżu wysłużył ją wszystkim ludziom. Święty Jan Ewangelista tak o tym mówi: „...przyszedł do swoich, a swoi Go nie przyjęli. A ilukolwiek Go przyjęło dał im moc, aby się stali synami Bożymi... którzy z Boga się narodzili”. (J 1, 11).

Żyjemy obecnie w tym okresie historii zbawienia, w którym Bóg realizuje swój plan zbawczy i obdarza nas życiem nadprzyrodzonym w Kościele i przez Kościół, a konkretnie przez sakramenty święte. Są to wielkie wydarzenia, w których Bóg spotyka się osobiście z człowiekiem przez Chrystusa, uświęca go i obdarza życiem sakramentalnym. Są one niewyczerpanymi źródłami życia Bożego w nas, bez których utrzymanie, rozwój tego życia nie da się absolutnie pomyśleć. Bo przecież każde życie musi mieć źródła, z których tryska, energię, którą się zasila, środki które je podtrzymują. Życie nadprzyrodzone Kościoła i poszczególnych dusz ma różne przyczyny sprawcze, dalsze i bliższe: Chrystus i Jego święte człowieczeństwo, zasługi Jego Męki i śmierci krzyżowej, Duch Święty mieszkający w Kościele i w duszach, modlitwa i ofiara, ostatecznie łaska — ale ta łaska z otwartego boku Chrystusa, z ostatecznego swego źródła, spływa na cały organizm Kościoła i jego poszczególne członki przez pośrednictwo sakramentów świętych. Sakramenty święte są najważniejszym środkiem do przekazywania nam życia Bożego. To życie Boże o tyle w nas jest i o tyle może się rozwijać, o ile jesteśmy złączeni z Chrystusem, o ile możemy powiedzieć za św. Pawłem i św. Franciszkiem: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. Nie może być życia sakramentalnego tam, gdzie nie ma żywej i aktualnej łączności z Chrystusem i z Kościołem, którego On jest Głową. Zapoczątkowanie życia sakramentalnego dokonało się w nas przez przyjęcie chrztu. Wtedy to zostaliśmy wszczępieni w Chrystusa, w Jego śmierć i Zmartwychwstanie. Wtedy to, jak uczy nas św. Paweł, „razem z Chrystusem umarliśmy i zostaliśmy wzbudzeni do nowego życia”. Mistyczna śmierć i mistyczne Zmartwychwstanie z Chrystusem jest rzeczywistą śmiercią w stosunku do grzechu i rzeczywistym odrodzeniem do życia nadprzyrodzonego. W chrzcie zostaje ukrzyżowany z Chrystusem i umiera stary człowiek, a z nim razem ginie jego ciało grzeszne, jako narzędzie grzechu, z ciałem zaś giną namiętności i pożądlivości. Tak zostaje zniszczone główne siedlisko grzechu i człowiek staje się wolny. Św. Paweł nazywa to również obmyciem z grzechów. Bo istotnie, jak ciało zostaje obmyte wodą, tak dusza w mistyczny sposób zostaje obmyta krwią Chrystusową. Przez zmartwychwstanie z Chrystusem człowiek odradza się duchowo do nowego nadprzyrodzonego życia. Z chrzcielnicy wychodzi nowy człowiek, przyobleczony w nadprzyrodzoną, ożywczą moc Bożą, która rozlewa się w jego duszy, przemienia ją a wraz z nią przemienia całego człowieka, upodabniając go do Zmartwychwstałego Pana.

Każdy chrześcijanin musi pamiętać, że życie Boże, które otrzymał na chrzcie, jest tylko w zarodku i należy dołożyć wszelkich starań, by ten dar Boski w sobie rozwinąć i doprowadzić go do pełnej doskonałości. Życie sakramentalne ma być niejako przedłużeniem chrztu, ma być powtórzeniem Męki Chrystusa, przeżytej z Nim w sposób mistyczny przy chrzcie i powtórzeniem Jego Zmartwychwstania. Tajemnica śmierci i tajemnica życia musi być równocześnie przedmiotem ustawicznego wysiłku chrześcijanina. Dlatego też św. Paweł nie rozłącza ich prawie nigdy, ale śmierć uważa za warunek życia, za drogę dojścia do niego. Musi się więc i na chrześcijaninie dokonywać tajemnica śmierci. Choć już raz umarł grzechowi i jego ciało wraz z namiętnościami zostało ukrzyżowane z Chrystusem, to jednak z powodu grzechu ciało pozostało nadal śmiertelne, ułomne i słabe. Oprócz tego czyha na chrześcijanina świat ze swoimi ponętami i szatan, który ciągle zastawia swe sidła. Dlatego chrześcijanin musi ustawicznie dokonywać w sobie dzieła śmierci. Musi w pierwszym rzędzie umrzeć światu, jego ponętom, przyjemnościom, ambicjom, umrzeć wszystkiemu co nie da się pogodzić z nowym życiem przybranego dziecka Bożego. Tak postępował św. Paweł i św. nasz O. Franciszek: „Świat mnie jest ukrzyżowany, a ja światu”.

Chrześcijanin musi umrzeć również swojemu ciału i jego uczynkom. Nie wolno mu nigdy kierować się pobudkami tylko naturalnymi ani pielęgnować w sobie zepsutej spuścizny po pierwszym Adamie — swego cielesnego „ja”. Ciągłe powinien umierać w nim „stary człowiek” czyli człowiek grzechu.

Głównym zadaniem życia sakramentalnego jest nie śmierć lecz ustawiczny rozwój i przekształcanie się w nowego człowieka na wzór Chrystusowy. Całe życie zewnętrzne ma być objawem wewnętrznej mocy Bożej, tej samej, która Jezusa zbudziła z martwych i przez którą Jezus uwielbiony żyje. Pod działaniem tej mocy życie sakramentalne, które człowiek otrzymał tylko w związku, ma się rozwijać, ma rósć aż dojdzie do stanu dojrzałości. By życie sakramentalne rozwijało się w nas coraz lepiej i przynosiło błogosławione owoce, pogłębiając zarazem naszą więź z Chrystusem i z Kościołem, musimy korzystać godziwie z innych sakramentów. Przez sakramenty „umarłych” człowiek otrzymuje życie nadprzyrodzone, a przez sakramenty „żywych” Chrystus pomnaża w nas to życie, wzmacnia je pogłębia, ubogaca i czyni obfitszym. Wzmacnia i utrwala w nas życie sakramentalne bierzmowanie, sakrament Ducha i Mocy. W sakramencie kapłaństwa i małżeństwa człowiek ochrzczony otrzymuje łaskę do

doskonałego wypełniania specjalnych obowiązków osobistych i społecznych. Przez namaszczenie chorych Chrystus uświęca nasze cierpienia, przyłącza je do swoich cierpień, pomnaża w nas życie sakramentalne oraz przywraca życie duszy, a czasem nawet i ciała.

W życiu naszym najczęściej korzystamy z dwóch sakramentów: z pokuty i Eucharystii. Te dwa sakramenty są prawdziwym chlebem powszednim naszego życia chrześcijańskiego. Sakrament pokuty to spotkanie człowieka z miłosiernym Bogiem w Chrystusie Panu naszym, który przez rozgrzeszenie sakramentalne przebacza nam wszystkie grzechy. Z powrotem odżywa w nas życie sakramentalne, jeśli świadomie zerwaliśmy łączność z Chrystusem i ze wspólnotą braterską jaką jest Kościół. Chrześcijaninowi nie wolno rozpaczać z powodu popełnionych grzechów lecz z wielką skruchą i nadzieją przebaczenia należy przystępować do sakramentu pokuty. Niech nasza częsta spowiedź będzie zawsze wielkim przeżyciem. Przystępujemy do niej z takim nastawieniem jakby to była nasza ostatnia spowiedź.

Źródłem życia sakramentalnego w Kościele jest Eucharystia. Pan Jezus, dając nam swe Ciało i Krew pod sakramentalnymi postaciami chleba i wina, chciał podkreślić znaczenie Eucharystii jako pokarmu duszy, który ma podtrzymywać w nas życie sakramentalne, życie Boże, otrzymane z pełni życia Syna Bożego. W eucharystycznych postaciach mieści się nie tylko cząstka życia Bożego, ale cały Bóg i Jego nieskończona, nigdy nie wyczerpana pełnia życia. Jeśli zaś mieszka w nas Dawca życia, stając się z nami jedno przez miłość, jasne jest, że wnosi w nas pełnię życia Bożego. Wyraża tę prawdę sam Pan Jezus mówiąc: „Kto pożywa ciało moje i pije krew moją, we mnie mieszka a ja w nim” (J 6, 57). Dzięki Eucharystii życie sakramentalne wzrasta w nas, rozwija się i uaktywnia. Jeśli Chrystus mieszka w nas, duszy naszej udziela się Jego energia życia, powodując wzrost miłości, skłaniając do współdziałania z Nim. Eucharystia jest tu na ziemi zadatkami przyszłej chwały. „Kto pożywa Ciało moje i pije moją Krew ma życie wieczne, a ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym”.

Niech nasze rozważanie o życiu sakramentalnym tercjarza spotęguje nasz wysiłek nad pogłębieniem życia nadprzyrodzonego. Odnawiajmy nasze zobowiązania przyjęte w dniu chrztu świętego i bierzmowania, pielęgnujemy w nas ten wielki skarb, jaki otrzymaliśmy od Boga przez częstą spowiedź i codzienną Komunię św. podczas mszy św. Niech nasze życie sakramentalne przyczynia się do większej chwały Bożej i świętości w Kościele.

Powszechne powołanie do świętości

Drodzy Czyciele Świętego Franciszka!

WŚRÓD ludzi świeckich zakorzeniło się przekonanie, że do świętości Pan Bóg powołuje tylko ludzi wybranych, że świętość i życie świeckie nie dadzą się ze sobą pogodzić, a nawet się wykluczają. Tymczasem świętość jest łaską, darem Bożym, którego Bóg udziela wszystkim ludziom w Chrystusie i w Kościele: „w Nim nas wybrał przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. W miłości przeznaczył nas dla siebie, jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa” (Ef 1, 4—5). Powszechne powołanie do świętości ma za swe źródło prawdę, że Chrystus przez swoje Dzieło Zbawcze dokonał odkupienia wszystkich ludzi, oraz że każdy człowiek jest włączony w śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa. W naszej obecnej rzeczywistości Bóg powołuje wszystkich ludzi do świętości w Chrystusie i w Kościele. Podkreśla to mocno Konstytucja soborowa o Kościele: ... „Wszyscy, niezależnie od tego czy należą do hierarchii, czy są przedmiotem jej funkcji pasterskiej są powołani do świętości, zgodnie ze słowami Apostoła: to jest wolą Bożą uświęcenie wasze”. Znakiem zewnętrznym tego powołania jest sakrament chrztu, przez który zostajemy wszczępieni w Chrystusa, a zarazem w wielką Rodzinę Bożą, czyli Kościół, Mistyczne Ciało Chrystusa.

Co stanowi istotę świętości, którą zapoczątkowuje w nas sakrament chrztu?

Dla św. Pawła być ochrzczonym, to być ochrzczonym w Chrystusie, to być zanurzonym w Jego śmierci i zmartwychwstaniu: „czyż nie wiecie, że wszyscy, którzykolwiek ochrzczeni jesteśmy w Chrystusie Jezusie, w śmierci Jego ochrzczeni jesteśmy? Przez chrzest bowiem zostaliśmy razem z Nim pogrzebani w śmierć, aby jak Chrystus zmartwychwstał przez chwałę Ojca, tak i my, byśmy w nowości życia chodzili” (Rz 6, 3—4). Człowiek ochrzczony to człowiek właściwie usprawiedliwiony i święty. Przez chrzest przechodzimy ze stanu grzechu oraz oddalenia i odwrócenia od Boga, od niesprawiedliwości i nieprzyjaźni z Bogiem do stanu sprawiedliwości, bliskości z Bogiem, przyjaźni z Nim, dziecięctwa Bożego. Odpuszczenie grzechów jest rzeczywiste i prawdziwe.

Do istoty świętości należy również wewnętrzne odnowienie człowieka, zrodzonego do nowego życia i wypływające z tego dziecięstwo Boże. Bóg przyjmuje nas za swoje dzieci tak, że do Boga możemy zwracać się mówiąc: Ojciec. „Patrzcie — pisze św. Jan Ewangelista — jaką miłość okazał nam Ojciec, że zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi, i że nimi jesteśmy” (J 3, 1). Świętość, do której Bóg powołuje wszystkich, polega również na uczestnictwie w Bożej naturze. By można było mówić o świętości w znaczeniu chrześcijańskim, niezbędna jest jakaś nowa rzeczywistość od Boga. Bóg sam w jakiś specjalny sposób napełnia nas, mieszka w nas, przekształca i wszczepia w nas swe życie. Człowiek ochrzczony to winna latorośl, która tkwi w winnym szczepie, to jest w Chrystusie, a w winnym szczepie i w latoroślach jest to samo życie. Słowem przez sakrament chrztu, stajemy się uczestnikami życia Bożego — a tym samym świętymi.

W dalszym ciągu naszego rozważania musimy sobie uświadomić, że w powszechnym powołaniu do świętości istnieje również obowiązek osobistego zaangażowania się i współpracy z łaską Bożą. Człowiek, który rozwija się fizycznie i intelektualnie ma obowiązek troszczenia się o rozwój swojego życia nadprzyrodzonego i moralnego. Już Pius XI w encyklice wydanej z okazji trzechsetlecia śmierci św. Franciszka Salezego zwrócił uwagę na to, że obowiązek dążenia do świętości dotyczy wszystkich bez wyjątku. Ten ważny obowiązek przypomina nam również Konstytucja dogmatyczna o Kościele: „Pan Jezus, Boski Nauczyciel i Wzór wszelkiej doskonałości głosił uczniom swoim jakiegokolwiek stanu, wszystkim razem i każdemu z osobna — świętość życia”.

Podstawą i najgłębszą racją dążenia do świętości jest przynależność do Kościoła, który jako Mistyczne Ciało i Oblubienica Chrystusa napełniony jest Duchem Świętym. Duch Święty ożywia Kościół, nieustannie go odnawia i uświęca oraz prowadzi do zjednoczenia z Chrystusem. On też pobudza nas do świętości, abyśmy miłowali Boga ponad wszystko, a wszystkich ludzi tak, jak Chrystus nas umiłował. Skoro Kościół jest święty, również wszyscy jego członkowie powinni być święci. Spoczywa na nas odpowiedzialność nie tylko za świętość osobistą, ale i za świętość całego Kościoła. W wysiłkach dążenia do świętości powinniśmy zawsze wracać do pierwszego ogniwa, to jest do Boga i Chrystusa. Mamy być święci i doskonali na wzór samego Boga. „Bądźcie wy tedy doskonali jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Jako członkowie Mistycznego Ciała Chrystusa w dążeniu do

świętości mamy się upodobnić do samego Chrystusa. On ma być w nas ukształtowany. Świętość nasza byłaby niezrozumiała i nie do osiągnięcia bez udziału w życiu Chrystusa. Wszczepieni w Chrystusa mamy razem z Nim dźwigać krzyż naszego życia, aby zasłużyć na uczestnictwo w Jego chwale. Życie Chrystusa to pełnienie woli Ojca Niebieskiego, to posłuszeństwo aż do śmierci. Motywem tego wyniszczenia aż do oddania życia była miłość do Ojca, do ludzkości, do każdego pojedynczego człowieka. Za Chrystusem ubogim i cierpiącym poszedł św. nasz Ojciec Franciszek. On dosłownie i na serio wziął słowa Chrystusa: „kto chce iść za mną niech się zaprze samego siebie, weźmie krzyż swój i naśladuje mnie” (Mt 8, 3). Nie dlatego opuszczał dom rodzinny, że mu tam było źle. Czekala go przecież kariera. Nie dlatego opuszczał swoich przyjaciół, że nie miał wśród nich powodzenia, ale dlatego, by móc jedynie kochać Boga, a w każdym człowieku, najbardziej nędznym i grzesznym, widzieć swojego brata. Święty Franciszek rozumiał, że istotą naśladowania Chrystusa jest miłość Boga i człowieka, że tylko miłość potrafi uzdrowić nienawiść i niesprawiedliwość społeczną. Tą drogą miłości za Chrystusem poszedł Sobór Watykański II. Tą drogą poszedł Papież Dobroci Jan XXIII i następny Namiestnik Chrystusa Paweł VI. I nasze dążenie do świętości opierajmy na miłości Boga i bliźniego. Podejmijmy wysiłki z pobudek nadprzyrodzonych, z miłości ku Bogu, pamiętając równocześnie, że miłość nasza ma obejmować wszystkich ludzi bez względu na wiek, przekonania czy przynależność narodową. W każdym człowieku, zwłaszcza chorym, biednym i grzesznym mamy widzieć naszego brata. Miłość Boga i bliźniego w duchu Chrystusowym to najlepsza realizacja świętości w naszym codziennym życiu.

Punktem kulminacyjnym powszechnego powołania do świętości i naszej współpracy z łaską Bożą będzie nasze wieczne uczestnictwo w życiu Bożym, wieczna nigdy niekończąca się miłość między Bogiem a nami oraz wzajemna miłość między wszystkimi ludźmi, którzy dostąpią zbawienia w Niebieskim Jeruzalem, o którym pisze św. Jan w księdze Objawienia: „Oto przybytek Boga z ludźmi i zamieszkają wraz z Nim i będą oni Jego ludem, a On będzie Bogiem z nimi”.

Szukanie Chrystusa w Ewangelii przez św. Franciszka

ŚW. FRANCISZKA nazywano drugim Chrystusem. Określenie to jest jak najbardziej słuszne i przekonujące, bo rzeczywiście życie Biedaczyny z Asyżu było przepojone Chrystusem. Zbawiciel był dla niego najwyższym wzorem postępowania. Franciszek tak upodobnił się do Niego, że w dowód najwyższej przyjaźni i miłości Jezus wycisnął na jego ciele stygmaty swych najświętszych ran. Franciszek ustawicznie poszukiwał Chrystusa na kartach Dobrej Nowiny.

Na początku grudnia 1223 roku św. Franciszek spotkał się z Janem Velitą, zamożnym obywatelem w Greccio, i prosił go, by wystarał się on o odpowiednie miejsce w górach, gdzie można by umieścić żłóbek wypełniony sianem, wołu i osła, jak to miało miejsce w stajence betlejemskiej. Pragnął bowiem przynajmniej raz w życiu uświadomić sobie przyjście Zbawiciela na świat, zobaczyć biedę i nędzę, którą Jezus cierpiał z miłości dla nas. W wigilijną noc Greccio zamieniło się w Betlejem. Wierni mieli płonące pochodnie, wokół ołtarza stali bracia zakonni z zapalonymi świecami, na ołtarzu sporządzonym ze żłóbka kapłan odprawiał mszę św., a Boskie Dzieciątko Jezus było obecne pod postaciami chleba i wina. Franciszek jako diakon przemawiał w słowach pełnych słodyczy o narodzeniu się biednego Króla, Jezusa Chrystusa.

Od tego czasu po dzień dzisiejszy, co roku w okresie Bożego Narodzenia umieszcza się na ołtarzach lub w ich pobliżu szopkę, która ma nam uprzytomnić przyjście Syna Bożego na świat.

Św. Franciszek, oddając cześć Chrystusowi Panu, rozważając Jego przyjście na świat, pracę apostolską, życie i śmierć, odkrył w Jezusie starszego brata wielkiej rodziny ludzkiej. Dla niego Jezus Chrystus to nie tylko triumfator, który czynił cuda, zwyciężył grzech, pojednał ludzi z Bogiem, Pan godny chwały i uwielbienia, ale przede wszystkim Bóg, który „przyjął ciało naszego człowieczeństwa i ułomności” i „choć był bogaty ponad wszystko, zechciał jednak z Najświętszą Swą Matką wybrać ubóstwo”.

Swoim nabożeństwem do człowieczeństwa Chrystusa Franciszek sprowadza Go z tronu chwały na ziemię. Chrystus i Jego Matka przestają być dla Franciszka jedynie osobami godnymi czci i uwielbienia, ale jako uczestnicy ludzkiej natury stają się

wzorem do naśladowania, stają się bliżsi człowiekowi borykającemu się z samym sobą i otoczeniem. Ubóstwo Chrystusa Pana i Jego Matki nauczyło Franciszka, że jest to jedyna i najbardziej bezpieczna droga do zbawienia.

Od Chrystusa uczyła się rodzina franciszkańska prawdziwej pokory. Człowiek ubogi nie ma się czym pysnić, przeciwnie, doznaje pogardy, gdyż nie znajduje zrozumienia ubóstwo dobrowolne. Pan Jezus nie uczynił dla siebie żadnego cudu, chociaż był głodny, spragniony, umęczony. Chrystus pogardzany przez własnych rodaków, lekceważony przez uczonych i faryzeuszy, uczył swoją postawą prawdziwej pokory. Franciszek to dostrzegał.

Dlatego też pokora franciszkańska ma na sobie rysy Chrystusa. Franciszek cieszył się, że jest heroldem wielkiego Króla, że Bóg powierzył mu posłannictwo odrodzenia Kościoła Chrystusowego, ale kiedy spotykał na drodze życia przeciwności, pogardę, czy szyderstwa jeszcze bardziej cieszył się, że może w tym naśladować Jezusa Chrystusa. W swoim wykładzie o radości doskonałej mówił bratu Leonowi, że nie w przykładzie świętości i zbudowania, nie w łasce czynienia cudów, w przenikaniu sumień ludzkich, ale w znoszeniu cierpień w zjednoczeniu z cierpiącym Chrystusem tkwi źródło prawdziwej radości.

W 1219 roku Franciszek obchodził uroczystość Bożego Narodzenia w Betlejem, w następnym roku w uroczystość Zwiastowania przebywał w Nazaret, a potem chodził śladami Boskiego Zbawiciela i rozważał w czasie pobytu w Ziemi Świętej poszczególne fakty i wydarzenia z ziemskiego życia Chrystusa Pana. Bóg-Człowiek nauczający rzesze, troszczący się o to, by głodni słuchacze nie ustali w drodze, by nie czuli się jak owce bez pasterza, ocierający łzy z oblicza ubogiej wdowy odprowadzającej syna na miejsce wiecznego spoczynku był dla Franciszka tak bliski, jak jeden spośród synów rodzaju ludzkiego a zarazem wyjątkowy pośrednik u Ojca Niebieskiego.

W 23 rozdziale reguły pochodzącej z 1221 roku Franciszek składa Bogu dziękczynienie takimi słowami: „Dzięki Ci składamy, że jak stworzyłeś nas przez Syna Twojego, tak przez prawdziwą i świętą miłość, którą nas ukochałeś, sprawiłeś, że On prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek narodził się z chwalebnej i błogosławionej, świętej Dziewicy Maryi. Przez Jego Krzyż, Krew i śmierć zechciałeś nas wykupić z niewoli”.

Życie Franciszkowe przekonuje nas, że nie traktował on naśladowania Chrystusa jako jednej z wielu dróg, którymi człowiek zmierzać może do doskonałości. On przyłączył się do Chrystusa a na-

śladowanie Go uznał za konieczność życiową, za jedyną drogę zbawienia. W liście do brata Leona pisał: „Jakikolwiek sposób wydaje ci się lepszy, aby podobać się Panu i iść Jego śladami, postępuj tak z błogosławieństwem Bożym”.

Ubóstwo Chrystusa, Jego posłuszeństwo, duch pokuty, radość życia, wszystko to stanowiło dla Franciszka drogę życia. Nabożeństwo do Chrystusa, uwielbienie Jego człowieczeństwa, przybliżenie Chrystusa ludziom i naśladowanie Chrystusa w Jego życiu i działalności stało się źródłem odrodzenia Kościoła.

Módlmy się słowami św. Franciszka: „... Umiłowanego Syna Twego, Pana naszego Jezusa Chrystusa daj nam dzisiaj: na pamiątkę i dla zrozumienia i uczczenia miłości, którą nas darzył oraz tego co dla nas powiedział, uczynił, wycierpiał”.

Ewangelia w życiu św. Franciszka

KARDYNAŁ Jan de Colonna tak się wyraził o św. Franciszku do papieża Innocentego III: „Znalazłem człowieka wyjątkowej doskonałości, który postanowił żyć według świętej Ewangelii i sądzę, że Bóg zesłał go na ten świat, aby odnowił wiarę w moc i świętość Kościoła”. Kilka lat później piękniejsze świadectwo o św. Franciszku i jego braciach wydał kardynał Jakub z Vitry. O tworzącej się rodzinie franciszkańskiej tak pisał: „Nazywają ich braćmi mniejszymi i muszę przyznać, że są bardzo szanowani przez papieża i kardynałów... pracują nieustannie nad zbawieniem duszy... a łaska Boża dozwoliła im też zebrać obfite żniwo. Żyją podług wzoru pierwszej gminy chrześcijańskiej, o której jest napisane: wszyscy wierni stanowili jedno serce i jedną duszę. Dniem chodzą po miastach i wsiach i łowią dusze, nocą chonią się w miejsca ustronne i oddają się modłom”.

Zanim św. Franciszek i jego pierwsi towarzysze zasłużyli na tak wyjątkowe pochwały długo szukali w odosobnieniu, modlitwie i pokucie właściwej drogi życia. W 1209 roku w uroczystość św. Macieja Apostoła w kapliczce Matki Bożej Anielskiej Franciszek usłyszał słowa Chrystusa uczącego Apostołów, jak mają żyć. Brzmiały one dla niego słodko i pociągająco: „Nie miejcie złota ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych, ani torby na drogę, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski” (Mt 10, 9—10). Franciszek wiedziony Bożym przecuciem zawołał: „To jest czego chcę, to jest czego szukam, to jest, co z całej duszy pragnę czynić”. I wprowadził Ewangelię w życie. Zdjął obuwie, zmienił skórzany pas na powróż, z najlichszego materiału sporządził sobie odzienie. Odtąd Ewangelia stała się normą życia nie tylko Franciszka, lecz również jego towarzyszy.

W regule pochodzącej z 1221 roku św. Franciszek, przy pomocy brata Cezarego ze Spiry, umieścił wielką ilość cytatów Pisma św., zaznaczając na wstępie: „Oto jest życie Ewangelii Jezusa Chrystusa, o którego uznanie i zatwierdzenie prosił brat Franciszek papieża Innocentego”. W pierwszym rozdziale tej reguły znajdujemy takie słowa: „Reguła i życie braci mniejszych polega na tym, aby... zachowywać naukę i naśladować przykład naszego Jezusa Chrystusa”. W rozdziale XII reguły zatwierdzonej przez

papieża Honoriusza III czytamy: „abyśmy ugruntowani w wierze katolickiej, zachowywali ubóstwo i pokorę i świętą Ewangelię Pana naszego Jezusa Chrystusa, jak to stanowczo przyrzekliśmy”.

Franciszek uważał Ewangelię za źródło pierwszej społeczności chrześcijańskiej. Ponieważ Chrystus Pan polecił mu odnowić Kościół, dlatego uważał, że odnowa powinna iść po linii wytyczonej przez Zbawiciela w Ewangelii.

Św. Franciszek i jego współbracia zakonni starali się według nauki Ewangelii urabiać sądy o czynach ludzi i o faktach, tworzyli zasady postępowania, udzielali rad szukającym prawdy i właściwego rozwiązywania nurtujących problemów, tworzyli nowy porządek moralny w społeczeństwie.

Wystarczy pobieżnie zapoznać się z treścią reguł pochodzących z 1221 i 1223 roku, aby się przekonać, że św. Franciszek w oparciu o Ewangelię chciał zapewnić swojemu zakonowi stałość, zobowiązać wszystkich współbraci do doskonałego przestrzegania ubóstwa idąc w ślady Jezusa Chrystusa i Jego Matki Maryi, do szczególniejszego posłuszeństwa władzom zakonnym, ale przede wszystkim władzom kościelnym w osobie papieża i biskupów.

Każdemu, kto zgłaszał się do zakonu, Franciszek powtarzał słowa Ewangelii: „Idź, sprzedaj co masz i rozdaj ubogim, a potem przyjdź i pójdz za mną” (Mr 10, 21). Aby wyraźniej podkreślić, że praktyka ubóstwa w życiu zakonnym ma za cel łatwiejsze osiągnięcie zbawienia powtarzał słowa: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie” (Mt 5, 3).

W oparciu o Ewangelię praktykował i innym zalecał pokorę, zaznaczając iż niewypowiedziany przykład pokory dał nam Jezus Chrystus, który przyjmując ludzkie ciało podjął dobrowolnie mękę na krzyżu. A przecież ten Jezus, Syn Boży, a przez wcielenie nasz starszy brat powiedział: „Kto chce iść za mną niech zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój i naśladuje Mnie” (Mt 16, 26). „Kto się uniża będzie wywyższony” (Mt 23, 12). Z pokorą, zdaniem Franciszka, winna się wiązać prostota życia, gdyż wyraźnie powiedział Boski Zbawiciel: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jako dzieci nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego” (Mt 18, 3).

Szczególny nacisk w życiu zakonnym kładł św. Franciszek na praktykę prawdziwej miłości, gdyż Chrystus Pan polecił ją jako nowe przykazanie i uczynił miłość charakterystycznym znakiem, którym odznaczać się winni Jego uczniowie. „Po tym poznają wszyscy — powiedział Pan Jezus — żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu” (J 13, 35).

Praktyka życia uczy, że miłość karmi się ofiarą. Dlatego Franciszek domagał się od swoich synów duchowych, by codziennie składali Bogu ofiary przez pokutę i umartwienie, dobrowolne cierpienie podejmowane w celu zbawienia dusz nieśmiertelnych. Zawarte na kartach Ewangelii słowa, zapewniające o nagrodzie w przyszłym życiu, czyniły Franciszka i jego współbraci ludźmi radosnymi. Cieszyli się, że przez własne cierpienia upodabniali się do Chrystusa. Tak więc Ewangelia stała się normą życia franciszkańskiego.

Dzisiejszy człowiek pragnie doskonałości ale błędzi szukając wzoru. Franciszkańskie hasło upodobnienia się we wszystkim do Chrystusa poprzez wierne wprowadzenie w życie Ewangelii jest jak najbardziej aktualne, poparte licznymi wskazaniem, zachętami, wyraźną wolą ostatnich papieży, a zwłaszcza Soboru Watykańskiego II.

Człowiek współczesny spragniony jest bardzo prawdziwej miłości, by nie musiał żyć ciągle w zakłamaniu, obłudzie, walkach o stanowisko, ideologię, by wreszcie mógł dostrzec w drugim człowieku kochającego go brata. Franciszkanizm autentyczny zdolny jest to zapewnić współczesnemu człowiekowi. Franciszkański chrystocentryzm prowadzi poprzez miłość cierpiącego Chrystusa do wyrzeczenia się wszystkiego co nie jest Chrystusem, co nie jest Bogiem. Ubóstwo św. Franciszka nie jest protestem i znakiem buntu przeciw posiadającym dobra materialne, ale jest jednym z podstawowych środków do większego umiłowania Boga. A miłość Boga daje człowiekowi poczucie swobody, radości, pogody ducha. Ubóstwo franciszkańskie nie było nigdy przeszkodą w działalności apostołskiej w służbie Kościołowi i poszczególnym narodom, przeciwnie przyczyniało się do duchowego odrodzenia, do właściwego zrozumienia wartości materialnych, do uporządkowania hierarchii dóbr doczesnych i duchowych w życiu wewnętrznym i apostołskim.

Do braci wysyłanych z misją apostołską powiedział św. Franciszek: „Idźcie, ukochani moi, głoscie Ewangelię i oznajmijcie pokój ludziom dobrej woli. Bądźcie cierpliwi wobec przeciwników, odpowiadajcie łagodnie tym, co was zapytywać będą, błogosławcie prześladowcom, a okazujcie wdzięczność tym, co postępować będą z wami niesprawiedliwie lub was obrzucają oszczerstwami i obelgami. Za to wszystko bowiem będzie wielka wasza nagroda w niebie. Nie niepokójcie się tym, że nie posiadacie wiedzy, Duch Boży przez was przemawiać będzie, co umocni słowa w ustach waszych, da im jasność i siłę. Nie wątpcie nigdy, pomiędzy tłu-

mem niedowiarków i niechętnych znajdują się też istoty wierzące a pokorne, co z radością wysłuchają słów waszych i przyjmą je do serc wdzięcznych i kochających Boga — one wam zapłacą za tych, co was odepchną z urąganiem i pogardą”.

Polecenie św. Franciszka spełniają jego duchowi synowie i przekonują się o aktualności idei Franciszkowych w świecie współczesnym, o skuteczności franciszkańskiego apostołstwa i o tym, że duch św. Franciszka jest bardzo bliski współczesnemu człowiekowi szukającemu szacunku, miłości, radości i pokoju.

Tercjarz i jego stosunek do nieba

Drodzy w Chrystusie Panu — Czciciele św. Franciszka!

PAN BÓG w niewyczerpanym miłosierdziu Swoim nie tylko utrzymuje świat w istnieniu, ale również roztacza nad nim czułą opiekę. Wszystko we wszechświecie ma swoje miejsce, swój cel i sens istnienia. Dzięki temu otaczający nas świat wydaje się nam doskonały i pełen harmonii. Własne miejsce, i to najbardziej zaszczytne, ma również człowiek, bo z przeznaczenia Bożego jest królem wszelkiego stworzenia (Rodz. 1, 28). Obdarzony rozumem, wolną wolą, zdolnością poznawania i odczuwania, człowiek kształtuje rzeczywistość ziemską odpowiednio do swoich zdolności, zainteresowań, możliwości — odpowiednio do swoich zapamiętań i przekonań. To spostrzeżenie dotyczy również i nas tu obecnych — członków III Zakonu św. Franciszka. Tercjarz to jeden z tych, którzy kształtują świat wzorując się na Biedaczym z Asyżu.

Żyjąc w świecie i kształtując go, człowiek widzi jak ten świat oparty na tym co materialne i przeniknięty tym co zmysłowe — pociągu ku sobie. Rozum ludzki poszukuje ciągle czegoś nowego, pragnie poznawać i pogłębiać swą wiedzę, pragnie być sobie samowystarczalny. Nastawiony jest nieraz krytycznie wobec tego co przychodzi z zewnątrz, a także wobec tego, co przychodzi z góry, od Boga, i przerasta rzeczywistość ziemską i ludzką możliwość poznania czy realizacji. Ale może jeszcze większy wpływ niż na rozum wywiera świat na ludzką wolę i ludzkie uczucia. To co zmysłowe pociąga człowieka, odrywa go od tego co duchowe, bo „usposobienie człowieka jest złe od młodości” (Rodz. 8, 21). W rezultacie to oddziaływanie burzy wewnętrzną harmonię i pokój, jaki człowiek zyskuje przez ustawiczną pracę nad sobą. Słowem człowiek, który ustawicznie nie czuwa nad sobą i nie rozwija swojego życia wewnętrznego zostaje pochłonięty przez świat. Ludźmi postawionymi wśród świata jesteśmy również i my, ale patrzmy na ten świat inaczej. Widzimy go w świetle ideałów franciszkańskich. Zastanawiając się nad otaczającą nas rzeczywistością, urokiem, pięknem i doskonałością świata, widzimy również znikomość tego wszystkiego, co zmysłowe i ziemskie. Wi-

dzimy, że ten świat jest podtrzymywany w swoim istnieniu przez jakąś moc wyższą, widzimy, że ten świat sam w sobie jest trudno wytłumaczalny. Odczuwamy, że poza nim jest jakaś inna rzeczywistość i moc, od której wszystko zależy. Może niekiedy ogarnia nas z tego powodu niepokój, może nasze serce szarpie rozterka. W tych chwilach niepokoju przychodzi nam na pomoc Pismo św., a także św. Franciszek. Z kart Ewangelii docierają do nas słowa Pana Jezusa, który nam mówi, że poza tym światem i po tym życiu nastanie inne życie, inna rzeczywistość — niebo, pełne radości i szczęścia, które będzie trwało bez końca i granic. Przeznaczone jest ono jednak tylko dla tych, którzy zasłużą sobie, by w dniu sądu ostatecznego usłyszeć słowa Pana Jezusa: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane dla was od założenia świata” (Mt 25, 34). Celem życia naszego jest więc dążenie do osiągnięcia wiecznego życia, przygotowanego nam od wieków przez Boga w niebie. Trudno nam poznać, zrozumieć i wyobrazić sobie to wszystko, co czeka nas po śmierci w wieczności — w niebie. Nie przedstawił nam tego w szczegółach nawet Pan Jezus, chociaż często mówił o królestwie niebieskim i swym Ojcu w niebie. Św. Paweł, nauczając pierwszych chrześcijan, zaznaczył krótko: „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (Kor 2, 9). A św. Jan napisał w Objawieniu: „I otrze Bóg z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już odtąd nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły”. „I rzekł siedzący na tronie: Oto czynię wszystko nowe” (Ap 21, 4—5). Z tych wypowiedzi Pisma św. możemy wnioskować, że w niebie człowiek będzie posiadał taką pełnię dóbr, iż zaspokoją one wszystkie jego pragnienia i dążenia, dając mu całkowite wewnętrzne szczęście i radość. Nade wszystko jednak będziemy świadomi, że posiadamy na zawsze Boga, gwaranta naszego szczęścia, że nie tylko Go nie utracimy, lecz będziemy Go ustawicznie poznawać i miłować, dzięki składając Mu za nieskończoną miłość okazaną w akcie stworzeniu i odkupieniu człowieka. Zastanawiając się nad niebem i naszym Ojcem niebieskim, musimy pamiętać i o tych wypowiedziach Pana Jezusa: „cóż za korzyść odniesie człowiek, choćby wszystek świat zyskał, a na duszy szkodę poniósł? (Mt 16, 26). „Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia” (Mt 7, 14). Dlatego tercjarz nie może zająć biernej postawy wobec tej rzeczywistości jaką jest niebo. Mimo licznych obowiązków i zajęć codziennego życia ro-

dzinnego i społecznego, musi żyć ojczyzną swęj wiecznej przyszłości, musi ją mieć zawsze przed swymi oczyma. Pobyt na ziemi winien stanowić dla niego okres pielgrzymki i czas wyczekiwania na spotkanie z Bogiem — Ojcem i Panem. Postawa tercjarza musi być czynna, dynamiczna, musi wyrażać się ustawicznym dążeniem do nieba. A więc praktycznie, tercjarz musi ciągle usuwać ze swęgo życia nie tylko to co grzeszne, ale i to, co niedoskonałe. Nacisk zaś szczególny położy na kształtowaniu w sobie ducha ubóstwa. Oceniając dobra jakie posiada w świetle ideałów franciszkańskich, odrzuci to wszystko, co może go odwieść od Boga zaś to co dobre — wprzągnie do służby Bożęj.

Nielatwo zdobywać niebo, ale czyż na ziemi w okresie doczesnej pielgrzymki może być inaczej? Czy Pan Jezus, chociaż był Bogiem, nie kroczył bolesną drogą krzyża? My ponadto musimy pamiętać o tym, że przez pokutę i cierpienie, przez ciągłą poprawę życia, zadośćczynimy za grzechy, które tak często popełniamy. Nie lękajmy się iść tą drogą. Pamiętajmy, że utorował nam je sam Pan Jezus. Postępując w ten sposób, wypełnimy tylko połowę naszego programu życiowego, mianowicie zapewnimy sobie „ciasną i wąską” drogę, po której krocząc winniśmy kształtować nasze życie.

Jak należy realizować pozostały program życiowy, wskazuje nam ogólnie Ewangelia św. w słowach: „A jeśli chcesz wejść do życia, zachowaj przykazania” (Mt 19, 17); „Jeśli kto chce być moim uczniem, niech zaprze się siebie samego, niech z każdym dniem bierze swój krzyż na siebie i niech idzie za mną” (Łk 9, 23). Do realizacji tego programu życiowego zobowiązani są wszyscy ludzie — wszyscy uczniowie Jezusa Chrystusa. Ich codzienne prace, życie małżeńskie i rodzinne, a nawet wypoczynek, realizowane w tym duchu, są nie tylko świadectwem Ewangelii i Kościoła lecz przede wszystkim duchowymi ofiarami, miłymi Bogu przez Jezusa Chrystusa. Nas jednakże św. Franciszek przez swój III Zakon zachęca nie tylko do zachowywania przykazań, ale również do praktykowania rad ewangelicznych. Postawa tercjarza wobec nieba — uczy nas św. Franciszek — to również wąska i ciasna, niekiedy stroma i ciernista droga pokuty i umartwienia. Ten duch pokuty jest odmienny od postawy życiowej, jaką chce nam narzucić świat. Duch pokuty w III Zakonie to nie postawa pesymizmu, samoudręczenia czy bezdusznej tresury, rodząca rozgoryczenie i smutek. Przeciwnie, duch pokuty w III Zakonie polega na rezygnacji z tego co niedozwolone, z tego co rodzi zło fizyczne lub moralne, z tego co wyrzą-

dza szkodę człowiekowi. Ten duch pokuty wyzwala z tego co zmysłowe i ubogaca życia duchowe człowieka. Dlatego dla tercjarza, który z całą świadomością podchodzi do swego powołania, jest on źródłem radości i szczęścia, źródłem pokoju już tu na ziemi. Przeżywane w tym duchu nasze akty liturgiczne: ofiara mszy św., sakramenta św., modlitwa — to spotkanie i rozmowa człowieka z Bogiem, naszym najlepszym Ojcem, który oczekuje nas w niebie — napełniają serce pokojem i radością. Przepojeni franciszkańskim duchem pokuty naśladujemy naszego Zbawiciela, który z miłości dla nas stał się człowiekiem. Patrzymy na tę Jego wielką miłość pełną ofiar i poświęceń, posuniętą aż do ofiary krzyżowej. Oddajmy się tej miłości, rozpalajmy nią nasze serce, przebóstwiajmy nasze dusze, rozpalajmy jej żarem nasze otoczenie. Przez to upodobnimy nasze życie osobiste i dusze naszych bliźnich do Jezusa Chrystusa. Już tu na ziemi, u wrót nieba, będziemy stanowili z Nim jedność w Mistycznym Ciele, jedność która w wieczności dojdzie do rozkwitu i wspaniałości.

Drodzy w Chrystusie Panu! W tym franciszkańskim duchu pokuty i miłości mamy poznawać otaczający nas świat, kształtować naszą wolę, przeżywać wszystkie wartości ziemskie. We wszystkim starajmy się widzieć Chrystusa. Nie niszczy i nie zabijamy naszych naturalnych sił i popędów. Skierowujemy je ku właściwym celom i przedmiotom, kształtując naszą osobowość. Tak nastawieni, zdążajmy do nieba. Pamiętajmy przy tym o tych pięknych słowach z błogosławieństwa św. Franciszka: „Wielkieśmy rzeczy przyrzekli, większe nam są przyrzeczone, zachowajmy te, wzdychajmy do tamtych”. To co niesie świat jest krótkotrwałe, przemijające. Za tę znikomą cenę czeka nas nowa, nieprzemijająca rzeczywistość, zaspokajająca nasze pragnienia i dążenia. Zajmując tak ściśle określoną postawę wobec nieba pamiętajmy, że nikt z nas nie stanowi oderwanej jednostki, lecz wszyscy w ramach społeczności dążymy do nieba. I to nie tylko jako członkowie III Zakonu, ale jako członkowie Ludu Bożego, odkupionego męczeńską śmiercią Jezusa Chrystusa. Dlatego starajmy się, by duch franciszkańskiej pokuty i miłości przeniknął nasze serca, byśmy nim przepajali siebie i otaczający nas świat a w ten sposób uformowali w sobie otwartą postawę wobec nieba, gotową na przyjęcie tego Bożego świata i nowej wspaniałej Bożej rzeczywistości.

Nadzieja chrześcijańska w życiu tercjarza — „Bóg mój i wszystko”

NIEKIEDY w momentach zastanowienia się nad sobą przychodzą nam na myśl słowa św. Franciszka z Asyżu: „Bóg mój i wszystko!”. Rozważmy je. Co one znaczą? Wgłębienie się w treść tego zawołania: „Bóg mój i wszystko!” odsalnia przed nami całą pełnię franciszkańskiego oddania się Bogu, zawierzenia się Mu z najpełniejszym zaufaniem. Czujemy w tych słowach całą potęgę nadziei, jaką ten Święty pokładał w Bogu. Czyż to hasło św. Franciszka nie prowadzi nas do porównania jego wielkiej ufności w Bogu z ufnością dziecka do ojca? Straszliwa burza — jak głosi pewne opowiadanie — rozszalała się na morzu. Złowrogie bałwany z potwornym hukiem rzucają płynącym okrętem. Raz po raz okręt na kształt łupinki to zawisa na ścianie spiętrzonych wód, które wynoszą go pod samo czarne niebo, to spada gdzieś głęboko w dół. Bez ustanku dolny pokład zmywają potężne fale. Niskie, czarne niebo co chwila rozjaśniają błyskawice. Po niebie przewalają się potężnym hukiem gromy. Nad okrętem zawisła czarna śmierć. Załoga nawet nie łudzi się, że okręt wyjdzie z tego cało. Naraz ze zgrozą wszyscy dostrzegają, że na górnym pokładzie bawi się beztrosko mały synek kapitana statku. Pędzą co prędzej, by fala nie zmiotła go w odmęty. Ktoś porywa go na ręce. Ktoś znów poprzez upiorny szum krzyczy do niego: Dziecko, co robisz? Teraz się tutaj bawisz? Możesz zginać, utonąć w strasznym morzu. Utonąć? — odpowiada malec — nie, nigdy! Przecież mój ojciec jest kapitanem okrętu i na to nie pozwoli, bym mógł zginać. Przytoczone opowiadanie jest wyrazem dziecięcej ufności, nadziei, iż w obecności ojca nic złego stać się nie może. I taką właśnie ufność, jak ufność tego dziecka, dostrzegamy w powtarzanych często przez św. Franciszka słowach: „Bóg mój i wszystko!”. Ta ufność daleko biegnącym echem powtórzy się w przekazanych przez św. Franciszka słowach: „O, najmilsi Bracia i na wieki błogosławieni Synowie! Słuchajcie mnie, słuchajcie głosu Ojca Waszego”. „Wielkie rzeczy przyrzekaliśmy — większe nam przyrzeczono. Zachowujemy te — wzdychajmy do tamtych. Rozkosz krótka — kara wieczna. Małe cierpienie — chwała nieskończona. Wielu wezwanych — mało wybranych; wszyscy otrzymają zapłatę”.

Z nadzieją w lepszą przyszłość żyła zawsze cała ludzkość. Nadzieja ożywia i dzisiejszych ludzi, którzy muszą przeżywać tak dziwne i trudne sytuacje życiowe. „Wielu współczesnych uwikłanych w tak skomplikowane sytuacje, doznaje trudności w trafnym rozeznaniu odwiecznych wartości i zarazem w należytym godzeniu ich z nowo odkrytymi; stąd gnębi ich niepokój, gdy miotani to nadzieją, to trwogą stawiają sobie pytanie o współczesny bieg spraw” (*Gaudium et spes*).

Dumnie podnosi głowę dzisiejszy człowiek zdobywając powodzenie, zwłaszcza w dziedzinie techniki. Zdaje mu się, że sam wszystko potrafi i dlatego nie umie zdobyć się na ufność w Bogu. A jednak potrzeba nadziei przejawia się wszędzie. Człowiek żyje nadzieją. Rolnik rzuca ziarno i ma nadzieję, że wyrosnie żyto, pszenica, że będzie mąka, będzie chleb. Matka ma nadzieję, iż z dziecka wyrosnie na jej pociechę dobry człowiek. Spotyka ją nieraz rozczarowanie, ale nie traci nadziei. Student lub uczeń odmawia sobie przyjemności i rozrywki, by osiągnąć dyplom, świadectwo i stanowisko. Ma nadzieję, ufa. Przytoczone przykłady mogą wyrażać ufność wobec Boga, mogą też oznaczać zwykłą nadzieję, która nie sięga poza granicę doczesności. Grzechem dzisiejszych czasów jest to, że człowiek nie ufa Bogu, lecz swoim własnym siłom. Wciąż mu się zdaje, że sam wszystko potrafi. Myśl o tym, że sam jest bezsilny, napędza go bunt. Przecież człowiek wszystko może!... Czy wszystko?

Na cmentarzach, obok krzyży wystrzelających w górę i aniołów wskazujących niebo widać złomy nie kolumny, zgasłe pochodnie. To symbole straconej nadziei tych, co w grobach spoczywają i tych, co po nich żałobę noszą. Czy nie ma nadziei? O, jakże ciężkie jest życie bez nadziei! Mówi się, że kto stracił nadzieję, stracił wszystko. Jeżeli w chorym zgaśnie nadzieja wyzdrowienia, gaśnie mu ostatnia szansa ratunku. Jeżeli rozbitek na morzu, zasypany w piwnicy czy w kopalni, ranny na polu bitwy nie ma nadziei, że zostanie odnaleziony, odkopany i uratowany, ogarnia go rozpacz. I odwrotnie, nadzieja potrafi podtrzymać człowieka przytłoczonego cierpieniem, walczącego, umierającego. Nie można człowiekowi już nic więcej zabrać, skoro mu się zabiera nadzieję. Odnosi się to zwłaszcza do nadziei chrześcijańskiej. „Radość i nadzieja, smutek i trwoga ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących, są też radością i nadzieją, smutkiem i trwogą uczniów Chrystusowych; i nie ma nic prawdziwie ludzkiego, co nie miałyby oddźwięku w ich sercu” (*Gaudium et spes*). I nam nie może być to obce. Musimy przede

wszystkim zaufać Bogu. On jest Ojcem naszym, który jest w niebie. Dzieci ufają Ojcu Niebieskiemu. Czy można nie ufać Bogu, który jest tak dobry, że Syna swego dał (Job 3, 16), i który nie pozwoli kusić nas ponad siły (1 Kor 10, 13)?

Jezus chciał, aby stosunek ludzi do Boga opierał się na pełnym zaufaniu. Jakąż ufnością tchnie nauka Pana Jezusa zawarta w szóstym rozdziale Ewangelii św. Mateusza. Znamy dobrze te słowa: „Nie troszczcie się zbyt o swoje życie, o to, co macie jeść i co macie pić, ani o swoje ciało, czym macie je przyrodzić. Starajcie się naprzód o królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane”. (Mt 6, 25, 33).

Z najgłębszym przekonaniem możemy twierdzić, że nadzieja w Bogu jest podporą w życiu człowieka i źródłem jego energii. Doświadczenie uczy, iż żadne dobro ziemskie nie jest trwałe, powodzenie mija, budzi przesyt. Tymczasem pragnienie Boga może zaspokoić serce człowiecze. Takie zaspokojenie daje chrześcijańska ufność. W życiu codziennym pokładajmy ufność w Bogu. Nawet choroba i nieszczęście nie mogą tej ufności osłabić. Przeciwnie, choroba i nieszczęście w życiu dobrych chrześcijan pogłębiają zaufanie do Boga. Spotyka się nieraz wierzących lekarzy, którzy wyraźnie choremu oświadczają: zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ale od Boga zależy zdrowie, życie. Nadzieja jest także źródłem energii w pracy. Człowiek nie pracuje wtedy tylko dla doczesności, ale i dla wieczności ufając, że w ten sposób gromadzi sobie skarby trwające na wieki. Wtedy życie — choć zawsze trudne — przestaje być uciążliwe. Nadzieja chrześcijańska ułatwia również modlitwę. Spróbujmy odebrać ludziom nadzieję, a zobaczymy, co pozostanie z modlitwy. Bez nadziei niepodobniestwem jest modlić się. Jakie znaczenie ma w życiu cnota nadziei, przekonują się ludzie na łożu śmierci. Wielki nasz poeta Juliusz Słowacki wyznawał w ostatnich chwilach życia: „Dotąd przypuszczałem, że Bóg jest sprawiedliwy... dziś ufam, że gdybym mógł ducha mego powierzyć w ręce matki, nie oddałbym go z taką ufnością z jaką dziś oddaję w ręce mego Stwórcy... Najwyższą ziemską miłością kochałem matkę moją, czymże jednak jest to ukochanie wobec miłości Chrystusowej”?? (W ręce Ojca, s. 11).

Wszystkie nasze poczynania i nasze kroki winniśmy wiązać z Bogiem, stawiając na Niego, licząc na Niego. Ufać trzeba Bogu, bo jest dobry; ufać trzeba Bogu, bo jest zawsze wierny. Dobry katolik ufa Bogu i dlatego układa swe życie ziemskie tak, by mógł osiągnąć wiekiście z Nim zjednoczenie.

Św. Franciszek w historii Kościoła i kultury

„Pobożność przydatna jest do
wszystkiego, mając zapewnienie
życia obecnego i tego, które
ma nadejść”
(1 Tym 4, 8).

Z DZIEŁ omawiających wpływ św. Franciszka Serafickiego i jego naśladowców na historię Kościoła i kultury można dziś utworzyć nieprzeciętnych rozmiarów bibliotekę. W krótkim — jak obecnie — rozważaniu można tylko przykładowo wskazać pewne kierunki oddziaływania.

Chesterton, wybitny literat angielski, autor znanej biografii św. Franciszka, nazwał go reformatorem, a franciszkanizm czyli ruch religijno-kulturowy jaki wzbudził przez powołanie do życia trzech zakonów — rewolucją franciszkańską. Franciszkanizm wywołał ogromne skutki międzynarodowe, które jeszcze się nie wyczerpały, i których wszystkie fazy i wszystkie przejawy zasługują na najściślejsze historyczne badanie i najżywsze zajęcie. Powagi historyczne, pozbawione wszelkiej sympatii dla teologii, która leży w osnowie ruchu franciszkańskiego, oddały świadectwo jego potężnym rozmiarom i sympatycznemu zabarwieniu; jedna z tych powag porównała franciszkanizm nawet z nadejściem nowej religii, jakiegoś drugiego chrześcijaństwa; inna oświadczyła, że uratował chrześcijaństwo... Wszyscy ci uczeni w ten sposób uznali za możliwe oddać franciszkanizmowi większe hołdy, niż nawet franciszkanin przyznać mu może. Katolik poprzestanie na słowach: „Ubi Christus ibi Franciscus” — (gdzie Chrystus tam Franciszek). Trafniej i zasadniej inni autorzy widzą w osobie Serafina z Asyżu wielkiego inspiratora, budziela, który dzięki charyzmatycznej intuicji sam w tworach ziemi dostrzega odbłask Stwórcy — Ojca niebieskiego i mocą ekstazy miłości zatapia się w Nim bez reszty, aby później zwracając się ku światu w apostołskim czynie darzyć dusze hojnie tą miłością i pobudzać je do twórczej wzajemności.

„Jeżeli głośno jest w historii kultury średniowiecznej o samym Franciszku, to głośno jest także o takich wielkich Franciszkanach, jak natchniony poeta-teolog mistyczny Bonawentura, jak znakomity kaznodzieja Bernardyn, jak śmiały wizjoner Raj-

mund Lully, jak sławny oksfordzki filozof Roger Bacon. Ale nad nimi wszystkimi jaśnieje Biedaczyna Boży jako większy od nich wszystkich dobroczyńca ludzkości; on, co przed Dantem był wieśczeniem italskim; przed św. Ludwikiem powstał jako trybun (opiekun) ludu; przed obrazami Giotta stał się bohaterem tych scen, które one przedstawiają; przed dramataми duchowymi średnich wieków wniósł potężny pierwiastek dramatyczny w życie religijne swej epoki; przed wielkimi prawodawcami i genialnymi myślicielami socjalnymi wieków późniejszych, sam ubogi i słaby, natchnął nieprzejrzaną rzeszę bogatych i mocarzy do dzieł miłości i dobra społecznego". (R. Dybowski).

TWÓRCA SZKOŁY TEOLOGICZNEJ

Asyski zakonodawca nie przeceniał wiedzy książkowej i często ostrzegał swych synów duchowych przed zbyt natarczywą chęcią gromadzenia książek. Był bowiem przekonany, że przez pokorę raczej i modlitwę człowiek może sobie wysłużyć nadprzyrodzone oświecenie i zbliżyć się do Boga. „Ja sam — mawiał do braci — doznałem pokusy posiadania książek. Lecz Ewangelia dała mi poznać wolę Bożą. W niej znalazłem słowa: wam objawione zostały tajemnice królestwa niebieskiego, zaś innym przedstawione będą jeno w przypowieściach". Wszelako dość licznie zgłaszali się do jego braterskiej wspólnoty mężowie uczeni, wykształceni. Franciszek odnosił się do nich ze szczerym szacunkiem i to samo zalecił braciom w Testamencie. Chętnie też powierzał im najwyższe urzędy w zakonie. Ostatecznie, kiedy brat Antoni w imieniu kardynała Ugolino i braci kapłanów zwrócił się do Franciszka z prośbą o pozwolenie nauczania teologii, otrzymał w odpowiedzi list: „Bratu Antoniemu, mojemu biskupowi, pokłon od jego brata w Chrystusie, Franciszka. Życzę sobie, abyś miał lekcje teologiczne dla braci, pod warunkiem jednak, że te nauki nie będą im przeszkadzały w modlitwie i nie zgaszą w nich ducha pokory i skupienia, jak jest napisane w Regule. Żegnam". Tak powstała pierwsza uczelnia zakonu w Bolonii. Niespełna dziesięć lat później zasłynęły na cały świat franciszkańskie katedry w Paryżu, Oksfordzie, Kolonii, gdzie rozbłysły geniusze tej miary jak Aleksander z Hales — doktor niezwalczony, św. Bonawentura — doktor seraficki, Roger Bacon — doktor zdumiewający, William Ockham — doktor niepokonany i współzawodnik św. Tomasza, Duns Scot — doktor subtelny, który opracował teologiczny fundament nauki o Niepokalanym Poczęciu N. Maryi Panny. Mariologia obok chrystologii, teologii życia duchowego, liturgii i ho-

miletyki to zasadnicza problematyka franciszkańskich mistrzów teologii. Św. Bonawentura seraficką miłość ku Bogu, jaką tętniła dusza św. Franciszka zdołał genialnie wykorzystać w teologicznej analizie najwznioślejszych tajemnic wiary, tajemnicy Trójcy św. i aktu stwórczego, a Franciszkową miłość przyrody ujął jako teologiczno-filozoficzny system zwany egzemplaryzmem.

W drodze powrotnej z Alwerni, gdzie Seraficki Kontemplatyk otrzymał najwyższą łaskę pełnego uczestnictwa w misterium paschalnym Chrystusa, przy kościółku św. Damiana powstał Hymn Słoneczny, który zapewnił Franciszkowi miano poety i ojca literatury włoskiej. Ten skromny rozmiarami, a wzniosły treścią i uczuciem poemat stał się natchnieniem dla poetów franciszkańskich: Tomasza z Celeano, Jacopone z Todi i króla średniowiecznej poezji — Dantego. W jedenastej księdze, trzeciej części *Boskiej Komedii* sławi on św. Franciszka jako „Słońce ludzkiego rodu”, a Asyż jako „Wschód nowego dnia” dla społeczeństwa europejskiego.

Wyrazem najwyższego uznania dla duchowości i teologii franciszkańskiej ze strony hierarchii Kościoła są tytuły doktorów Kościoła, jakimi zostali zaszczytzeni: św. Antoni Padewski — doktor ewangeliczny, św. Bonawentura — doktor seraficki, św. Wawrzyniec z Brindisi — doktor apostołowski.

OD NOWICIEL DZIAŁALNOŚCI MISYJNEJ KOŚCIOŁA

Zasłuchany z najwyższą uwagą i miłością w słowa Ewangelii nie mógł Seraficki Zakonodawca pominąć obojętnie nakazu, jaki Zbawiciel skierował do Apostołów: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony, a kto nie uwierzy, będzie potępiony”. (Mk 16, 15). Już na pierwszych Kapitułach zakonu w latach 1217 i 1219 r. zapadły uchwały podjęcia wypraw misyjnych, najpierw do krajów europejskich, a później do krajów zamorskich, „do Saracenów”. Według swego zwyczaju Święty postanowił dać przykład. „Nie godzi się — mówił — abym wysyłał was na niedostatek i zniewagi, sam się nie narażając; przeto proszę was, byście zapytali się Pana Boga, jaki kierunek winieniem obrać”... Gdy otrzymał oświecenie, oznajmił swą decyzję. „W imię Pana naszego, Jego chwalebnej Matki i wszystkich Świętych oznajmiam wam, iż ruszam do Francji. Francuzi są mi szczególnie drodzy, albowiem więcej niż jakikolwiek inny naród czczą oni świętą Eucharystię”.

Uroczę i wzruszające przekazane nam przez kronikarzy są perypetie, jakie przeżywali pierwsi franciszkańscy misjonarze. Budujące są ich gorliwość i zapał apostołski, jaki pozwalał im przewyciężyć wszelkie przeciwności, wychodzić radośnie naprzeciw niebezpieczeństwom łącznie z niebezpieczeństwem śmierci. Nie zawahał się sam Franciszek stanąć przed sułtanem gotów poddać się próbie ognia, stawiając ponad wszystko wartość duszy ludzkiej. A gdy dowiedział się o męczeństwie pięciu Braci w 1220 r. zawołał w uniesieniu: „Teraz dopiero radować się mogę, mając prawdziwie pięciu braci mniejszych”. Po raz pierwszy w historii ustawodawstwa kościelnego staraniem Serafickiego Zakonodawcy zarówno w Regule z roku 1221 jak tej ostatecznie zatwierdzonej w roku 1223 znalazły się przepisy odnośnie do działalności misyjnej (por. rozdz. XII). Odtąd wszystkie rodziny zakonów franciszkańskich uważają sobie za obowiązek i zaszczyt swych najlepszych członków przeznaczać do pracy misyjnej. Ostatnio także Prowincje polskie dołączają do szeregów braci innych Prowincji. Ciekawa i pouczająca byłaby statystyka obecnego stanu działalności misyjnej franciszkanów.

DZIEŁA MIŁOSIĘRDZIA

W swym Testamencie opowiada św. Franciszek, jak decydująca rolę w procesie jego nawrócenia odegrało miłosierdzie wobec trędowatych. „Maie, bratu Franciszkowi, Pan dał tak rozpocząć życie pokuty: gdy byłem w grzechach, widok trędowatych wydawał mi się nie do zniesienia. Lecz Pan sam wprowadził mnie między nich i okazywałem im miłosierdzie. A kiedy odchodziłem od nich, to co wydawało mi się gorzkie, zmieniło mi się w słodycz duszy i ciała”. Kroniki podają, że w ówczesnej Europie istniało 20 tys. szpitali dla trędowatych. Były to raczej schroniska skrajnej nędzy, gdzie chorzy byli pozostawieni samym sobie. Toteż na każdym kroku spotykało się biedaków, których rozkładające się ciało, krwawiące wrzody i odrażający fetor wzbudzały powszechne obrzydzenie. Tym bardziej tak wytworny młodzian, jakim był wówczas Franciszek, odczuwał skrajny wstręt na ich widok. „I cto pewnego dnia — pisze biograf — na zakręcie drogi znalazł się zniecka naprzeciw trędowatego. Pierwszym odruchem było cofnąć się z drogi. Wiedziony wewnętrznym impulsem natychmiast się pomiarkował, zeskoczył z konia, objął nieszczęsnego ramionami i włożył mu w dłoń jałmużnę. Wówczas uczył jak niezmierne szczęście obejmuje jego jestestwo. Bóg dotrzymał obietnicy temu, który gorycz przełożył ponad słodkość, zmie-

niając gorzkość w słodycz”. Młodzieniec nie poprzestał na tym zwycięstwie. „Dosiadłszy konia — ciągnie dalej kronikarz — udał się do pobliskiego szpitala dla trędowatych, zgromadził przebywających tam biedaków i błagał ich o przebaczenie za pogardę, jaką nieraz im okazywał. Odtąd otoczył ich stałą opieką i hojnie obdzielał jałmużną”. *Kwiatki*, Rocznik XXV — szeroko opisują z jakim samozaparciem i z jakim cudownym skutkiem Franciszek kapał chorych w wywarze ziół. Oczywiście, w dalszym rozwoju organizacji Zakonu, gdy bracia podjęli systematyczne kaznodziejstwo i wyprawy misyjne, siłą rzeczy opiekę nad chorymi musieli ograniczyć. Zastąpili ich wówczas w znacznej mierze bracia i siostry Trzeciego Zakonu. Nie zaniechali jednak całkowicie działalności charytatywnej. Sposobności nadarzało się sporo, zwłaszcza na terenach misyjnych i podczas różnych epidemii. Tak np. w początkach reformy kapucyńskiej ofiarna posługa chorym w czasie zarazy stała się probierzem autentyczności ducha serafickiego, rozstrzygającym o przyszłości zakonu. Podobnie liczne zgromadzenia żeńskie w duchowości św. Franciszka i św. Elżbiety znajdują oparcie dla swej działalności samarytańskiej. Na gruncie polskim wspaniałym przykładem takiej działalności jest życie Brata Alberta Chmielowskiego i jego zgromadzeń. Do tej dziedziny należy świadczenie miłosierdzia duchowego, szczególnie przez szafarstwo Sakramentu Pojednania czyli konfesjonał. Działalność mało spektakularna, a jakże wybitnie ewangeliczna i typowo Franciszkowa, wyrosła z tradycji odpustu Porcjunkuli.

Jest jeszcze szereg innych dziedzin, w których synowie Patriarchy Asyjskiego osiągnęli spory dorobek. Łączą się one przeważnie z dziedzinami wymienionymi i z nich wypływają, jak np. kaznodziejstwo, duszpasterstwo szpitalne, wojskowe, parafialne, stowarzyszeniowe — głównie Świeckich Rodzin Franciszkańskich, młodzieżowe. Historia Kościoła wymienia także obecność Franciszkanów w publicystyce, w architekturze, w malarstwie i muzyce. Seraficki Ojciec stale przypominał braciom, że wszelkie prace i zainteresowania mają wypływać z najwyższej intencji miłości i uwielbienia Pana i ku Niemu mają zdążać. W zakończeniu I-szej Reguły umieścił słowa: „Dlatego, bracia strzeżmy się bardzo, abyśmy pod urokiem jakiejś nagrody, pracy czy korzyści nie zagubili lub nie odwrócili naszego umysłu i serca od Pana. Przez świętą miłość, którą jest Bóg, proszę wszystkich braci..., aby czystym sercem i swobodnym umysłem jak najlepiej służyli Panu Bogu, kochali Go, wielbili i czcili, bo tego Bóg ponad wszystko pragnie” (*Pisma*. Warszawa 1976, s. 73).

Biografia św. Franciszka i założenie III Zakonu

JAN CHRZCICIEL — w domu nazywany Franciszkiem — urodził się w 1182 roku w Asyżu, gdzie jeszcze dziś można oglądać dom, w którym mieszkał. Jego ojciec, Piotr Bernardone, był właścicielem sklepu sukienniczego. Matka Pika zajmowała się domem i wychowaniem syna. W miejscowej szkole nauczył się czytać i pisać. Zdobył także podstawowe wiadomości z języka łacińskiego. Ojciec marzył, że syn zajmie jego miejsce i poprowadzi sklep. Wprowadzał go więc w tajniki sztuki kupieckiej i wyręczał się nim w sprzedaży. Franciszek nie miał jednak mentalności kupca. Nie lubił liczyć. A ponieważ miał dobre serce, nie odmawiał jałmużny żebrakom, którzy przychodzili do ich sklepu. Raz jednak odmówił. Kazał żebrakowi odejść z niczym. Potem zawstydził się swego czynu, wybiegł za żebrakiem, przeprosił go i obdarował.

Franciszek, któremu nic nie brakowało, prowadził w młodości życie lekkomyślne, wesołe, jak ogromna większość jego rówieśników, którym często przewodził. Marzył o przygodach wojennych, o sławie rycerskiej, o zaszczytach. Właśnie nadarzyła się okazja. Doszło do wojny między Asyżem a Perugią (1201—1202). Franciszek wziął w niej udział i dostał się do niewoli. Miał wtedy 20 lat. Po rocznym więzieniu wrócił do domu, ale zapadł na ciężką chorobę. Chorował długo. Mając 23 lata mógł z trudem wyjść z domu podpierając się laską. Niewola i choroba były bolesnymi doświadczeniami dla młodego Franciszka i głęboko go zmieniły. Wszystko zaczął widzieć inaczej. Bóg, a szczególnie cierpiący Chrystus, stał się mu bliższy. Teraz lepiej rozumiał chorych i biednych. Tęsknił jednak jeszcze za dawnym życiem. Pojechał do Apulii, aby pod dowództwem Gualtiero di Brienne walczyć z wojskami cesarskimi. Wskutek gorączki, której dostał w Spoleto, musiał wracać do Asyżu. Był zawiedziony. Coraz bardziej odchodził od kolegów, coraz więcej się modlił, szukał samotności, służył trędowatym, wreszcie opuścił dom rodzinny i wyrzekł się wszystkiego. Zapragnął służyć tylko Najwyższemu Panu. Posłuszny wezwaniu Chrystusa, które usłyszał w kościele św. Damiana, zajął się odbudową tamtejszych kościołów.

W życiu świętego Franciszka ważny był dzień św. Macieja, apostoła, 24 lutego 1209 roku. W tym dniu w kościółku Matki Boskiej Anielskiej uczestniczył we mszy św., a potem poprosił kapłana o wyjaśnienie słyszanej przed chwilą Ewangelii. Wtedy

poznał swoje powołanie. Miała to być droga ubóstwa, wyrzeczenia się wszystkiego dla Boga i głoszenia Słowa Bożego na wzór apostołów, w ciągłej wędrówce. Przejęty tym odkryciem Franciszek zawołał: „Tego właśnie szukałem i chcę to wypełniać z całej duszy”.

W tym samym roku przyłączają się do Franciszka pierwsi towarzysze: Bernard z Quintavalle, Piotr z Catani i inni. Gdy jest ich dwunastu udają się razem do Rzymu, do papieża Innocentego III z prośbą o zatwierdzenie reguły. Stanowią ją cytaty z Ewangelii świętej, domagające się całkowitego ubóstwa. Papież, mimo wątpliwości, czy można te zalecenia ewangeliczne zachować dosłownie, daje ustne zatwierdzenie i tym samym zgadza się na proponowany przez Franciszka sposób życia i na działalność pierwszych franciszkanów. Tak powstał pierwszy zakon franciszkański.

W 1212 roku Klara Offreduci, dziewiętnastoletnia córka bogatej rodziny asyskiej, razem z kuzynką ucieka z domu ojca. Potem dołącza do nich siostra Klary, Agnieszka, młodsza od niej o kilka lat. Na ręce świętego Franciszka składają śluby zakonne. Chwilowo zatrzymują się u sióstr benedyktynek, a potem przenoszą się do św. Damiana. Tu właśnie był pierwszy klasztor Ubogich Panien czyli klarysek.

Św. Franciszek porywał całą swoją osobowością: głęboką wiarą, prostotą, radością, optymizmem i miłością, którą obejmował wszystko i wszystkich. Wielu pragnęło go naśladować. Mężczyźni stanu wolnego wstępowali do Zakonu Braci Mniejszych. Dziewczęta i kobiety niezamężne przyłączały się do klarysek. Wiele jednak musiało zostać w rodzinie, gdyż byli związani węzłem małżeńskim, obowiązkiem wychowania dzieci lub troską o najbliższych. Pragnęli jednak jak najwierniej naśladować Franciszka i zachowywać Ewangelię. Do tych ludzi, żyjących głębszym życiem religijnym, związanych z Bogiem szczególnymi więzami, skierowuje Franciszek specjalne pismo: „List do wszystkich wiernych” (1221). Przypomina w nim obowiązek zachowania Bożych przykazań, zachęca do walki z wadami i do praktykowania cnoty. Mówi też o konieczności pokuty, o obowiązku miłości i naśladowaniu Chrystusa, który „ofiarował siebie samego na ołtarzu krzyża”. Podkreślał też, że w prowadzeniu życia chrześcijańskiego szczególną rolę spełnia Słowo Boże i Eucharystia.

Tych pierwszych naśladowców Franciszka nazywano początkowo Braćmi Pokutującymi. Później w odniesieniu do nich przyjęła się nazwa: Trzeci Zakon Franciszkański.

Dając początek trzem zakonom św. Franciszek pragnął odno-

wie ducha chrześcijańskiego we wszystkich warstwach społecznych, opierając ich życie mocno na Ewangelii. Chciał, aby jego naśladowcy byli fermentem, który przetwarza całe życie według wzoru ukazanego w Ewangelii. Pierwsi tercjarze zostawili nam wspaniałe wzory chrześcijańskiego życia. Oddawali się pokucie, modlitwie i opiece nad chorymi i biednymi. Wymienić tu trzeba chociaż kilku, jak bł. Lucezjusz, Ludwik IX, król Francji, św. Elżbieta, córka króla węgierskiego. Potem było ich tysiące w różnych krajach. Stopniowo wprowadzali zasady chrześcijańskie coraz głębiej w życie swych rodzin i całych społeczeństw.

Święty Franciszek, powodowany gorliwością apostołską, głosi Słowo Boże w Lombardii, w południowej Francji, a nawet usiłuje dotrzeć do Maroka. Niestety, nieskutecznie. W 1219 roku udaje się z Piotrem Catani do Egiptu i Ziemi Świętej, aby nawracać mahometan. Od sultana Melek-el-Kamela otrzymuje pozwolenie na swobodne poruszanie się po całym państwie. W tym samym roku wysyła pięciu braci do Maroka. Obie misje nie przynoszą sukcesu. W Maroku wszyscy bracia ponoszą śmierć męczeńską (1220). Franciszek po powrocie z Ziemi Świętej, złożył władzę w zakonie w ręce Piotra Catani, a po jego śmierci (1221) powierzył ją Bratu Eliaszowi z Kortony. Choroba oczu, na którą zapadł w Egipcie, stopniowo się rozwijała i utrudniała swobodne przenoszenie się z miejsca na miejsce.

29 listopada 1223 roku spotyka Franciszka wielka radość. Papież Honoriusz III zatwierdza uroczyście regułę franciszkańską. We wrześniu 1224 roku Franciszek przebywa na modlitwie na górze Alwernii i tu otrzymuje stygmaty Męki Pańskiej. W ten sposób staje się podobny do Chrystusa także zewnątrz. Choroba oczu dalej postępuje. Franciszek prawie zupełnie traci wzrok. Szuka ratunku u lekarzy papieskich. Poddaje się bolesnym zabiegom. Niestety, nie przynoszą one Franciszkowi ulgi. Podczas choroby, mimo wielkiego cierpienia, układa u św. Damiana Pieśń Słoneczną. Wzywa w niej do uwielbienia Boga i wyznaje swoją wiarę w naturalną dobroć wszystkich rzeczy stworzonych. Przeczując zbliżającą się śmierć, dyktuje testament dla braci i prosi o przeniesienie go do Asyżu. Tutaj 3 października 1226 roku w pustelni przy kościółku Matki Boskiej Anielskiej umiera na gołej ziemi, z radością witając Siostrę Śmierć.

Bracia złożyli ciało Franciszka początkowo w kościele św. Jerzego, a w roku 1230 przenieśli je do wspaniałej bazyliki wybudowanej przez Brata Eliasza. Już wcześniej 16 lipca 1228 roku papież Grzegorz IX ogłosił Franciszka świętym.